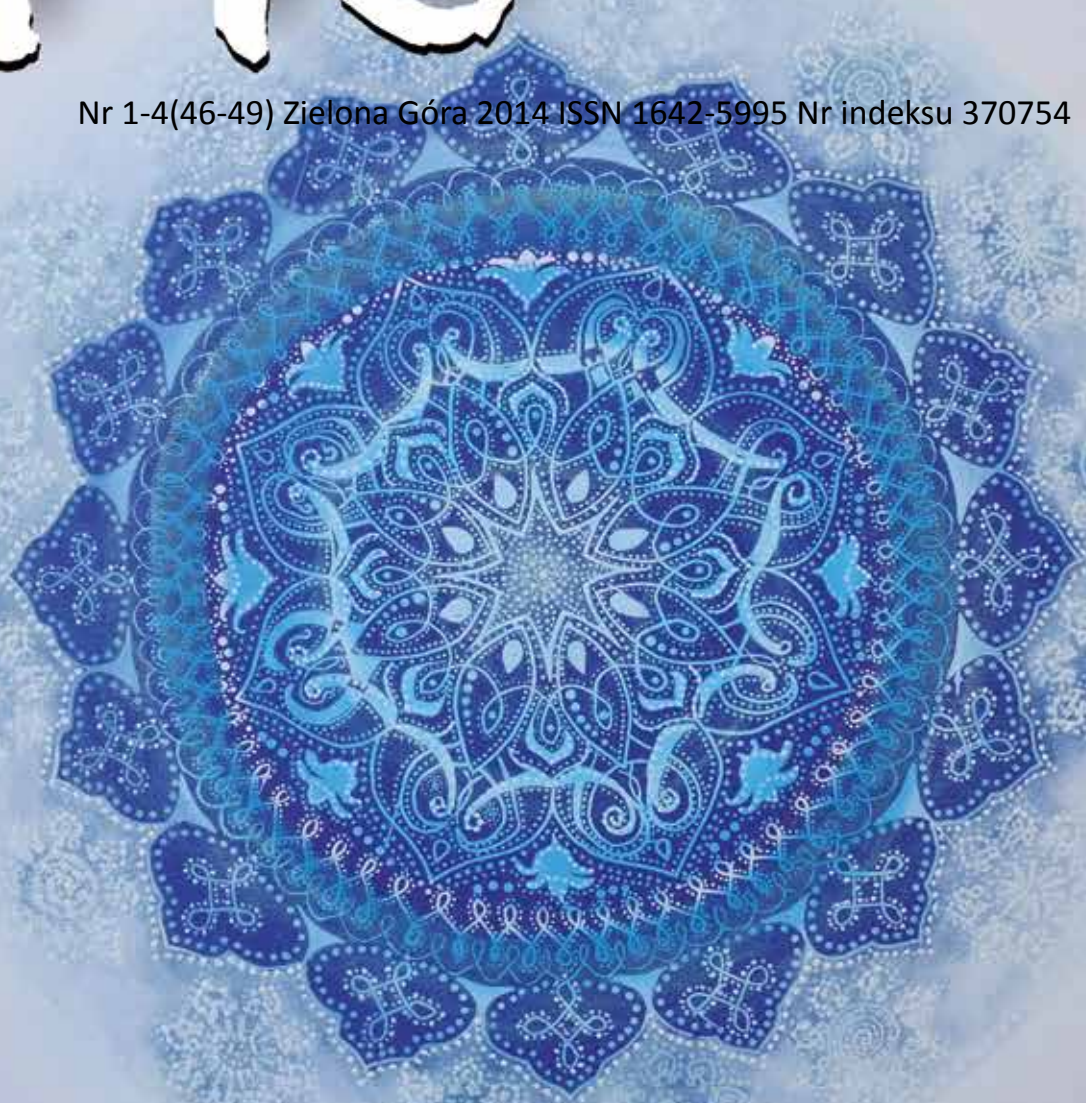


Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Nr 1-4(46-49) Zielona Góra 2014 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754



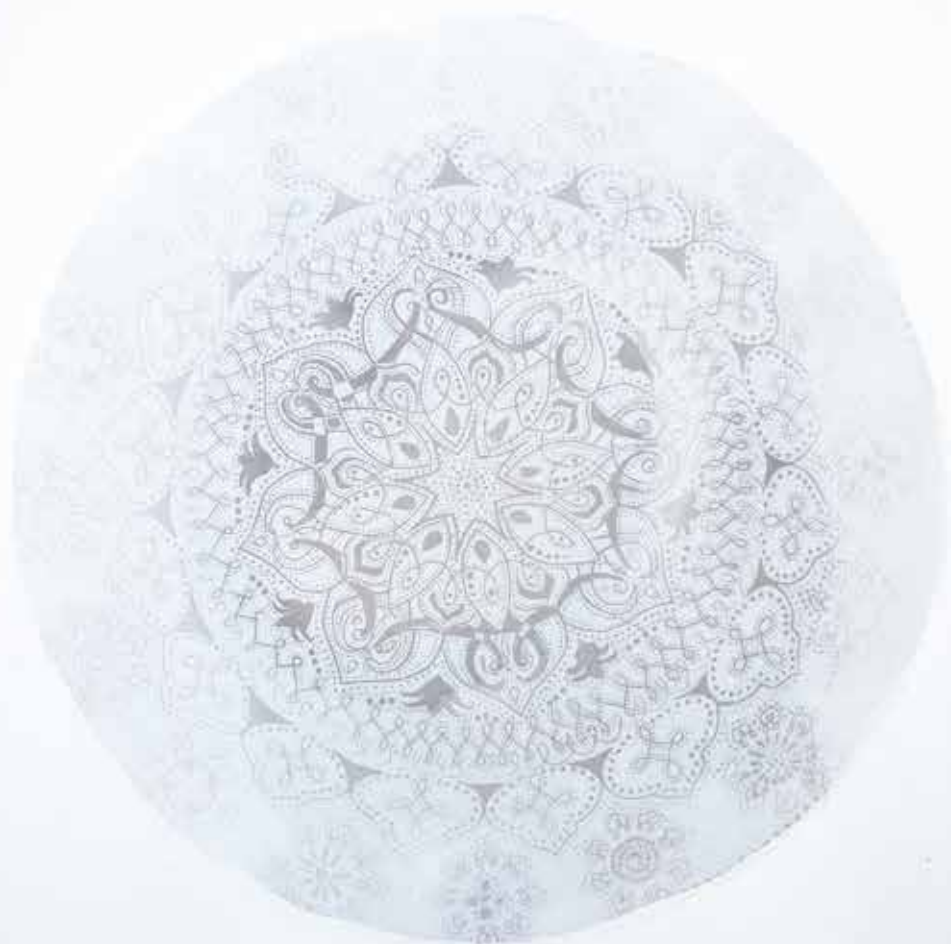
Eseje

Wiersze

Proza

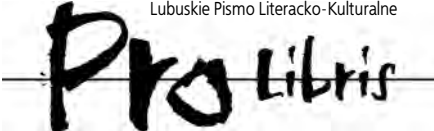
Szkice krytyczne

Sztuka



Sfinansowano ze środków WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne



Pro Libris

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne
Pro Libris nr 1-4(46-49)/2014

Prace plastyczne wykorzystane w numerze
Jolanda Jeklin

© Copyright by Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida, Zielona Góra 2014

Redaktor naczelny
Andrzej Buck

Redaktor graficzny
Magdalena Gryśka

Sekretarz redakcji
Ewa Mielczarek

Korekta
Joanna Wawryk

Stale współpracuje
Małgorzata Mikołajczak

Fotografie
Archiwum WiMBP im. C. Norwida, W. Czulk, L. Głuchowska, M. Kulczyk
oraz ze zbiorów M. Kuźel, M. Lalko, C. Łuniewicza

Wydawca
Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. C. Norwida,
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra

Skład komputerowy
Firma Reklamowa GRAF MEDIA, tel. 68 451 72 78

Druk i oprawa
Mazowieckie Centrum Poligrafii

Nakład – 300 egz.

ISSN 1642-5995

Nr indeksu 370754

Adres redakcji:
WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze, al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris)
e-mail: prolibris@wimbp.zgora.pl, www.wimbp.zgora.pl, www.prolibris.net.pl



Od redakcji

W 2013 roku, kiedy ukazał się 45. numer pisma, nic nie wskazywało na to, że wstrzymany zostanie cykl wydawania „Pro Libris”. W następnym roku wydano dwa numery specjalne, które tematycznie skupiły się na roli i nowych funkcjach biblioteki, opartych o doświadczenia bibliotekarzy polskich (głównie z Lubuskiego) oraz niemieckich (z Saksonii i Brandenburgii), zawartych w pojęciu „biblioteka jako trzecie miejsce”.

Reaktywując pismo i jego literacko-kulturalny profil, zamieszczamy teksty aktualne, autorów współpracujących z redakcją od dawna i świeżo pozyskanych (m.in. Barbara Anna Dominiak, Andrzej Chodacki, Mira Kužel). Postaramy się także sukcesywnie rejestrować ważne wydarzenia, których ranga obliguje nas do spojrzenia wstecz, jak np. przypomnienie sylwetek poetyckich Janusza Koniusza czy Eugeniusza Kurzawy z okazji ich jubileuszy.

Pragniemy zwrócić Państwa uwagę na wnikliwy esej redaktora Czesława Markiewicza, który przywołuje postać poety Kazimierza Furmana, rozprawiając się z mitami narosłymi wokół tej postaci.

Zachęcamy do sięgnięcia po wywiad Mirosławy Szott z legendarną Mirą Kužel – malarką, poetką, felietonistką, która przez wiele lat związana była ze środowiskiem kulturalnym Zielonej Góry, a od 15 lat mieszka w Andaluzji.

Retrospektywnie przyglądamy się inicjatywom polsko-niemieckim, przywołując dwujęzycznymi tekstami Barbary Krzeszewskiej-Zmyślony oraz Ewy Tworowskiej-Chwalibóg ważne przedsięwzięcia kulturalne łączące pogranicze.

Kolejni autorzy sięgają po rozległą tematykę: zgłębiają historię zielonogórskich pomników (Magdalena Kulczyk i Igor Myszkiewicz), śledzą rockowy ruch muzyczny Zielonej Góry (Michał Cierniak), wnikliwie analizują twórczość artystyczną Jolandy Jeklin (dr Lidia Głuchowska), której oryginalne prace tworzą oprawę graficzną numeru.

Kontynuujemy również cykl Agaty Buchalik-Drzyzgi z ekslibrisami jej autorstwa oraz dedykacjami poświęconym ich adresatom.

W numerze pojawiają się interesujące wiersze, ciekawe teksty prozatorskie. Serdecznie zachęcamy do lektury.

Spis treści

Aldona Reich , Fotografia	6
Marek Grewling , Wiersz [Diariusz anachorety]	8
Marcin Radwański , Zbiórka	11
Adam Bolesław Wierzbicki , Wiersze [Bar przydworcowy, Zdobycie Festung Breslau 6 maja 1945]	13
Andrzej Kotin , Puste przestrzenie	15
Weronika Wojtanowska , Wiersze [*** Czasem zdarza się..., *** Stare kobiety...]	18
Janusz Łastowiecki , Wygwizdów story	20
Karol Graczyk , Wiersze [*** Jak by to brzmiało, Prawo]	21
Maciej Kubiak , Lustro	23
Klaudia Małagocka , Wiersze [Cytryniarka, Piaskownica]	26
Adam Bolesław Wierzbicki , Przemysł – sposób na życie	28
Władysław Łazuka , Wiersze [Trawy, *** Zatrzymałem się, Przy Nadbrzeżnej, *** Podążam za pstrągami]	30
Andrzej Chodacki , Sieć	34
Barbara Anna Dominiak , Wiersze [*** We śnie Rosemary, *** Już wiem, Miasto, *** Nienarodzona]	36
ZBLIŻENIA	
Jerzy Szewczyk , Vivat Jubilat!	40
Jolanta Pytel , Wiersz [Wędrowiec]	42
Czesław Sobkowiak , O Januszu Koniuszu nielaurekowo	43
Robert Rudiak , Jubileusz dwóch Panów K., czyli z humorem i bardzo prywatnie o Koniuszu i Kurzawie	46
Eugeniusz Kurzawa , Wiersz [*** stary generał jak rekrut]	49
Myślenie o Wszechświecie jest tylko funkcją wyobraźni [Z Mirą Kuźel rozmawia Mirosława Szott]	50
Mirosława Kuźel , Wiersze [Sonet stepowy, Sonety zaklinania, Sonet krwi, Sonet pamięci, Sonet osamotnienia]	53
Czesław Markiewicz , Furman ante portas	58
EKSLIBRIS W PRO LIBRIS	
Z teki Agaty Buchalik-Drzyzgi	60
PREZENTACJE	
Jolanda Jeklin	62
Lidia Głuchowska , Jolanda Jeklin: Miasta – Monady – Synchronizacja	63
VARIA	
Igor Myszkiewicz , Te nowe pomniki	66
Magdalena Kulczyk , Rzeźba <i>Chłopiec ze źrebięciem</i> sprzed Palmiarni – zarys historii i próba interpretacji	75
Barbara Krzeszewska-Zmyślony , 40-lecie Polsko-Niemieckiej Orkiestry Młodzieżowej (Zum 40. Jahrestag des Deutsch-Polnischen Jugendorchesters)	82
Ewa Tworowska-Chwalibóg , Jak dobrze mieć sąsiada (Wie schön ist es, einen Nachbarn zu haben)	85
Michał Cierniak , Historia jednej muszli, czyli powstanie i upadek zielonogórskiej kuźni rocka	90

RECENZJE I OMÓWIENIA

Pochwała słowa. O poezji Janusza Koniusza	
Janusz Koniusz, <i>Na własne podobieństwo</i> (Elżbieta Gazdecka)	99
Dokumentowanie biografii	
Eugeniusz Kurzawa, <i>Obrazki prowincjonalne prozą</i> (Czesław Sobkowiak)	100
Rzeczywistość rozszerzona	
Janusz Życzkowski, <i>Opowieść pierwsza</i> (Mirosława Szott)	103
Kopernik i struktura jaźni, czyli pierwsza powieść Janusza Życzkowskiego	
Janusz Życzkowski, <i>Opowieść pierwsza</i> (Barbara Anna Dominiak)	104
Z ziarenek piasku świat składam...	
Elżbieta Dybalska, <i>Bruzdy</i> (Barbara Anna Dominiak)	106
Kobieta, Matka i mundus melancholicus	
Małgorzata Stachowiak-Schreyner, <i>Jestem, która Jesteś</i> (Daniel J. Stachuła)	107
Świadomość własnych korzeni	
Halina Barań, <i>Nad doliną</i> (Joanna Kapica-Curzytek)	110
Historia regionu	
Andrzej Toczewski, <i>Festung Küstrin</i> (Arkadiusz Cincio)	111
Jeden dzień z hermeneutyki miasta – performance Wiernowolskiego	
Maciej Barden, Andrzej Michałowski, Stefan Wiernowolski, Joanna Ziemińska-Kurek, <i>Alchemia przestrzeni. Jeden dzień patrzenia na Sulęcín</i> (Mirosława Szott)	113
Ut pictura poesis – o sztuce na wskroś dojrzałej	
Adam Wojciech Bagiński i Czesław Sobkowiak, <i>Pomiędzy</i> (Paulina Korzeniewska-Nowakowska)	115
Zapominanie	
Kalina Izabela Ziota, <i>Okno niepamięci</i> (Marika Sobczak)	116
Wymownie milczeć o sensie tej wędrówki	
Janusz Koniusz, <i>Na własne podobieństwo</i> (Beata Patrycja Klary)	118
Droga do szkoły	
Konrad Krakowiak, <i>Lewa strona bytu</i> (Mirosława Szott)	120
Powrót do tradycji, czyli Zielona Góra w poemacie. O <i>Mniejszej epopei</i> Marka Jurgońskiego	
Marek Jurgoński, <i>Mniejsza epopeja</i> (Anastazja Seul)	121
Inne oblicze poety Szmidta	
Ireneusz Krzysztof Szmidt, <i>Czerwone korale</i> (Marek Grewling)	123
Zielonogórskie fantazjowanie	
(Igor Myszkiewicz)	124
Monografia LTK	
Izabela Korniluk, <i>Lubuskie Towarzystwo Kultury 1957-1992</i> (Alina Polak)	125
KSIĄŻKI NADEŚLANE	127
AUTORZY NUMERU	128

Fotografia

Stare, czarno-białe. Z takimi śmiesznymi, koronkowo wydzierganymi brzegami i ramką. Chyba z lat 50. Lekko zwinięte, pożółkłe.

Na zdjęciu dziewczyna. Ma może 15, może 16 lat. To prawdopodobnie lato, bo dziewczyna ubrana jest we wzorzystą sukienkę bez rękawów. Na sukience ni to kwiaty, ni to esy-floresy. Pomimo pozbawienia fotografii barw, łatwo się domyślić, że wzór jest intensywny, może czerwony?

Dziewczyna stoi wśród wysokich traw, sięgających jej niemal do bioder. Nie jestem pewna, czy to rzeczywiście trawa, czy zboże. Chociaż nie, kiedyś zdjęć nie robiło się w zbożu – to byłoby przecież głupie i niedorzeczne. Bo i po co?

Jest popołudnie. Światło pada pod kątem już niższym niż w połowie dnia – cień dziewczyny jest dłuższy. Ona sama stoi niemal tyłem do fotografa – widać jej prawy półprofil. Patrzy na coś, na kogoś? A może jest po prostu zamyślona i wzrok zatrzymał się gdzieś między bytem a niebytem, daleko od niej samej, a może w samym jej środku? Włosy spięte w ciasny kucyk, lekko skręcona szyja, poważna twarz. Nie widzi fotografa, nie wie, że uwięził ją w tej pozie na wieki. Możliwe, że po chwili się ocknęła i niezadowolona odeszła dalej, nie chcąc być znów złapana w stopklatkę. A może się ucieszyła, że i jej autor zdjęcia poświęcił chwilę, bo być może przyszli tu większą grupą, a ona była niemal niewidoczna i tak bardzo chciała, aby i ją zauważono...

Kto był fotografem? Ojciec? Nie... To ojcu zwykle robiono zdjęcia. Uwielbiał to i pozował z niemałą wprawą, dumny, wyprostowany, zawsze z tym irytującym samozadowoleniem na twarzy.

Starszy brat? Kto wie? Może przyjechał na kolejne wakacje i znów podrzucił dziewczynie bratanków pod opiekę. Nie mogła wyjść nad rzekę, na spacer, do koleżanek na dziewczynskie wieczory. Wiecznie z tymi dziećmiakami, całe lato... Uwiązana, nieszczęśliwa i samotna. Nie, to nie brat – on zawsze niemal natychmiast wyjeżdżał z powrotem do swojego domu. Z ulgą.

Matka dziewczyny nie lubiła spacerów. Była wciąż zmęczona, zniechęcona, wyobcowana. W ciągłej tęsknocie za życiem, które miało się jej przydarzyć, a trafiło się komuś innemu. Gdy już ją zmusili, szła zawsze z tyłu, zastanawiając się, czy ktokolwiek zauważy jej zniknięcie, gdy cichcem zawróci do domu. Tym bardziej nie była zainteresowana robieniem dokumentacji tych niechcianych wypraw.

A może wyjątkowo tego lata dziewczyna poszła na łąkę z rówieśnikami? Ktoś miał aparat, postanowili ten jeden dzień uwiecznić. Może zdjęcia robił ktoś, na kim dziewczynie szczególnie zależało lub wręcz przeciwnie – to jemu zależało na niej, ale go nie dostrzegła...

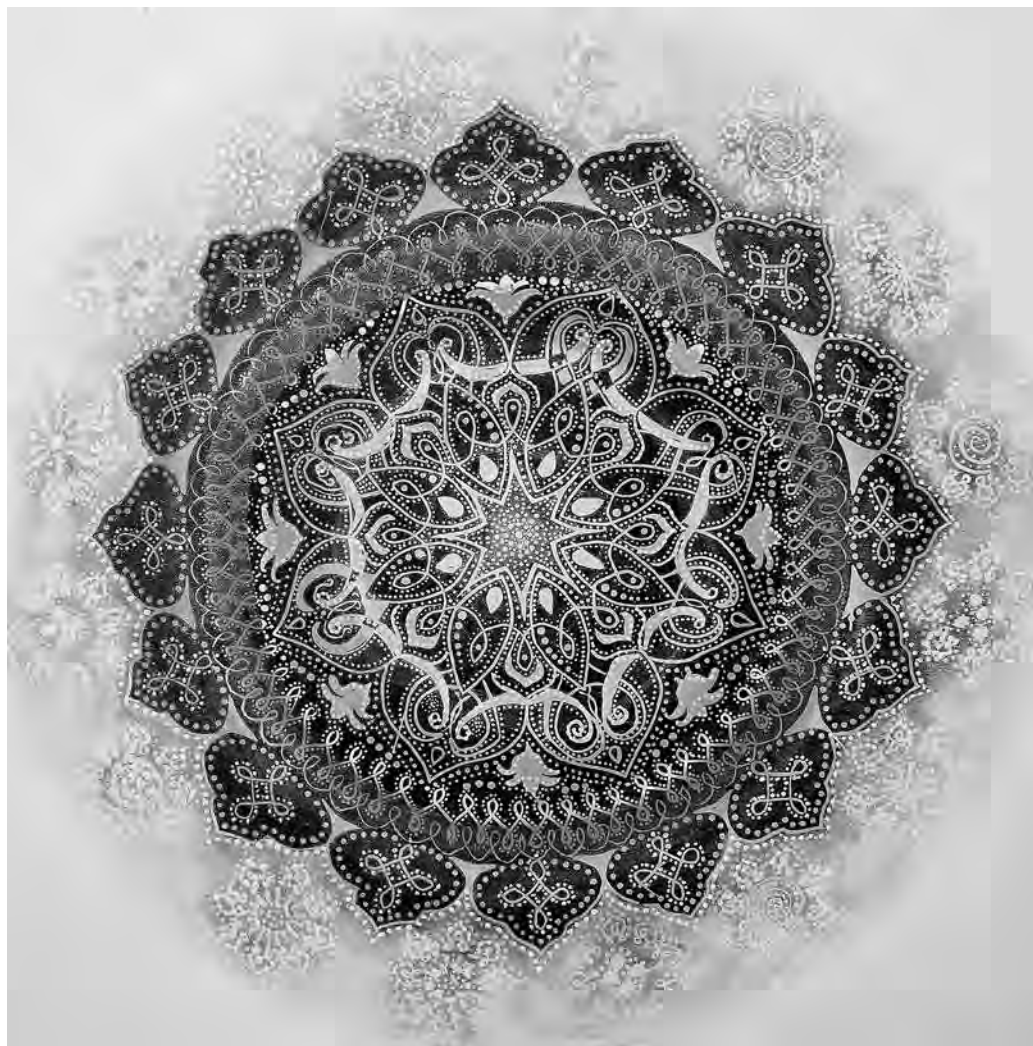
Stoi wyprostowana, lewą ręką za plecami trzymając się za łokieć prawej. Jest tam tak wyraźnie i jednocześnie tak wyraźnie jest nieobecna. Zastanawia się czy już wie? Czy już widzi swoje przyszłe życie? Że poślubi człowieka, który nigdy nie obdarzy jej uczuciem. Że sama, chcąc wyrwać się spod tyranii ojca, własnym dzieciom zgotuje prywatne piekło, choć przecież nigdy tego nie chciała, kochając je na swój własny, pokręcony i niezrozumiały dla nich sposób. Że zostanie sama, ledwo skończy 40 lat, a smutek i żal do całego świata zaczną ją powoli

zabijać. Że bruzdy na twarzy będą coraz głębsze, nadając jej coraz smutniejszy i z każdym dniem bardziej surowy wyraz. Że odejdzie niepokodzona z tym, co wyszykował jej los...

Wie czy nie wie? A może właśnie marzy o wielkiej miłości, szczęśliwym domu... Ma przecież do tego prawo, tak samo jak ma prawo być naiwna i nieprzygotowana do bolesnej konfrontacji z życiem.

Znam tę dziewczynę. Choć poznałam ją dopiero wiele lat później, gdy z jej dziewczęcych marzeń zostały zgłiszczca, po których z uporem chodziła, próbując odszukać choćby cień nadziei – gdzieś zatraconej, zmiażdżonej codziennością nie do zaakceptowania. Gdy już wyglądała zupełnie inaczej niż na tym zdjęciu. Poszarzała, zaniedbana, zmęczona kobieta.

Moja matka...



Diariusz anachorety

Anachoreta został skazany
– paradoksalnie za karę
musiał opuścić swój klasztor mizantropii

mnisi okazali mu pogardę
i odrobinę miłosierdzia na deser
to pewnie jakieś nieumiarkowanie
ale w tym wypadku nie ma grzechu
tak godzi się mnichom

zapiski które poczynił anachoreta
opatrzyli recenzją śmiechu
nawet chcieli je spalić
na szczęście zabrakło ognia
szczęśliwie się złożyło że ostatnio
palenie dzieł oraz ludzi wyszło z mody

czcigodny opat ze szkarłatnym pierścieniem
zabronił świecić po nocach
za dnia polecił spożywać postne obiady
przy wielkim stole
anachoreta siada przy stole pokutników
którzy cieszą się łaską przyzwolenia na życie
i na milczenie

codziennym przedświtem
szedł w ciżbie potępionych
przez stary cysterski kościół

demiurg mnichów udawał
że nie dostrzega potępionego
i tradycyjnie nie podał mu ręki

demiurg w purpurze namiestników

anachoreta nie przejął się tym kolorem
brzydził go już cuchnący oddech tyrana

demiurg wiedział o tym
i bał się sądu – sądu anachorety
dlatego nigdy nie przeczyta pergaminu
pokrytego łzami bo demiurg gardzi łzami

sługa trzech przemian który przekroczył granice
zrównał się z bogami jest Zeusem Mitrą i Ozyrysem
najmniej wspólnego ma z Atonem

demiurg jest Bogiem tego świata
i wszystkich pozostałych – o ile takie istnieją
niewielu pojmuje jego tajemnicę
demiurg nie ma zamiaru rozmawiać z anachoretą
bo o czym rozmawiać z kimś
kto nie należy do żadnego z anielskich chórów
ani do wysokiego ani do niskiego

anachorecie jest to obojętne
dzisiaj już obojętne

zatem – wygnano anachoretę
wygnano go na śmierć
tak chciały cieniste myśli tyrana

przyznano mu pokój na poddaszu
(to akurat ucieszyło anachoretę)
skazany na samotność poprawiał zapiski

przechadza się między betonowymi kolumnadami
trzymając w dłoni klasykę literatury
klasykę własnego losu
szuka dla siebie miejsca
w międzyczasie płacze
arkady kuszą przestrzenią
niemalowanej szarości
surowa brzydota w sam raz dla anachorety

następnie wraca do swojej samotni
tam nocami przygląda się ceniom sznurów
które chybocząc się wahadłem minionego czasu
wabiły – anachoreto pójdź do nas
wielu już poszło i doznali ukojenia
pójdź anachoreto znajdziesz upragniony spokój
demiurg pobłogosławi twoją słabość
a umysł odpocznie w raju

ktoś woła anachoretę
banalny budzik jak stwórcę powołuje
kolejny dzień

zmierzy więc poziom cukru
założy puklerz nieczułości
połknie tabletkę ciepłej tonacji głosu
dokładnie się ogoli
anachoreta jest przecież czysty

w końcu stanie przed obliczem tłumu
tłum nie ma twarzy – tłum ma żyłaste pięści

anachoreta nie stawia już pytań
poznał cenę ocalenia
on – anachoreta – syn wolności

Zbiórka

Siedzieli na krzesłach schyleni wokół puszek, która leżała na podłodze i drażniła ich swoją zawartością. Dziś rano zostali zwolnieni z lekcji i wysłani do jednej z fundacji charytatywnych. Przez cały dzień w zamian za brak zajęć mieli zbierać pieniądze na chore dzieci.

Była jesień, a na dworze mocno świeciło słońce, którego ciepłe promienie czuć było na bladych twarzach. Swoją zbiórkę rozpoczęli od okolic szkoły, jednak szło im tam marnie. Wsiedli więc do autobusu i postanowili udać się do centrum miasta. Od razu poczuł różnicę. Staruszkowie, babcie przyodżiane w ciepłe berety, spacerujące wraz ze swoimi wnuczkami chętnie wrzucali drobne, wygrzebane z kieszeni starych płaszczy. Uśmiechnięci młodzi ludzie, pełni energii i entuzjazmu wzbudzali zaufanie, tak samo jak znana fundacja, dla której to robili. Po kilku godzinach kwesty znużeni już trochę i zmęczeni postanowili odpocząć. Wstąpili do małej i taniej kawiarni na rogu ulicy. Zamówili trzy herbaty z cytryną i usiedli w najdalszym kącie lokalu. Postawili puszkę na stół i wpatrując się w nią, zaczęli jeść zrobione do szkoły kanapki.

– Ile tam może być? – odezwał się Mariusz, przeżuując kęs razowego chleba z serem.

Pozostali milczeli przez chwilę i patrzyli przed siebie. W końcu Zbyszek złapał puszkę, potrząsając nią kilkakrotnie.

– Może być nawet ze dwie stowy – odpowiedział z niewzruszoną miną.

– Cholera, niezła sumka – przytaknął mu Wojtek.

Siedzieli dalej w milczeniu, popijając gorącą herbatę.

– Marzy mi się nowa płyta Depeche Mode – zaczął ponownie rozmowę Zbyszek. – Matka nie chce mi dać pieniędzy.

– Też bym chciał, ale wolę nowe pastele, bawię się tym ostatnio – mruknął Wojtek, kończąc drugą kanapkę.

Mariusz popatrzył przez chwilę na ich twarze, a później w stronę puszek.

– Idziemy do mnie na chatę – powiedział zdecydowanie i złapał puszkę ze stołu.

Reszta jak na wydany rozkaz wstała i pomaszerowała za nim.

Siedzieli w zamkniętym pokoju Mariusza, którego ściany przyozdobione były plakatami z Bobem Marleyem. Matka chłopaka, krzątając się w kuchni, z ciekawością podsłuchiwała podnieconą i zdeterminowaną ekipę.

– Jak się tam, cholera, dostać! – krzyczał zirytowany Zbyszek, potrząsając puszką i przewracając ją do góry dnem.

– Wyciągaj! No, dalej! – wtórował mu Wojtek, poklepując go po plecach.

Pieniądze jednak wyjść nie chciały i pomimo ich wysiłku pozostawały na swoim miejscu.

– Musimy to zrobić sposobem – powiedział Mariusz.

Otworzył drzwi pokoju.

– Mamo, mamo, masz może długi drut, ten do robienia swetrów?! – zawołał w stronę kuchni.

Matka podeszła do niego ze zdziwioną miną.

– A po co ci drut?

– Muszę coś pilnego zrobić. Zawsze się musisz pytać? Po prostu chcę pożyczyć drut.

– Jest w szafie, obok stołu.

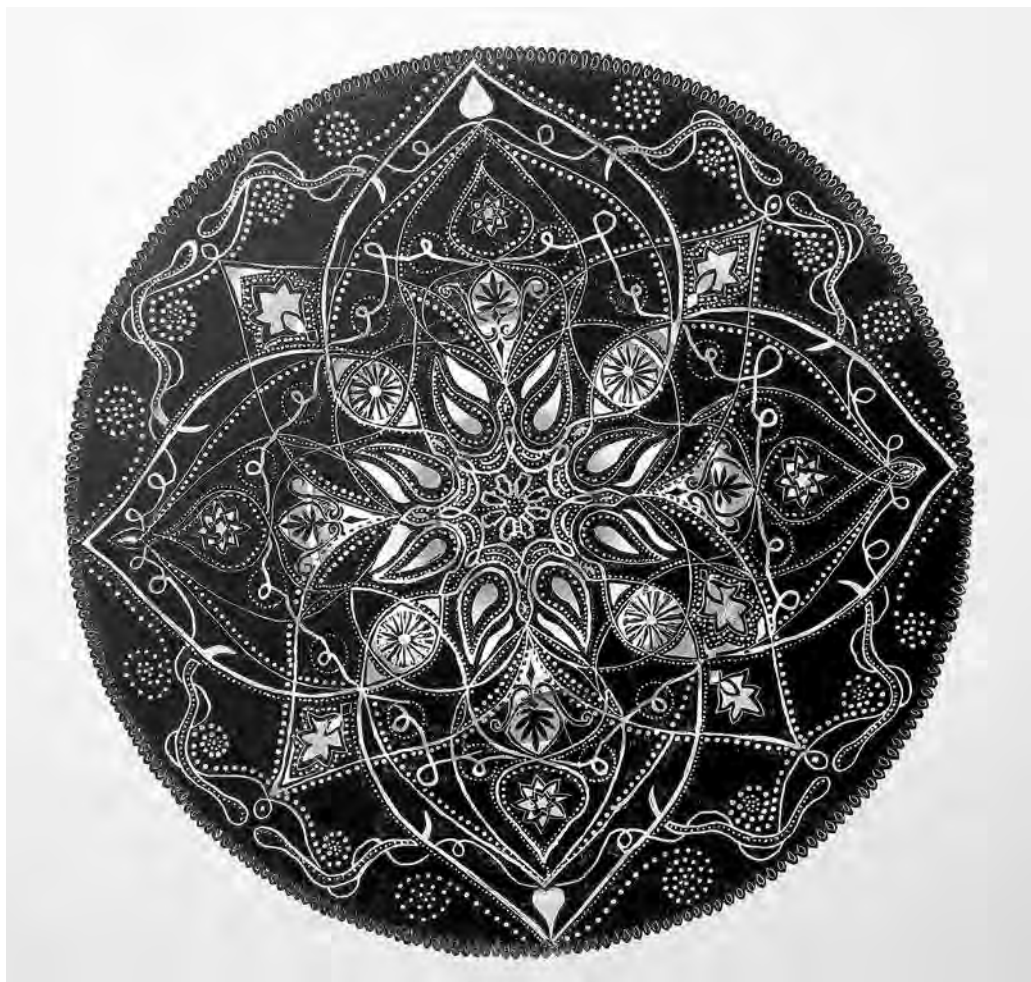
Po chwili szpikulec tkwił w szczelinie puszek, a monety zaczęły wysypywać się na zieloną wykładzinę. Na twarzach chłopaków zakwitł uśmiech, podobny do tego, z którym kilka godzin wcześniej zbierali te datki. Każdy otrzymał równo po trzydzieści złotych.

Upchali pieniądze w kieszeniach i w milczeniu opuścili mieszkanie. Musieli jeszcze zdać puszkę w centrali fundacji. Czuli się niepewnie i zdawali sobie sprawę, co zrobili. Bez wzruszenia jednak wkroczyli do biura i przedstawili swoją zbiórkę.

Tęga, uśmiechnięta kobieta siedząca za biurkiem spojrzała zza swoich okularów w ich oczy i złapała puszkę. Zważyła ją w ręce i w końcu otworzyła od dołu. Zaczęła powoli liczyć rozrzucone monety.

Chłopaki stali i patrzyli na to, co robi, zachowując kamienne twarze. Po kilku minutach kobieta skończyła. Zapisła wynik w swoim zeszycie i spojrzała na całą trójkę.

– Jesteście najlepsi w dniu dzisiejszym. Gratuluję, panowie.



Bar przydworcowy

W Mysłowicach przy dworcu,
w którym ulokował się sklep
ze starzyzną, jest taki bar,
gdzie spokojnie zjeść można

ruskie pierogi, gulasz węgierski,
śląski żurek (to uczta dla kubków
smakowych, po serwowanych
na dworcu w Katowicach fast foodach

z globalnych sieciówek, smakujących
identycznie w każdym zakątku
świata). Właścicielka dźwiga skrzynki
z piwem, bo od kiedy na Śląsku zaczęli

zamykać kopalnie i huty, chopy się
straszenie rozleniwiły i nic tylko
piwo żłopią. Młodzieniec o twarzy
umorusanej dźwiga worek z węglem,

grzecznie prosi o cigareta, bo roboty
teraz nie ma, a kurzyć się chce.
W Mysłowicach przy dworcu jest
taki bar, gdzie można wypić kawę

z minionej epoki w przezroczystej
szklance i żubra w przyzwoitej cenie.

Zdobycie Festung Breslau 6 maja 1945

Z cyklu Obrazki z największej z wojen

Zwycięzcy obwieszeni zegarkami niczym
bożonarodzeniowe drzewka tańczyli wokół
ognisk, na których płonęły meble w stylu
empire przy akompaniamencie granej
na bajanie Katiuszy. Trofiejnicy mieli
wprawdzie całe ciężarówki gramofonów,
ale kto w tym dniu chciał słuchać
smętnych niemieckich marszów.

W powietrze co chwilę wylatywały
serie z pepeszy i naganów. Krzyczano
Pabieda i Hitlera użę niet. Kaca po
podłym samogonie leczono wodą
prosto z muszli klozetowych.

Młode Niemki oddawały się za
kromkę czerstwego razowca i upieczony
na ognisku ochłap koniny. Wołały po dobroci,
gdyż ci ze skośnymi oczami gwałcili, a
nawet w razie oporu nie wahali się zabić.

Z pełnymi żołądkami biegły szybko w stronę
Odry, by czym prędzej ze swych podbrzuszy
wyplukać w zimnej rzece białe nasienie
czerwonych zdobywców.

4 stycznia 2014

Puste przestrzenie

Gdy byłem dzieckiem, budziłem się bardzo wcześnie i nudząc się w łóżku, myślałem o różnych dziwactwach. Najchętniej wyobrażałem sobie rozmaite pomieszczenia – szkołę, sklep, przychodnię, kościół – w momencie tuż zanim wstąpi do nich pierwszy intruz gatunku ludzkiego. Fascynował mnie ten niepokojący spokój rzeczy nietkniętych, nieobserwowanych. Zdawały się posiadać pewną ulotną (i właśnie dlatego tak niezwykle drogową) autonomię, z której zostawały błyskawicznie obdarzone, stając się obiektem pochwały, krytyki, użytku, sprzedaży. Biurka, przy których nikt nie siedzi, korytarze nieskalane niczym krokiem, scena bez widzów, konfesonat bez grzesznika. Każdy przedmiot miał swoje własne, niepowtarzalne oblicze, natomiast ludzie, którzy wkraczali do opuszczonych świątyń dopiero pod sam koniec niemego przedstawienia, zlewali się w szumną szarą masę, pędzący donikąd tłum, pozbawiony twarzy i serca. Właściwie to nie wiedziałem nawet, jak wyglądają. Czułem tylko, że są gdzieś tam za drzwiami, pod oknem, na schodach – jednym słowem: gdzieś blisko – i zaraz wtargną do bezbronnego raju moich codziennie niecodziennych fantazji, a ja będę musiał schować piżamę pod poduszką i rozpocząć nowy dzień.

Miałem trzynaście lat, kiedy zakochałem się w Malwinie – drobnej szatynce o pięknych niebieskich oczach, zwilżonych miękkim, świetlistym smutkiem. Mieszkała w małym miasteczku niedaleko mojej wioski. Jeździłem – nie – leciałem tam na rowerze, niezmiennie wyprzedzanym przez tętno, a po upływie siedmiu skąpanych w euforii minut trzymałem w ramionach moją pierwszą dziewczynę. Co robiliśmy, prócz rzeczy oczywistych w naszym wieku

i stanie? Na przykład nadawaliśmy cyfrom ludzkie cechy. W ósemce dopatrywała się dwóch całujących się trójek, a w piątce – jedynki w ciąży.

– I z kapturkiem – dodawałem, bawiąc się jej włosami.

– Tak! – zgadzała się płomiennie. – W ciąży i z kapturkiem!

I zdawało mi się, że wszystko wokół nas – wonny wiosenny wiatr, drżące gwiazdy, srebrzyste jezioro – śmieje się razem z nią.

Spacerowaliśmy też często przez park, docierając do najbardziej utajonych jego zakątków. Zdarzyło nam się raz niechcący zobaczyć w akcji miejscowego ekszhibicjonistę, przed którym kipiące gniewem matki demonstracyjnie chowały swe niesforne, zdziwione dzieciątka. Nie było ku temu żadnego powodu, gdyż chwiejący się biedak wywoływał raczej litość niż strach. Zresztą, który maluch zdołałby odszyfrować rytmiczne ruchy nieśmiałego, skomlącego i przeważnie nietrzeźwego garbusa, którego zachowanie różniło się od powszechnie uznanych wyczynów uśmiechniętych panienek na ostatnich stronach popularnych gazet jedynie tym, że jego trudy pozostawały bez wynagrodzenia? W końcu jacyś „prawdziwi faceci”, znudzeni maltretowaniem żon i dzieci, pobili go i przepędzili z miasta.

– Szkoda mi tego pana – powiedziała, usiłując przegonić natrętnego komara, nie zabijając. – Ogólnie... wszystkich szkoda, prawda?

Patrzyła na mnie tak, jakby od mojej odpowiedzi zależała słuszność jej słów.

– Prawda.

Spotykaliśmy się przez całe lato, szczególnie w skwarne w tamtym pamiętnym roku, prawie co-

dziennie, aż pewnego popołudnia rodzice powiadomili mnie, że jakimś cudem wszystko się udało i zimą przeprowadzamy się do Stanów. Wtedy dopiero, zraniony tym obwieszczeniem niczym podstępna zatruta klinga, rozpaczliwie zacząłem przypominać sobie te wszystkie urywki poważnych dorosłych rozmów, które niby słyszałem – pewnie, że słyszałem – idąc po rower, jedząc kolację, grając w piłkę, ale za nic nie potrafiłem (a może nie chciałem) połączyć „wujka Karola z New Jersey”, „ciekawej propozycji”, „świątecznego stanowiska” i „wyjątkowej szansy” w jeden katastrofalny obrazek.

Moją pierwszą reakcją był oczywiście stanowczy i bezkompromisowy sprzeciw. Powiedziałem, że usiądę na kanapie i nigdzie się z niej nie ruszę, a rodzice niech robią, co chcą, mnie to nie obchodzi. Wiedziałem, że to niemożliwe. Wiedziałem, że będę musiał się poddać, bo nie miałbym ani gdzie, ani za co mieszkać – i w ogóle, co to za powód: dziewczyna z sąsiedztwa? Wiedziałem też, że z zewnątrz mój osobisty dramat ma wszystkie cechy komedii, skazany więc jestem na absolutną, kuloodporną samotność, której nikt nigdy nie zrozumie i nie podzieli.

Nie wiem, co było najgorsze: nasza pożegnalna randka czy gorączkowo-bezsenne czekanie na nią. Śmieszne to i smutne, ale nie da się uniknąć ostatniego spotkania. Co z tego, że nie urządzając żadnych oficjalnych pożegnań – uśmiechnięcie się i ściskanie dłoni – skoro mimo wszystko będzie to właśnie ta chwila, kiedy człowiek, który stał się częścią waszego życia, na zawsze je opuści. Później możecie nie wytrzymać i jeszcze się zdzwonić lub wręcz spotkać... Któreś z tych spotkań i tak będzie ostatnie.

Pamiętasz, jak poszliśmy na twój ulubiony pomost, gdzie dwa miesiące wcześniej tak uroczo tłumaczyłaś mi, że kiczowata może być pocztówka z zachodem słońca, ale nie sam zachód, bo Bóg na nikim się nie wzoruje? A pamiętasz, jak znaleźliśmy w wodzie małą plastikową skrzynię i robiliśmy jakieś głupie zakłady, próbując odgadnąć, co się znajduje w środku, a potem wyciągnęliśmy ją, otworzyliśmy – i okazało się, że jest pusta? Myślałem, że umrę, gdy spojrzałem na zegarek i zobaczyłem te cholerne cztery zera. Nadal nie wiem, jak i po co przeżyłem. Pocałowałaś mnie, a ja niezgrabnie włożyłem tobie

minipuzzle z ponurą małpką. Powiedziałaś, że jak zatęsknisz za mną tak strasznie, że straszniej już się nie da (tak powiedziałaś), to będziesz je układać i płakać, ale z radości. Pamiętasz?

Postanowiliśmy nie pisać do siebie i chyba dobrze zrobiliśmy, bo zabijać się trzeba z miejsca, a nie jak mucha w smole. Dlatego nie zamierzam opowiadać ci, co się ze mną działo w tym czasie (zabawne: mówię tak, jak gdyby minął tydzień). Tylko jedno muszę ci wyznać. Uspokajając i przekonując mnie do swojej niewątpliwie nadrzędnej racji, rodzice ciągle powtarzali ograny argument, iż przeżyję jeszcze mnóstwo małych i wielkich miłości – i powiem ci, że nie zaprzeczałem tym przykrym prawdom, wierzyłem w nie poniekąd, chociaż wcale mnie nie pocieszały.

Ale oto minęło czterdzieści lat, odkąd po raz ostatni spojrzałem w twoje smutne niebieskie oczy, na ciepłym drewnianym pomoście, pieszczonym przez leniwe wieczorne słońce – i nie spotkałem drugiej ciebie. Żaden inny uśmiech nie sprawił mi tyle przerażającej radości. Żadne spojrzenie nie przekuło mnie tak namiętnym, oczyszczającym bólem. Kobiety, w których miałem zaszczyt lub nieszczeście zagościć – zwyczajne i ekscentryczne, skromne i zarozumiałe, wierne i rozwiązłe – wywietrzały z mojej pamięci niczym dym hinduskich kadzidełek (gorzka preludium do tyleż męczących co bezskutecznych ćwiczeń z miłości tantrycznej). Zastanawiając się, cóż takiego miałaś w sobie, czego im brakowało, doszedłem do paradoksalnego wniosku. Nic. I właśnie to Nic ciągnęło i ciągnie mnie do siebie (czyli do ciebie) z całą elektryzującą mocą spóźnionej „eureki”. Byłaś po prostu tym, kim byłaś, i nie śmiałybym obarczyć twego magicznie nieprzejrzystego wnętrza zbędnym ciężarem jałowych przymiotników. Nawet ten smutek, który samowolnie wyczytywałem z twoich oczu, o niczym tak naprawdę nie świadczył, bo przecież rzadko się smuciłaś, aczkolwiek wesołą dziewczyną również bym ciebie nie nazwał. Każdą kobietę, w której zakochiwałem się w ciągu tych czterdziestu lat, da się streścić w krótkiej zjadliwej recenzji. O mojej byłej żonie mógłbym napisać habilitację z zakresu zaburzeń narodowo-patriotycznych. O tobie umiem jedynie milczeć.

Wciąż mówi się, że aby wzbudzić czyjeś zainteresowanie, a tym bardziej żądzę, trzeba mieć w sobie niezdefiniowane (i mocno przereklamowane) „to coś”. Guzik prawda. Gdybym miał wyłonić jedną nadrzędną skazę, niezmiennie przynębiającą mnie w tych wszystkich wymuszonych, poplątanych związkach, z małżeńskim włącznie, to posługując się pospolitą metaforą, musiałbym przyznać, iż największą udręką była dla mnie wcale nie próżnia wewnątrz naczyń, lecz wręcz przeciwnie – jego zawartość. Przywodzi mi to na myśl słynną przypowieść, w której do starego Mistrza przychodzi młody uczeń i natychmiast zaczyna opowiadać mu o swoich spostrzeżeniach, osiągnięciach, wątpliwościach. Mistrz tymczasem wlewa gościowi herbatę do filiżanki, aż zostaje ona wypełniona, a następnie kontynuuje, przelewając napój na stół i podłogę. Błyskawiczne oburzenie ucznia spotyka się, jak na przypowieść przystało, z niewzruszoną, wyważoną puentą Mistrza: „Twój umysł jest jak ta filiżanka. Dopóki go nie opróżnisz, żadne moje słowo do ciebie nie dotrze”. Kobiety, które znałem (nikczemne zastępstwa ciebie, mój niezastąpiony oryginał!), były po brzegi pełne przeróżnych poglądów, planów, marzeń, czasami autentycznych, częściej – zapożyczonych od rodziców, znajomych, pisarzy, psychologów. I nieważne, jakie to były poglądy: słuszne czy fałszywe, głębokie czy banalne, pokrywające się czy sprzeczne z moimi.

Zasmucał mnie sam fakt tego, że są, gdyż swą bezpłodną wichurą zanieczyszczały lśniąca powierzchnię niewysłowionej tajemnicy zwanej Duszą. I nie mówię tylko o kobietach, ale również o sobie. Zachęcenie przez cały ten medialny cyrk dookoła, wszyscy pragniemy czymś zabłysnąć, pokazać, że jesteśmy, że coś sobą reprezentujemy. Dlaczego? Po co? Będąc obok ciebie, nie czułem się ani inteligentny, ani fajny, ani dobry. W ogóle nie czułem siebie, a jednak akurat wtedy żyłem naprawdę. Później już tylko istniałem.

Poradnikowy morał uczy nas, iż doceniamy szczęście wyłącznie w trybie retrospekcyjnym. Nie zgadzam się. Mnie to przynajmniej nie dotyczy. Byłem absolutnie i perfekcyjnie szczęśliwy na tamtym pomoście. Więcej ci powiem: podświadomie przezuwałem, że szczęście to nigdy się nie powtórzy i jak widać, intuicja mnie nie zawiodła. Jakże mógłbym więc nie docenić tego deszczu błogosławieństwa, który spadł na mnie niczym nieproszona zbawienna prawda o życiu i śmierci? Zatem doceniać, na pewno doceniałem, tyle że nie rozumiałem w pełni sensu tego, co mnie spotkało. Teraz rozumiem. Dlatego też tak bujną, nieoswojoną tęsknotę wywołują we mnie te kruche poranne wspomnienia, pejzaże bez ramy, portrety bez twarzy – puste przestrzenie, które za wszelką, niekiedy zbyt wysoką cenę chce się wypełnić, dopóki nie stanie się jasne, iż nic nie zastąpi ich czystej, cudownej, wiecznej pustki.



czasem zdarza się
że cichną wiatry
i cisza martwo otula
to co zostało z drzew
parę zagubionych ludzi
szuka oswojonych miejsc
ale opadnięte liście
przykrywają całą ziemię
ktoś liczy gałęzie
ale mrok zabiera świat

stare kobiety
zgarbione nad miednicą
moczą zeschnięte marzenia
które jak dawno otrzymane róże
kruszą się przy dotknięciu
przytulając się do pieca
wyśpiewują zimnym kaflom
wszystkie dni które zgubiły
kołysząc się w rytmie czasu
który ciągle znikał za zakrętem

Wygwizdów story

Edison

To narodziło się trzeciego dnia. To było wtedy, jak na wiosce zabrakło prądu. Kilka dni żeśmy czekali pod domem i obserwowali słupy telegraficzne. Jak myśmy czekali. Tak mnie serce bolało. Zaniósłem to pod stół, tak jak ojciec kazał. Godzinami wpatrywałem się w jego fosforyzujące jelita. Przypominały twarz dziadka w skrzynce, którą zszedł do podziemi. Dziadek wbrew bajkowym opiniom nie miał szczęścia w życiu. Był dziadkiem bez orzechów.

Zjechać miał dopiero po południu. Liczył dwa metry i zawsze tylko na siebie. Gdy przyjechał, staliśmy pod chatą jak zawsze. Zawsze. Od kiego zaszyli mu espectral głęboko w plecach, wpadł w nałóg niebycia. Na serio. Schyliłem się pod stół. Patrzyłem, jak zamyka się w tym. Nie wiedziałem, jak można go dotknąć. Z najwcześniejszego dzieciństwa najbardziej pamiętam fotel, który przedziurawiałem palcami, by szukać skarbów. Tak samo czułem się teraz. To zawracało jednak pod moim dotykiem.

Wyszło samo. Chciałem je widzieć ostatni raz. Wiedziałem, że światło nie wróci. Polazłem na strych i zapaliłem trzy świece. Jedną obok rozsypanego żyta, drugą przy modlącym się szczurze, a trzecią rozświetliłem okno. Wiedziałem, że będzie już zawsze dobrze i nikt nigdy przez nikogo nie umrze.

Znowu agnosticus

W senniku wyczytałem, że mają zjechać na wiosnę. Moja suka się oszczeniła, więc myślałem, że przyjdzie jeszcze jeden świat. Wokół dnia krążyli już co prawda padlinożercy. Ale co z tego. Wyczekiwałem domu. Ktoś mi mówił, że tu był. Nadchodzili. Każdy ze swojej strony. A ty, człowieku, radź sobie z nimi sam. Ponoć ten, kto nigdy nie cierpiał, to największe bydle wszechświata. Nic nie mogłem zrobić. Tylko stać w miejscu z rozpalonymi jak drewno rękami. Co w takiej sytuacji radzi medycyna? Medycyna w takiej sytuacji popętnałaby samobójca.

Mostek

Po mostku biegały dwie dziewczynki. Jedna miała na imię Uważaj, a druga Spróbuj. Tak bardzo były do siebie podobne, że mostek nie wiedział już która to która. Musiał ryzykować. W końcu podjęto decyzję. Uważaj wpadła do stawu i utonąła. Druga przestała się bawić. Tyle razy próbowała i nie wyszło.

Jak by to brzmiało x lat temu (każdy wie kiedy), gdyby już były komórki?
Mamo, jestem w wagonie do Oświęcimia.
Koniec wiadomości i koniec podróży.

Chciałem sprawdzić, czy mówią prawdę o tym miejscu. W książkach wszystko jest wyolbrzymione. Na peronie dwa napisy – wyblakłe, ale żywe: *grozi śmiercią* i *achtung!*

Co prawda ludzie w białych uniformach ładują coś do pieca codziennie przed świtem, wielkimi szpadlami, a dymy lecą z kominów, ale to zapewne normalne o tej porze roku.

Nie czuć żadnej grozy ani smrodu włosów. Można mieć swoje żarcie, ale też nie darmo, tylko większe racje są za złejszą pracę. W pufie są teraz same ochotniczki, ale nadal

mają więcej niż inni, tutaj jest jak kiedyś. Może tylko, że nie słychać strzałów. Zapewne dlatego, że obozowy strażnik nie ma broni, ma tylko sprawdzać bilety. Wszystko zeszło na psy,

już nie jest jak dawniej.

Prawo

Tego dnia (a był to dwudziesty pierwszy dzień od złożenia jaj i drugi od wyklucia) wyszedłem do sklepu po wątróbkę, żeby ją zrobić na krwisto, ale inni drapieżcy już ją wykupili i zjedli.

Tego dnia chwilę później wróciłem do domu i kroilem bułkę nożem do mięsa i nóż znalazł mięso i przeciął je do krwi na pięć centymetrów dłoni, a krew krążyła w otwartym obiegu.

Tego dnia w tym czasie dwudniowe pisklęcia kilka godzin po dezercji starych przestały być głodne, przestały trząść się z zimna, przykryte przez sroki własną krwią zamarły (taka gorąca

krw, a takie zimne ptaki). Jeden z nich, wyrzucany przez balkon, jeszcze tlił się niemrawo. Ten dzień

wciąż trwa.

Lustro

Stojąc przed lustrem i goląc się, myślałem o moim życiu. Podążając za ruchem maszynki, zagłębiałem się coraz bardziej w analizę swego zachowania. Niestety, nie doszedłem do zbyt ciekawych wniosków... A dzień miał być taki normalny, jak to przy niedzieli. Jednak nie, zawsze coś stanie mi na przeszkodzie świętowania Dnia Pańskiego... Ale dlaczego przy goleniu? Dlaczego właśnie w tym momencie mój niesforny mózg postanowił spłatać mi figła i zaczął bez mojej najmniejszej ingerencji myśleć o własnym życiu?

Twarz pokryłem gęstą pianą. Przez pewien czas wyglądałem jak Święty Mikołaj. Z każdym pociągnięciem ostrza stawałem się coraz mniejszy, coraz bardziej gładki, dziecinny. Stoję na progu trzeciej dekady życia. Do tej pory nie osiągnąłem niczego, co byłoby godne uwagi. Moczę maszynkę pod ciepłym strumieniem wody... Skupiam się, aby nie dopuścić do zacięcia. Nie znoszę widoku krwi! Stroję najrozmaitsze miny, aby maszynka miała dobre przyłożenie. Czasami zazdroszczę kolegom, którzy nie muszą się golić. To takie głupie zające, mimo to muszą je od czasu do czasu wykonywać...

Rozmyślanie przy toalecie – jakby nie można było tego przesunąć na wieczór, kiedy w spokojnym otoczeniu można usiąść, zapalić papierosa i wtedy oddać się kontemplacji. No nic. Myślałem o wielu rzeczach. Prerażający jest dla mnie fakt, że niewiele jest rzeczy, które opanowałem w jakimś stopniu... Kładzenie paneli, małe prace remontowe, naprawa samochodu czy prosta hydraulika stanowią dla mnie zagadkę.

Wielu z moich znajomych ma to szczęście, że potrafi założyć na przykład wycieraczkę samochodową, potrafi ułożyć sobie życie po swojemu, nie ma problemu ze znalezieniem dziewczyny. Ba, część z nich ma już żony, dzieci, żyją razem i mają się dobrze. A ja? Ja pomimo braku dziewczyny, a tym samym żony i dzieci, będąc wolnym strzelcem, osobą, która ma czas na różne dość przyjemne rzeczy, nie potrafię wziąć życia w swoje ręce. Jestem niezdarny, upupiony, zbyt pochłonięty przez książki i inne głupoty...

Przez myśl przemknęła mi przyszłość, jednak postanowiłem nie poruszać tego tematu. Boję się przyszłości, boję się życia. Nie jestem przygotowany... Dlaczego? Przecież staram się o względy dziewczyny, którą kocham. Już nawet jej rodzice mnie polubili. Kiedy rozmawiałem z jej ojcem, dowiedziałem się, że jestem lubiany w ich domu. Rodzice kobiety mojego życia, z którą jednak nie jestem, w pełni mnie zaakceptowali. Szkoda, że moja luba jest innego zdania... Kiedy byłem na małym spacerze z jej ojcem, przyznał mi, że chciałby, abym to ja był mężem jego córki. Powiedział, że jest pewien mojego sukcesu w życiu zawodowym, że widzi, że nie jestem głupi i dam radę utrzymać siebie i lubą na dobrym poziomie. I później ta wódka nad ranem... Do szóstej rano siedziałem z nim i popijając Smirnoffa, rozmawiałem o przyszłości mojej i jego córki. To bardzo dziwne uczucie, kiedy w zasadzie obcy ludzie mają więcej wiary w ciebie niż ty sam. Niestety, tak to już jest... Kocham ją, jednak trzy lata znajomości to dla mnie za mało. Nie jestem pewien. Ta ciągła niepewność! Niezdecydowanie, wieczne niezadowolenie i stagnacja. Chociaż nie, jak jestem pod wpływem alkoholu, potrafię przejść do działania... Jak wtedy, we Francji. Moje marzenia erotyczne (których mam niezliczoną ilość) urzeczywistniły się w pewnym stopniu. Pierwszy raz zobaczyłem wtedy kobiece piersi... Mało tego, dotykałem ich, w dłoni czułem ich idealną strukturę, kształt, ciepło... Romantyczny wieczór przepełniony

alkoholem, dziewczyna na moich kolanach, która nie bała się mi zaufać... Tkliwy dotyk jej dłoni, kilka pocałunków, podniecająca intymność tłumiona przez zamroczenie wódką... Słodkie zakamarki, dające uczucie spełnienia i wytnienia... To tylko jedna noc, jedna spośród tylu set przeżytych! A gdzie reszta tych nocy? Tych cholernie samotnych, pustych nocy, podczas których nieraz układałem idealne scenariusze mojego życia? Gdzie zabawy, głupia młodość, gdzie błędy, za które powinienem żałować?

Niekiedy mam wrażenie, że nie jestem stworzony do życia... Wieloletnie osamotnienie mogło zaowocować tylko w jeden sposób – pisanie stało się odskocznią od przygnębiającej codzienności. Jednak rzadko bywam natchniony. Nie przejawiam też talentu, a poziom moich prac pozostawia wiele do życzenia. Stojąc w toalecie, kontemplowałem również istotę pisania, talentu, tworzenia... Pisać pod natchnieniem – nigdy tego nie doświadczyć... Czym jest więc owo natchnienie, które przychodzi zniemacka, burzy postawione ściany i nakazuje budować od nowa? Natchnienie nie istnieje. To, co większość twórców nazywa natchnieniem, jest w rzeczywistości tylko prowokacją skłaniającą do napisania, do stworzenia dzieła. W życiu twórcy najistotniejszą cechą jest zdolność obserwacji. Jeżeli jest się dobrym obserwatorem, to inspiracja przychodzi sama. Skąd wziąć pomysł na wiersz? Znikąd. To pojawia się bez ingerencji autora. Słowa układają się same, zaś twórca pomaga im tylko w egzystencji, zapisując je na papierze. Wymyślanie na siłę, zmuszanie się do napisania czegoś jest rzeczą niemoralną. Naturalnie, artysta może ingerować w materię zwaną słowem, nadając jej odpowiednią stylistykę, ma prawo kształtować ją w pewien indywidualny dla każdego sposób, jednak nie powinien dawać życia czemuś, co jest w procesie twórczym nienaturalne.

I znowu daję sobie wyraz tego, że nie jestem człowiekiem wartym uwagi. Nawet to, co kocham, nie zostało przeze mnie opanowane w dobrym stopniu. Kim więc jestem? Wydawałoby się proste pytanie, trywialne, podstawowe... Jednak zadając je sobie, mam problem z uzyskaniem odpowiedzi. Jestem dwudziestojednoletnim mężczyzną, który... Mężczyzną? To stwierdzenie podlega polemice. Wszak kim jest mężczyzną? Jest człowiekiem zdecydowanym, pewnym siebie, który ma w życiu cele. Odnacza się silnym charakterem, dynamicznością, spontanicznością. Lubi uprawiać seks, a popęd jest wyznacznikiem jego charakteru. Lubi przebywać ze znajomymi, rozmawiając przy tym o samochodach, ilości kobiet, które zdobył, i o tych, które są nie do zdobycia. Zna się na naprawach sprzętów wszelakiej maści, jest odpowiedzialny i sumienny. Więc jestem dwudziestojednoletnim chłopakiem, który stoi przed lustrem i goli twarz. Uczę się. Nie mam dziewczyny, ale walczę o nią. Nie mam w życiu celu. Jestem wygodny, leniwy, pasywny, nie uprawiałem seksu, lubię papierosa. To chyba tyle. Nie potrafię opisać siebie dokładniej.

Dużą odwagę wykazałem, przyznając przed sobą, że chcę zapuścić włosy oraz że lepiej pracuję w nocy niż za dnia. To było dla mnie bardzo ważnym momentem – przyznanie się przed samym sobą. Tak żeby nikt nie słyszał, cichutko, gdzieś w głębi mnie poczułem ulgę i zadowolenie. Zrzuciłem namiastkę kajdan, które narzucają mi znajomi, rodzina, społeczeństwo, normy religijne i społeczne. Przez całe życie robiłem coś pod dyktando innych osób. Wmawiano mi niejednokrotnie, że rano, zaraz po porannej toalecie człowiek jest najbardziej twórczy i pracuje mu się najlepiej. Wierzyłem w to. Żyłem według wskazówek wszechwiedzących nauczycielek, księży... Potrafiłem się przezwyciężyć i w wieku dziewiętnastu lat powiedzieć, że ja, J., czuję się najlepiej w nocy. Wtedy wszystko jest lepsze, łatwiejsze, prostsze...

A gdyby tak mieć jakąś ukrytą tożsamość? Być kimś innym, stworzyć dla siebie teatralną rolę, dla której sceną byłoby życie? Zrealizować swoje kwestie, być w stu procentach nienaturalnym, sztucznym, wymyślonym... Zachować jedynie wygląd fizyczny, zmienić psychikę, zwyczaje – na potrzeby roli... Intrygujące! Jednak kim mógłbym się stać? W kogo miałbym się wcielić?

Mój bohater nazywałby się Jan. Jasiek. Byłby młodym, przystojnym studentem, który cieszy się życiem. Zdobywa kobiety, nie przejmując się konsekwencjami. Jest aktywistą, uprawia przygodny seks gdzieś na dyskotekach, popala marihuanę, wyjeżdża ze znajomymi na wakacje, jest spontaniczny, próbuje smaków życia... Ach, gdyby to było możliwe!

Ja jednak stoję przed lustrem i golę się. Widzę chropowatość mojej skóry. Chwila nieuwagi i ciach! Zaciąłem się... Stróżka czerwonej gęstej krwi miesza się z bielą piany. Drąży korytarzyk, spływa ku szyi. Nie poczułem nawet bólu. Spokój zaburzyła mi ta mała, czerwona linia. Wtedy splukałem pianę. Nabierając wodę oburącz, zbliżyłem dłonie do twarzy. Poczułem ciepło. Po zmyciu piany uniosłem głowę. Zmoczyłem przy tym włosy. Wziąłem ręcznik i wyprostowałem się. Ocierając się, spojrzałem w lustro. Ujrzałem swoją twarz. Wyglądała okropnie. Zobaczyłem w nim starca – pełnego zmarszczek, bruzd, ran. Okrutny grymas rysował się na moich ustach. Nie było tam cienia szlachetności. Tylko zmęczenie, życie i ta czerwona smużka krwi... Nie wystraszyłem się tego widoku. Znałem go dokładnie, każdy szczegół był mi bliski. Wewnętrznie tak się właśnie czuję. Osamotniony starzec, dziwak ze szramami na gębie.

Tak oto lustro jest odzwierciedleniem mojej duszy. Trwaliśmy w bezruchu: ja i ja z odbicia. Oczy nie miały blasku, były mdłe, bez wyrazu. Serce biło mi coraz szybciej i sam nie wiem, czy ze smutku, czy z radości, czy z zupełnie innego powodu. Po kilku minutach wróciłem do siebie i w lustrze widniała moja dzisiejsza twarz. Odwiesiłem ręcznik, na którym oprócz mokrego śladu wody widniały czerwone plamy krwi. Osuszyłem ręce. Poprawiłem szybko włosy i nie spoglądając w odbicie, zgaśliem światło.



Cytryniarka

lubiła oglądać swoje dłonie w skośnym lusterku
nad skrzynką cytryn w osiedlowym warzywniaku
(bo wybierała je starannie)

interesowały ją tylko cytryny
i sól
w proporcji jedna sztuka do jednego kilograma

dla zabawy z namaszczeniem przesuwała po nich palcami
(kiedy miała długie paznokcie sprawiało jej to jeszcze większą frajdę)
rytualnie podawała je ekspedientce gestem pełnym godności
uśmiechając się uroczo do niej i do jej głupkowatych adoratorów
tak żeby się podroczyć
wychodząc rzucała miłe do widzenia

jaka miła dziewczyna – myśleli

do czasu aż poczęstowała ich lemoniadą

Piaskownica

balkony wystają z pobazgranego bloku
jak niewyraźni kumple pod sklepem –
z powyginanymi barierkami i drącymi się babami

spluwają z goryczą na pustynię
wczorajszym deszczem i przecenionym złotem

podróżnicy budowniczey i geologowie
toczą z grabarzem walkę o miejsce w piaskownicy
chowana jest żywcem gąsienica
bo nikt nie przeczuwa że będzie motylem

babko babko udaj się
bo jak nie to w łeb

odrobinę rażące gwiazdy
śpiewają przyszłe przeboje
między skrzygnięciem huśtawki
a szurnięciem sandałów o piach
wskakują do piaskownicy z nieba

babko babko udaj się
bo jak nie to cię zjem

kiedy w piaskownicy zabraknie miejsca
wszyscy wiedzą co trzeba robić
piasek rozsypuje się poza drewnianą ramę

powstaje pustynia która zmieści każdego

Przemyt – sposób na życie

Wszystko jest jak rzut monetą: raz się uda, drugim razem nie. Bohaterowie tego reportażu mieszkają w jednej z miejscowości na pograniczu polsko-niemieckim. Przemyt jest dla nich jedyną możliwością zarobienia pieniędzy. Czy drogą bez powrotu? Czas pokaże.

– W życiu trzeba stawiać wszystko na jedną kartę – mówi Mango, wysoki przystojniak, którego oczom nie oprze się ponoć żadna dziewczyna. – Albo wóz, albo przewóz. Do tej pory zawsze mi się udało. Nas obchodziło tylko jedno: przerzucić towar na drugą stronę Nysy i zostawić go w umówionym miejscu. Nazajutrz, gdy towar był odebrany, każdy dostawał po sto marek za przeniesienie stu sztang fajki. Jedna noc i zarobek ponad milion siedemset tysięcy złotych na czysto.

Ryzyko

Do interesu wkręcił go pochodzący z centralnej Polski chłopak jego siostry. Miał już własną grupę wielbłądów i sam załatwiał towar.

– Najbardziej bałem się niemieckich zolli. Raz trafiliśmy na nagonkę, musieliśmy porzucić towar i uciekać z powrotem na polską stronę. Nigdy w takim tempie nie forsowałem Nysy. Kumpel nieomal utonął. Szef stracił towar za czterdzieści milionów, my nie otrzymaliśmy swej działki. Najgorzej było jesienią, forsowanie lodowatej wody i marszobieg w mokrych łąkach półtora kilometrów w głąb Rzeszy. W drodze powrotnej marzyłem tylko o ciepłym łóżku.

Na własną rękę

Mango wkrótce postanawia się uniezależnić. Odnawia znajomość ze starym kumplem ze szkoły, który dwa lata pracował w Niemczech. Ma tam znajomości, załatwia zbyt. Razem kupują starą ładę i wspólnymi siłami ją remontują.

– Stare auto, jeśli nas skasują, straty będą znacznie mniejsze. Nie chcemy ryzykować i narażać jego nowej corsy.

Nowa metoda

Razem postanawiają przerzucać fajki samochodem. Zaczyna się od kilkunastu sztang, z czasem rzuty towaru są coraz większe.

– Najbardziej zagrażają nam niemieccy zolle. W razie wpadki kasacja auta i towaru, kajdanki i pucho, lecz czego się nie robi dla pieniędzy.

Na towarze mają podwójną przebitkę. Fajkę kupują od rosyjskich dilerów. Płacą od dziesięciu do dwunastu marek za sztangę, a po drugiej stronie Nysy kasują od dwudziestu czterech do nawet trzydziestu marek, w zależności od odległości od granicy – im dalej, tym towar jest droższy.

Pieniądze

– Najbardziej lubię przeliczać pieniądze w swoim portfelu – ciągnie Mango. – Mogę to robić godzinami.

Na początku się trochę nimi zadławia. Imprezy w dużych miastach, najdroższe knajpy, hotele, ładne dziewczyny i wykwintne alkohole. Po kilku dniach – pusta kieszeń i kac moralny. Potem głów-

kowanie, skąd wziąć pieniądze na zakup towaru. Ostatnio trochę zmądrzał, kupili sobie nawet dobre auto, jednak nie myśli serio o przyszłości i żyje dniem dzisiejszym.

Praca

– To jest mój zawód – kontynuuje Mango. – Po wyjściu z woja zapisałem się do RUP jako bezrobotny. Zakład, w którym pracowałem, już nie istnieje. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę jeszcze gdzieś pracował. Chcę jeszcze zrobić kilka dobrych rzutów i pomyśleć o własnej firmie. Niedawno byłem w Krakowie, przy Dzwonie Zygmunta pomyślałem sobie życzenie, jednak dotknąłem go prawą ręką. Teraz nie wiem, czy się spełni.

Nie wszystkim się udaje

Jaman, krępy, krótko ostrzyżony młodzieniec o twarzy rosyjskiego gangstera, w rzeczywistości bardzo spokojny i zrównoważony chłopak.

– Razem z trzema kumplami na własną rękę rzucaliśmy fajki przez Nysę. Ja z jednym kołesiem przenosiliśmy fajki przez rzekę. Dwóch pozostałych zgarniało towar po drugiej stronie. Dwa razy nam się udało. Za trzecim razem kołesie przyjechali za

późno. Towar z umówionego miejsca zniknął. Ktoś go po prostu zapierdolił. Nie wiem, czy niemieccy zolle, czy inna grupa przemytników. Ktoś w każdym razie sobie popali. We czterech straciliśmy towar za trzydzieści milionów. Wszystko jest jak rzut monetą, raz się uda, innym razem nie – spokojnym głosem stwierdza mój rozmówca, obracając w palcach jednomarkowy bilon. – Teraz nie mam nawet na piwo, znów trzeba zaczynać od nowa.

Jaman ma dziewczynę, z którą chodzi cztery lata. W przyszłości zamierzają się pobrać. Zarobione pieniądze chce włożyć w adaptację pomieszczeń gospodarczych na mieszkanie, gdyż teraz mieszka z rodzicami i starszym bratem.

– Jeśli mi się uda, to skończę z tym, jak się ożenię – mówi, jakby chciał się usprawiedliwić. – Mam fach w rękę, jestem dobrym mechanikiem i znam się na samochodach, zawsze znajdę robotę w jakimś warsztacie. Jednak na razie moje plany wyraźnie się oddaliły.

Spytany, czego życzyć mu na przyszłość, odpowiada spokojnie bez namysłu.

– Szczęśliwego powrotu na polską stronę.

grudzień 1995



Trawy

Wysłuchaj się w mowę traw
kiedy brata się z nimi wiatr
każdy listek i źdźbło
zespalać w jedno
poruszenie

Popatrz jak wędruje w nich
światło
i obłoków cień
a zobaczysz wytrwałość

Po pokosach wiosną i latem
po mrozach zimy
odrastają
uparte
by zielenieć i żyć

Zatrzymałem się w zaciszu ogrodu
za ścianą po której wspina się winorośl
Soki ruszyły – widać to po pąkach
w słońcu
Wpatrywałem się w twarze przebiśniegów
krokusów
jakbym szukał odpowiedzi
w pełni dnia
na przedwiośniu

Przy Nadbrzeżnej

Światło latarni
ogarnia i rozjaśnia bulwar
podgląda kochanków
i spóźnionych przechodniów
dotyka wody jeziora
jakby chciało przeniknąć toń
i odgadnąć

tajemnicę nocy

Podążam
za pstrągami
pod prąd

Szeleszczą
zeszłoroczne liście
Z pąków
wygląda świeża zieleń

Cień pojawia się i rozplywa
w wodzie strumienia
który dzień po dniu

pogłębia dolinę

Sieć

Dzwoniła znowu. Po raz setny może tego dnia wystukiwała kupione w internecie numery, roztaczając przed potencjalnymi kontrahentami wizje dobrodziejstw płynących z zakupu proponowanych przez nią usług.

Czy to były prawdziwe dobrodziejstwa, czy zwykłe oszustwo? Nie wiedziała. Ona miała tylko świeżym głosem, za każdym razem tak, jakby to był pierwszy klient, zachęcać do korzystania z reklamowanych propozycji. Radość rozmowy, entuzjazm młodości, wyrozumiałość dla chamstwa, łagodna perswazja dla tępoty. To były jej zadania na dziś. Jutro wszystko powtórzy się boleśnie od początku.

Ludzie, do których dzwoniła, zazwyczaj uprzejmie wycofywali się z rozmowy. Ona im dziękowała i oni dziękowali jej. Po obu stronach linii wiadomo było, że więcej się nie usłyszą. Tamci zaraz blokowali jej numer, ona przekładała stracony numer na listę do wtórnej sprzedaży innym firmom akwizytorom.

Ten dzień, jak poprzednie, zbliżał się do równie bezsensownego końca. Przebijanie się przez sekretarki, by dotrzeć do osoby decyzyjnej w firmie, wysłuchiwanie marnych tłumaczeń, by zatuzszować brak zainteresowania propozycją. A do tego wszystkiego jej dyplom z romanistyki i drugi z historii sztuki. Matrix, w który została podłączona, potrzebował tylko jej przymilnego głosu i debilnej potulności. Więc kolejny numer, kolejna odmowa, bariera myśli, pragnień, manipulacje, próba podtrzymania rozmowy i przerywany sygnał.

Człowiek, którego usłyszała na godzinę przed zakończeniem zmiany, zatrzymał ją na chwilę, potrząsnął kilkoma zdaniem, wyrwał z odrętwienia.

– Niech mi pani powie, ile to już lat dzwonicie do mnie, próbując sprzedać to czy tamto? – zapytał cholernie logicznie po wysłuchaniu jej wstępnej propozycji.

– Ja dzwonię do pana pierwszy raz, proszę pana... – próbowała wybrnąć, ale on przerwał, jakby wcale jej nie słuchał.

– Tyle już lat próbujecie mnie namówić na zakup koca gaśniczego, kredytu, kursu językowego, ignorując moje zapewnienia, że nie chcę – chwila przerwy, w czasie której stojąc, zachwiał się, próbując złapać równowagę. – Czy kiedykolwiek cokolwiek od was kupiłem?

– Nie wiem, proszę pana, jeszcze raz powtórzę, że dzwonię do pana pierwszy raz.

– A wie pani, co jest najgorsze? – Jego głos brzmiał teraz cicho, melancholijnie, jak głos kobiety gładzącej pukiel włosów na szyi. Pytanie zawisło tak dziwnie, że nawet dziewczyna z dwoma fakultetami, szkolona do owijania potencjalnych klientów marketingową siecią, nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Najgorsze jest to – ciągnął bezbarwnie, wybawiając ją z kłopotu – że jutro znów zadzwonicie, udając, że to pierwszy raz próbujecie wcisnąć mi ten koc, kredyt czy kurs. Czy pani nie jest tym zmęczona?

Chwila ciszy zapadła pomiędzy rozmówcami. Ona była zmęczona, choć przecież miała być świeża, jakby to był jej pierwszy telefon tego dnia.

Zmęczony był także on. Odeszła żona, problemy z potencją zauważył już po dwóch tygodniach spania z sekretarką, a kryzys zaciskał powoli sznur na gardle jego firmy. ZUS wszczął dochodzenie z powodu niepłacenia składek jego pracowników, księgowa nawet nie starała się zatuzszować malwersacji firmowych

pieniędzy, a z powodu lawin przepadł mu wyjazd na narty w Alpy. I ten ostatni akt destrukcji, ostatnia kropla goryczy przełała kielich.

– Wybacz pani, ale ta rozmowa nie ma sensu, wiem, że to nic nie da, nawet jeśli poproszę, żeby pani skasowała mój numer z państwa bazy danych – zamilkł na chwilę, wiedząc, że ona już nic nie powie.

Ta cisza trwała już jakiś czas, gdy usłyszał jej głos.

– Przepraszam pana.

Jego brwi uniosły się, rysy wyostrzyły, jakby nie dosłyszał, przycisnął komórkę mocniej do ucha.

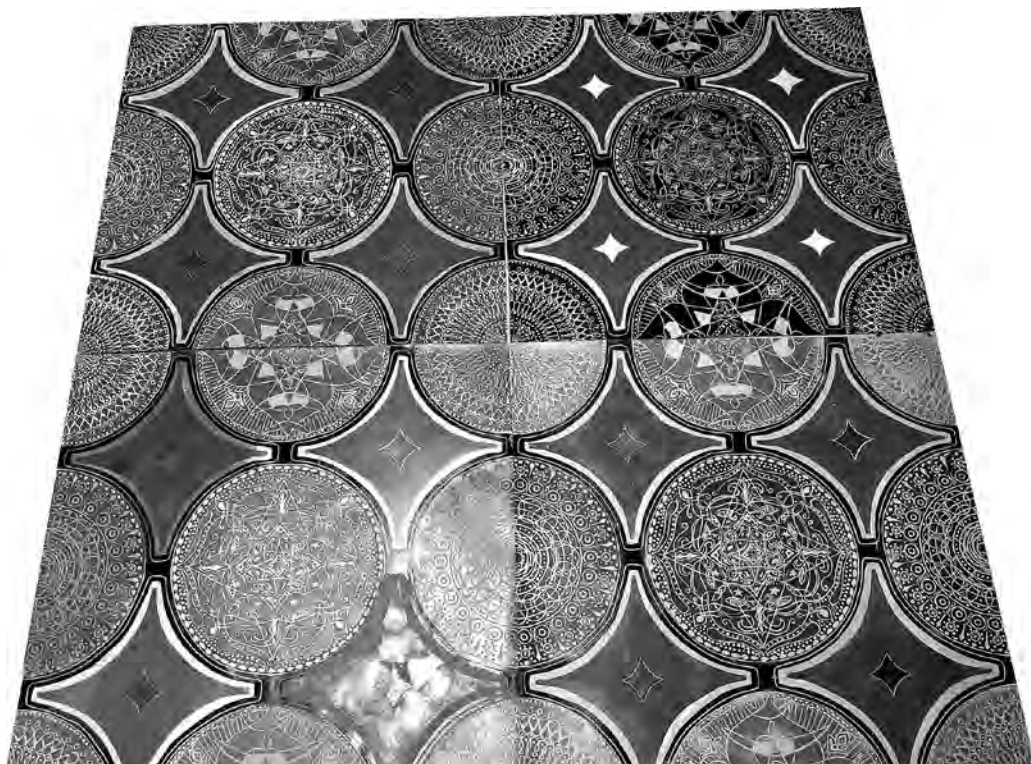
– Słucham? – zapytał z niedowierzaniem, rozluźniając nieco sznur na szyi.

– Przepraszam pana i kasuję pana numer – odpowiedziała dziewczyna i przerwała połączenie. Zdjęła z głowy chomąto telefonicznych macek, które od miesiący opłatały jej mózg.

A on zdjął z szyi powróż i zszedł ze stołka.

Usiadł ciężko na skórzanym, dyrektorskim fotelu.

Objął twarz dłońmi i zaczął płakać.



We śnie Rosemary
nosi szlafrok w róże
a miękkie usta chłopca
ssa jej młodą pierś

gdy sen zamienia się w światło
chroni się w kącie spichlerza
odkurza potłuczoną porcelanę
i kapelusz w kwiaty

siedzi i czeka
zmęczona zasypia
jej sen tonie
w oczekiwaniu pełnym grozy
nie otworzy już żadnej książki
nie umyje okien
będzie jej coraz mniej

jutro po raz ostatni włoży buty.

Już wiem że to niemożliwe
pozostać w tym mieście
gdzie martwy bulwar
i czarne twarze kloszardów
zapowiadają niespokojną noc
płatany myślą szlak
do posągu Kolumba
wskazującego kierunki
twoją północ
moje południe
jedyna pewność
że jutro usłyszymy dzwony
zadymi jajecznicą
zwiniemy prześcieradła
przetoczą się śmieciarki
i zadrwią z nas okaleczone drzewa.

Miasto

Jesteś
huczącym miastem we mnie
zbudowałam cię
na zielonym jeziorze
które wypłynęło
z uniesionych w niebo źrenic

rozciąłam je
wytrysnęły hojnie

z twoich murów patrzę
na dalekie osady
w których palą się
prawdziwe ognie

oddziela mnie od nich
warowna przestrzeń
przepaść
przez którą nigdy
nie przerzucę mostu

jesteś we mnie
miastem osobnym.

Nienarodzona
histeryzująca
krzycząca nieznośnie

nigdy nie spełniona
zatopiona
w bursztynie mojego ciała

gotowa
by żyć

uniesie mnie w zaświaty
nie wrócę już.



Jerzy Szewczyk

Vivat Jubilat!

Z Januszem Koniuszem zetknąłem się, gdy był redaktorem naczelnym „Nadodrza”. Na Ziemię Lubuską przybyłem w roku 1960 z wykształceniem, które raczej kolidowało z przygotowaniem zawodowym redaktorów tego czasopisma. Po kilku podejściach w „Gazecie Zielonogórskiej” zdecydowałem się na obszerniejszą publikację z pogranicza świata techniki i humanistyki. O dziwo, tekst został wydrukowany, sprawiając mi wielką satysfakcję. Zachęcony powodzeniem oraz otrzymanym honorarium napisałem jeszcze kilka tekstów.

Dokonania redaktorów zawsze robiły na mnie duże wrażenie, a ich samych darzyłem dużym szacunkiem. Moja ówczesna praca zawodowa

i społeczne zainteresowania nie sprzyjały bliskim związkom z literaturą – na dobre zostałem wciągnięty w jej krąg dopiero około roku 2000. Natomiast od dawna w swojej biblioteczce kultywuję *Złotą dzięć Bolesława. Podania, legendy i baśnie Ziemi Lubuskiej*, książkę wydaną w Poznaniu w 1975 roku, a zawarte w niej treści są ważnym źródłem wiedzy o historii, kulturze i legendach regionu lubuskiego, który pierwotnie był dla mnie nieznanym obszarem kulturowym (wywodzę się z łódzkiego)

Parokrotnie po 2000 roku uczestniczyłem w prezentacji twórczości Janusza Koniusza na spotkaniach, m.in. w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej. Szczególną estymą darzę jego *Wiązania pamięci*, podskórnie czując nutę zazdrości, gdyż autor wielokrotnie uczestniczył w spotkaniach z tuzami literatury polskiej, potwierdzając silną pozycję w świecie kultury lubuskiej. Pamiętam reprimendę, jakiej mi udzielił w czasie promocyjnego spotkania, w kwestii wyraźnej różnicy między Górnym Śląskiem a Zagłębiem Śląsko-Dąbrowskim. Wiedział dobrze, bo przecież urodził się w Sosnowcu-Niwce, studia odbył w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Katowicach (finalizował na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu). Zapewne dlatego nie trącił w jego głosie nigdy akcent regionalny.

Koniusz nie jest człowiekiem, który pragnie głośno demonstrować swoją publiczną obecność i rolę w krajobrazie twórczym Ziemi Lubuskiej. Na literackich spotkaniach jest często obecny, ale rzadko zabiera głos, a jeżeli już, to jest to czysta literacka polszczyzna. Pamiętam jego proste, szczere wystąpienie na wręczeniu Wawrzynu Lubuskiego w 2008 roku.

W dorobku artystycznym posiada ponad 25 książek, jest twórcą i redaktorem zbiorów i antologii, 10 słuchowisk radiowych, aktywnie uczestniczy w pracach Związku Literatów Polskich, juroruje w konkursach poetyckich, wspiera Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów i inne organizacje kulturalne.

Współpracując z nim poetka, aktorka, miłośniczka kabaretu, Halina Bohuta-Stąpel stwierdza, że Koniusz wnosi ważne merytoryczne uwagi przydatne w przygotowaniach do spektakli. Podkreśla, że robi to z finezją i wielką perfekcją, wykorzystując na dodatek nowoczesne media, którymi biegle



Janusz Koniusz

dysponuje niezależnie od zaawansowanego wieku. Nie jest odosobniona w poglądzie, że Koniusz to człowiek dystygnowany, szarmancki wobec kobiet i życzliwy wobec otaczającego go środowiska. W zamian otrzymuje spore zainteresowanie, jako człowiek i wybitny poeta. Do dziś jedna z wielbicielek jego talentu wspomina wizytę z Henrykiem Szylkinem w Palmiarni, gdzie usłyszała przed 40 laty wiersz o wiejskiej dziewczynie ze słynnymi marchewkowymi obcasami. A obiad u Papuszy? Czyż nie stał się inspiracją wiersza? A wieczór autorski Nadziei Łukaszewskiej w Letnicy – czyż nie ozdobił go dialog z Gustawem Bernackim o smakowaniu rosołu?

W mojej opinii twórczość Janusza Koniusza jest ponadczasowa, zaś aktywność nie wypływa z systemu społeczno-politycznego. Wcześniej jego twórczość była zauważalna, ale to władza nobilitowała ją, przydając sobie funkcje mecenasa kultury.

Janusz Koniusz jest postacią znakomitą, poetycką widokówką Ziemi Lubuskiej. Muzom podziękujmy, że tak jest. Sto lat, Panie Januszu!

Zielona Góra, 25 stycznia 2014

Wędrowiec

dla Janusza Koniusza

Na szczycie góry przysiadł samotny Wędrowiec
I zdało mu się że to góra pisze wiersze
Ale słowa rozsypały się
A metafory porwał wiatr

Kiedy Wędrowiec chciał postawić kropkę
Zjawił się Biały Anioł i powiedział:
– W tobie i poza tobą
W każdym oddechu – wiersz
Jeszcze nie czas na kropkę

O Januszu Koniuszu nielaurkowo

Kiedy człowiek dożywa późnego wieku, np. 80 lat, to – kolokwialnie ujmując – w ciemno można założyć, że wiele już za nim doświadczeń, przeżyć, uwikłań, potknięć, spotkań z ludźmi (niekoniecznie prostej proveniencji), no i dokonań, zwłaszcza jeśli to był ktoś przez cały czas aktywny, np. jako pisarz, działacz, artysta, polityk. Janusz Koniusz (ur. 1 lutego 1934 roku w Sosnowcu-Niwce) jest właśnie w takiej sytuacji. Tak naprawdę, gdyby rzetelnie, szczerze i w miarę dokładnie swoje doświadczenia i przejścia spisał, to pewnie byłoby co czytać z zapartym tchem. Rozległy jest czas jego życia – lata przedwojenne i wojenne, czyli dzieciństwo w rodzinie górniczej. Wcześniej śmierć ojca-górnika pracującego w kopalni „Niwka”. Studia na WSP w Katowicach. Wyjazd z nakazem pracy na Ziemię Zachodnie (1954). Najpierw do Sulechowa, a potem pobyt już przez wszystkie lata, aż do dzisiaj, w Zielonej Górze. Pierwsze

jego wiersze to utwory socrealistyczne (debiut w „Życiu Literackim” 1951, wiersz *Droga*) i trudno się dziwić, bo realnie patrząc, czy mógł w tamtym czasie młody człowiek pisać inaczej? Po kilku latach, okazało się konieczne na nowo określenie poetyki i świata poetyckiego. *Ślad przelotu*, niewielki zbiorek, wydany w 1958 roku, to wyraźnie pokazuje. Działo się to wszystko w czasie przemian polskiego Października, kiedy to do władzy doszedł Władysław Gomułka. Miały miejsce wystąpienia robotnicze w czerwcu 1956 roku w Poznaniu. Cała literatura polska wtedy się wyzwalała z narzuconych jej ograniczeń. Chyba – tak się zastanawiam – te perturbacje musiały jakoś się w Koniuszu odciskać. Zmuszać do przemyśleń. Bo nie wierzę, że nie. Dzieje PRL-u ciągle dostarczały, przypuszczam, nawet członkowi Partii, jakim Koniusz był do samego końca jej istnienia, różnych wstrząsów i dylematów wewnętrznych. Nie zakładam nawet, a może się mylę, że spokojnie i bezrefleksyjnie przyjmował np. zdjęcie przez cenzurę dejmkowski *Dziadów*, co wywołało potem dramatyczne studenckie protesty w całej Polsce, a następnie, po wydarzeniach Marca 1968, rozpętana przez prawicowy odłam (mocarowców) w PZPR antysemicką nagonkę, w wyniku której wyrzucono z Polski tysiące Żydów (ok. 20 tys.). Wtedy też przypuszczano ataki na pisarzy (Jasienicę, Kisielewskiego,



Andrzejewskiego i innych), których objęły zakazy druku i inne szykany. Jak sobie Koniusz z tym wszystkim radził? Widział przecież i obserwował. Pamiętam to wielogodzinne przemówienie Gomułki w Sali Kongresowej i tę wrzawę, bo nie tylko brawa na stojąco, zebranych towarzyszy, jako znak zbiorowego aplauzu dla gromkich słów w przemówieniu I sekretarza tow. Wiesława. Wkrótce miało dojść do krwawych wydarzeń na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku. Zginęły dziesiątki ludzi. Mówiąc wprost – czy zastanawiał się Koniusz, po której jest stronie, co naprawdę legitymizuje, jakie racje w tym konflikcie i późniejszych represjach stosowanych wobec społeczeństwa? Tych represji nie było końca: wydarzenia w Radomiu, Ursusie (1976), aresztowania, stan wojenny po 13 grudnia 1981. Znowu zginęli ludzie. To był dramatyczny ciąg wymuszający myślenie. Towarzyszyła mu retoryka „Trybuny Ludu”, której lekturę wielu poczytywało sobie za poranny obowiązek. Przytaczam te przykłady i zadaję te pytania nie po to, by tę przeszłość faktograficznie przywoływać, ale chcę w gruncie rzeczy pytać np. o ślad tejże rzeczywistości, jej odcisnięcie, w uprawianej twórczości. Czy to jest zasadne? Lubuski pisarz, autor *Tempa krążenia*, *Z Kaina i Abła* czy *Mojego stworzenia świata* (także kilku tytułów prozy i publicystyki), mimo że z perspektywy prowincji, to jednak w obrębie własnego warsztatu dokonywał na bieżąco obserwacji i obrachunków. Należy się zastanawiać, jaki wynikł z tej presji rzeczywistości obraz. W każdym razie wszystko to składa się na wzmiankowaną na początku tekstu wielość życiowych przeżyć, będących udziałem Janusza Koniusza. Nigdy wewnętrznie błahych. Tak sądzę. Oczywiście nie tylko jego samego, bo wielu pokoleń Polaków. Nie chcę tego rozstrzygać, to byłoby za trudne i ryzykowne. Historia w poezji Janusza Koniusza uobecniła się, nie wprost, ale uniwersalnie – jako determinanta jego podmiotowego bytu. Ciągłe do niej wraca i nieustannie próbuje ją konfrontować z własnym, jednostkowym „ja”. Ma ona w jego utworach moc niszczącą. Ubezważniającą. Pozostaje bezradność, poczucie klęski i rozpadu. Dzisiaj tamten czas zmagani, na styku z bieżącym życiem i polityką, choć ciągle wążący na naszej teraźniejszości, głów-

nie interesuje badaczy. Pozostają postawione pytania. Cóż może jednostka wobec maszyny dziejów? Co ona jest w stanie zrobić, do czego jest zobowiązana? Zapewne kiedyś ktoś spróbuje w materii napisanych wierszy Janusza Koniusza odnaleźć piętna tego skomplikowanego okresu. Są przecież obecne, choć wyrażone w zawoalowanej postaci, przyjmując kształt refleksji ogólnoludzkiej. To sprawa odniesień makro. A w sferze mikro, na lubuskiej prowincji, miały od samego początku miejsce różne, organiczne, podstawowe starania, gdyż instytucje kultury trzeba było powołać, nie bez pokonania wielu trudności. Mogły się jawić te zadania górnolotnie, w kategoriach młodzieńczego romantyzmu. Taki był czas i szansa przed pokoleniem nazywanym mianem „pionierów”. Codzienność jawiła się pewnie niebanalnie – ponieważ jako zdobywanie świata. Relacje z innymi, konkretne zadania, niekiedy dalekie od literatury. Sprawy mniejszej czy większej wagi w przeciągu kilku kolejnych dekad. To była praca na prowincji. Tą prowincją (powiatową) fascynowali się też pisarze z perspektywy Warszawy. Przyjeżdżali. Koniusz swoich gości po niej oprowadzał. Z tych spotkań wyniknęły dwie książki. Dowiadujemy się z nich o odwiedzającym Ziemię Lubuską Władysławie Broniewskim, Julianie Przybosiu czy Stanisławie Piętaku. Janusz Koniusz wiele lat sekretarzował w LTK, potem był redaktorem naczelnym „Nadodrza”. W trudnym politycznie okresie, gdy powstała Solidarność i gdy nastała ciemna dekada lat 80., miało „Nadodrza” za redaktora Janusza Koniusza lepsze i gorsze okresy. (W końcowych latach traciło na znaczeniu). Można przytaczać różne argumenty na rzecz osiągnięć lub podchodzić do nich krytycznie. Tu otwiera się też pole dla wspomnień, opisu jego charakteru etc. Tu jest szansa zobaczenia człowieka w różnych konkretnych sytuacjach, kiedy styka się realnie z problemami, z kolegami w redakcji „Nadodrza”, z pisarzami i czytelnikami w terenie (o tym traktują jego wspomnienia *Kamień z serca* i *Wiązania pamięci*), pełniąc funkcje w powołanym oddziale ZLP (1961). Odbywa podróże, wywołuje swoją postawą różne reakcje, czasem sprzeczne, budzi liczne opinie czy nawet niechętnie osądy. Toczyła się jak zawsze, tak i wtedy, gra towarzyska, jej uczestnicy mieli swoje różne racje i interesy, w tym

również Janusz Koniusz starał się mieć swoje racje. Trochę wiem o tym, bo było tego multum. Wiem z tego względu, że mogłem krótko, ale z bliska, przyglądać się podejmowanym działaniom. Przejąłem po Januszu Koniuszu, jesienią 1980 roku, dział literacki w „Nadodrze”, ową wypominaną mi ćwiartkę etatu. Tę osobniczą sferę, różne epizody, na bazie swoich obserwacji starał się przedstawić dość wyczerpująco na pewno Zenon Łukaszewicz w książce *Mój alfabet*. Jak na pamflet przystało, nie zawsze obiektywnie i sprawiedliwie. Gdyby dzieło literackie Janusza Koniusza ulokowało się bardzo wysoko na firmamencie polskiej literatury, to te drobiazgi życiowe i zawodowe przygody z ludźmi ktoś postawiłby w centrum uwagi, rozsypując biograficzne wątki niemiłosiernie dokładnie, jako barwne sensacyjki, tak jak to ma miejsce dzisiaj choćby w przypadku Papuszy lub innych ważnych osób i pisarzy w Polsce. Sensacyjki składające się na mitologię postaci. I można byłoby się w tym rozczynywać. Obrazowałyby człowieka w systemo-

wych i prowincjonalnych uwarunkowaniach, które nie za bardzo uprawianiu pisarskiego zawodu służyły. Chcę zauważyć, że Koniusz był zawsze osobą pracowitą, nie tylko jako ktoś w redakcji dbający o słynne „przecinki”. Ale i wcześniej jako działacz, kiedy to starał się właśnie z ramienia LTK ożywiać kulturalnie Ziemię Lubuską, lokalne środowiska wspierać pomysłami – owe powiatowe miasteczka, domy kultury lub poszczególne osoby. Swój czas dzielił na te dwie sfery: redaktorsko-„działaczowską” i pisarską. Nie bez ceny, jaką musiał zapłacić. Dokąd w tych warunkach udało mu się jako pisarzowi dojść lub nie dojść, nie podejmuję się ustalać. Obydwie ciągoty do dzisiaj w Januszu Koniuszu tkwią (pisarza i działacza), mimo że od lat już jest na emeryturze. Wielu początkujących literatów lubuskich zapewne ma mu sporo do zawdzięczenia, choćby życzliwe, warsztatowe pochylenie się nad ich tekstami. Przyszłoby teraz czas jakby dla niego lepszy – czas bezinteresownego otwarcia się na drugiego człowieka.



Jubileusz dwóch Panów K., czyli z humorem i bardzo prywatnie o Koniuszu i Kurzawie

Już dziś nie potrafię powiedzieć, kiedy pierwszy raz usłyszałem o Januszu Koniuszu, ale wiem na pewno, że szybciej dowiedziałem się o jego żonie, autorce lubuskich legend i baśni. A było to w szkole podstawowej, kiedy omawialiśmy utwór o wbijaniu słupów granicznych przez Bolesława Chrobrego nad Odrą, autorstwa właśnie Pani Izabelli Koniusz. Będąc w szkole średniej, wiedziałem już, kim jest Pan Koniusz, jak pewnie każdy, kto miał w ręce „Nadodrze”. Osobiście z autorem *Tempa krążenia* zetknąłem się w trakcie studiów, kiedy należałem do Klubu Literackiego LTK oraz gdy zanośiłem wiersze do redakcji „Nadodrza” na deptaku i... kiedy spotykałem go na spacerze z psem, gdy dostojnie przechadzał się al. Niepodległości lub w Parku Tysiąclecia, w pobliżu którego wówczas mieszkałem. Nasze kontakty zacieśniały się, bowiem widywaliśmy się coraz częściej – na spotkaniach członków RSTK, w redakcji

komercyjnego miesięcznika „Zachód”, w redakcji dwumiesięcznika „Serce i Troska” przy ZG PTWzK, na spotkaniach autorskich, na zebraniach literatów...

Pamiętam, że w 1991 roku prosiłem o recenzję mojego tomiku *Taniec hipochondryczny* i wówczas Koniusz zaproponował mi przystąpienie do ZLP, z którego w owym czasie w modzie było raczej odchodzić niż wstępować. W tym czasie z szeregów Związku odchodził właśnie Sobkowiak, niedługo potem także Szyłkin i Kaziów. Ja jednak posłuchałem rad doświadczonego kolegi po piórze (jeśli mogę odważyć się na takie sformułowanie) i wstąpiłem do ZLP, mając wówczas 25 lat.

Drugą, cenną radę, jaką otrzymałem od mojego literackiego mentora w 1998 roku, było napisanie pracy doktorskiej. Wracaliśmy wówczas pociągami z Warszawy po wyborach władz Związku, kiedy ponownie wybrany na prezesa Zarząd Głównego



Janusz Koniusz



Eugeniusz Kurzawa

ZLP został Piotr Kuncewicz, którego z kolei miałem okazję poznać bliżej w 1999 roku w redakcji „Głosu Nauczycielskiego”. Pan Koniusz wiedział już o moim zamiarze wydania monografii o środowisku lubuskim, gdyż o środki na ten cel kilkakrotnie ubiegałem się w magistracie dowodzonym wówczas przez Z. Masternaka i M. Łapanowskiego. Publicznie skarżyłem się podczas winobraniowego Czwartku Lubuskiego, że zabiegam o fundusze na tak istotny cel, co niestety, zostało zlekceważone przez wiceprezydenta miasta.

Autor *Ładu i chaosu* zwykł mawiać, że „z władzą nie należy wojować, a raczej układać się w sferze kultury, bowiem niczego się wówczas od niej nie wywalczy. Ludzie władzy liczą na pochlebstwa, a nie na krytykę, a przecież w końcu oni przeminą, a my zostaniemy”... Szanse zatem pozyskania funduszy na wydanie monografii były wówczas żadne i wtedy padła rada z ust mojego literackiego koryfeusza, abym pracę tę obronił jako doktorat, a ewentualnie później poczekał z jej drukiem na sprzyjające wiatry.

Przyznaję, że posłuchałem jego rady i przy wydatnej pomocy kilku osób, zwłaszcza Alfreda Siateckiego, Zenona Łukaszevicza i samego Koniusza, którzy sięgając często do swoich domowych archiwów, łaskawie doradzali mi przy zbieraniu materiałów do pracy monograficznej, podjąłem starania o otwarcie przewodu doktorskiego. Pan Koniusz ubolewał nad tym, że sam napisał wiele prac monograficznych, będących często istotnymi przyczynkami naukowymi, jak chociażby pierwsza praca o zielonogórskim malarzu z czasów baroku Tadeuszu Koniczu (Taddeo Polacco vel Kuntze), którą mógł przecież ogłosić i bronić jako dysertację doktorską. Ostrzegał, abym nie popełnił tego samego błędu młodości. Stąd często powiadam, że ojcem chrzestnym mojego doktoratu jest jego pomysłodawca, czyli Janusz Koniusz. Jego pomysłowości i życiowym rądem wiele zawdzięczam, bowiem przegadaliśmy u mnie i u niego na stryszku wiele, wiele godzin, o tyleż cennych, bo bardzo twórczych, także pod względem życiowym.

W trakcie ostatniego spotkania Zarządu Oddziału ZLP, połączonego z urodzinami Janusza Koniusza, które świętowaliśmy w Sali Zegarowej Muzeum Ziemi Lubuskiej, prezes Kurzawa zapytał dostojnego

jubilata, czy czuje się człowiekiem spełnionym i co ewentualnie zmieniłby w swoim życiu. Jakież było zdziwienie zebranych, kiedy jubilat odparł, że niemal wszystko zmieniłby w swoim życiorysie, począwszy od wyboru studiów, po miejsce osiedlenia i wybór pracy zawodowej... Na bogate życie Koniusza z pewnością złożyły się jego liczne kontakty z wieloma tuzami literatury narodowej (m.in. Miłosz, Szymborska, Broniewski, Nałkowska, Iwaszkiewicz, Borowski, Przyboś, Andrzejewski, Wańkowicz, Hłasko i wielu, wielu innych), które to postacie opisał zielonogórski nestor w dwóch ważnych w jego dorobku pisarskim książkach – *Kamień z serca* (1994) i *Wiązania pamięci* (1998). Zwłaszcza w tej drugiej pracy znalazły się już opisy spotkań z kilkoma pisarzami lubuskimi, m.in. Papuszą, Dowgielewicz czy Korsakiem. Osobiście brakuje mi właśnie tego typu dokumentowania kolejnych spotkań Koniusza. Może właśnie czas na kolejny tom wspomnień poświęcony kontaktom z pisarzami i dziennikarzami lubuskimi, jak Morawski, Nowicki, Rowiński, Szyłkin, Jasiński, Olczak, Malicki, Czerniawski, Suzanowicz, Waśkiewicz, Sobkowiak, Kaziów, a może pora teraz na książkę autobiograficzną, Panie Januszu, albo coś na wzór alfabetu lubuskich twórców literatury, jaki swego czasu pierwszy na „naszym lubuskim podwórku” skreślił Zenon Łukaszevicz, o którym jeszcze wspomnę poniżej?

Pan Koniusz, zodiakalny Wodnik, zawsze szedł swoimi własnymi ścieżkami (niczym egipski kot), które dla wielu postronnych mogłyby się wydawać co najmniej dziwne, na dodatek jest osobą myślącą niekonwencjonalnie, patrzącą na wiele spraw (nie tylko z gatunku literackich) nietuzinkowo – co znów jedni mogli postrzegać jako dziwactwo, a inni mieli za geniusz! I tak trzymać, Panie Januszu! – wołam, wznosząc toast za Pańskie zdrowie!

O drugim, młodszym jubileacie, Eugeniuszu Kurzawie dowiedziałem się, grzebiąc podczas studiów w archiwach „Faktora” i dowiadując się, że na zielonogórskiej WSP było już grono żaków wyrosłych pod znakiem Deads Poets Society, a określających się mianem Klubu 54, dla których takim Johnem Keatingiem był wówczas szef „Faktora” Andrzej Buck, pod którego wodzą jednodziówka trzykrotnie

zdobyła laur „Czerwonej Róży” dla najlepszego pisma studenckiego w kraju. Zbierając materiały biobibliograficzne do swojej pracy, siłą rzeczy siedziałem w wierszach Kurzawy i „grzebałem” w jego życiorysie. A ponieważ poezja i egzystencja u Kurzawy determinują i uzupełniają się wzajemnie, ponieważ jak u Stachury, stąd jego życiorys wydawał mi się (i pewnie taki był) pokrętny i tajemniczy. Kurzawa w latach 90. ubiegłego wieku miał niejako skłonności do bilokacji, bowiem egzystował niemal wszędzie – od Zielonej Góry po Suwałki i Białystok z międzyładowaniami w Zbąszyniu... Intrzygująco, a momentami bardzo osobiście, o swoim życiu napisał autor rodem z Kościana w wydanej w 2014 roku pozycji autobiograficznej *Obrazki prowincjonalne prozą*, która ukazała się z okazji jubileuszu poety, redaktora i prezesa zielonogórskiego oddziału ZLP.

Nie znając się osobiście, mijaliśmy się najpierw w redakcji „Gazety Nowej”, potem po drugiej stronie al. Niepodległości, czyli w redakcji „Gazety Lubuskiej”, gdzie pracował wraz z redaktorami Zdzisławem Haczkiem i Leszkiem Kalinowskim, z którymi w okresie studiów na filologii polskiej w WSP redagowałem „Faktora”, a wcześniej współpracował z Robertem Gromadzkim i Krzysztofem Fedorowiczem, z którymi z kolei współtworzyłem grupę poetycką „Budowa II”.

Pamiętam, że jeszcze w okresie działania „Gazety Nowej”, w której Kurzawa prowadził dział kresowy i częściej bywał na Wschodzie niż w Zielonej Górze, wielką irytację ongiś z jego powodu przeżywał śp. Zenon Łukaszewicz, kiedy spotkałem go na ul. Bankowej. Żalił mi się, że kiedy telefonował do Kurzawy, aby ten przesłał pilny materiał, ktoś po drugiej stronie słuchawki zapytany o Gienka struchlałym głosem wyszeptał tylko: „nie żyje”. Łukaszewicz nie dopytywał o szczegóły, bowiem nie chciał nikogo niepokoić, a o swoich rewelacjach poinformował redaktora naczelnego. Kiedy już ukazał się nekrolog Kurzawy w gazecie, jakież było zdziwienie Łukaszewicza, gdy po kilku dniach zobaczył zmartwychwstałego Kurzawę. Poróżnili się ponoć wówczas okropnie, choć Łukaszewicz wychodził z założenia, że to szczęśliwy omen dla tego, kogo pochowa się za życia.

Inny incydent miał miejsce w 1995 roku, kiedy garstka dosłownie członków oddziału ZLP w Zielonej

Górze spotkała się w gabinecie dyrektorki biblioteki, aby wybrać nowe władze, czyli Zarząd Oddziału. Ponieważ nie chcieli już piastować tej funkcji ani odchodzący prezes Siatecki, ani wielokrotny, były prezes Koniusz, przyszło z naszej grupki wybrać na prezesa całkiem nową osobę. I wtedy wszystkich zebranych zaskoczył Kurzawa, który *de facto* kilka lat wcześniej założył oddział w Białymstoku, bowiem w swoim nihilistycznym wystąpieniu uznał, że lepiej dla umierającego Związku będzie rozwiązać go zupełnie niż cucić trupa. To była woda na młyn skonfundowanych członków ZLP. Jednogłośnie bodaj uznali w głosowaniu, żeby nowym prezesem został Kurzawa. Jak mi wówczas powiedział ktoś w kuluarach, taki ruch był manewrem taktycznym, bowiem teraz przecież nowy prezes nie zlikwiduje sam siebie. Uknuta prędko intrzyga okazała się po latach doskonałym posunięciem, bowiem największy malkontent i kontestator ówczesnego walnego zebrania członków oddziału dokonał kilku rzeczy na tamte lata wydawałoby się niemożliwych, a przy tym pobił same rekordy! Pierwszy, że stał się najdłużej sprawującym funkcję prezesa, bo to już 20. rok urzędowania został właśnie rozpoczęty; drugi, że pobił rekord przyjęć członków do oddziału, nie tylko przebijając magiczną liczbę 13, ale kadrowo doprowadził nawet do stanu 39 członków i kandydatów! Trzeci rekord autora *Wciąż nowej prywatności* to spora liczba imprez, inicjatyw, konkursów i działań, oczywiście na skalę i skromne możliwości oddziału. I choć *capo di tutti capi* spośród wszystkich prezesów Związku często furczy, złorzeczy i zarzeka się, że dłużej nie będzie ciągnął tego wózecka, to przyznać muszę, że Kurzawa po prostu nie ogląda się na innych i robi swoje, niekiedy w stylu partyzanckim, bo strasznie nienawidzi biurokracji, ale najważniejsze, że często skutecznie, bowiem jak mało kto osiąga zamierzony cel!

Kurzawa jest bowiem zodiakalnym Koziorożcem, a zatem to człek bardzo aktywny, energiczny i ambitny, tyleż przy tym uparty i konsekwentny, niekiedy do przesady akrybiczny, a co najistotniejsze życzliwy, gościnny i efektywny w działaniach. I tu chciałoby się znów przyklasnąć na wiwat i rzec równie donośnie: tak trzymać, Panie Eugeniuszu! Sto lat!

stary generał jak rekrut publicznie
tłumaczy się kapralom z wojny
którą wygrał

ci co na zwycięstwie zyskali prowadzą grę
iż nie wierzą w fakty wolą cytować
ze spłowiałych dokumentów wiecznie
żywe klęski świetnie przegrane powstania
przelaną bezowocnie krew

wytykają frontowca palcami że ośmielił się
zniszczyć mit
narodowej klęski z którą tak nam
do twarzy

2001/2002

Myślenie o Wszechświecie jest tylko funkcją wyobraźni

Z Mirą Kuźel rozmawia Mirosława Szott

Mirosława Szott: Mieszkasz od kilkunastu lat w Hiszpanii. Wiele podróżujesz, odkrywasz. Czego poszukujesz? Czy jesteś stworzona do „wędrownego” trybu życia?

Mira Kuźel: Czego poszukuję w podróżach? Siebie. Każda podróż, bez względu na to, czy wielomiesięczna, jak afrykańskie, czy krótsza, jest drażnieniem i napełnianiem siebie. Drażnieniem, bo sprawdzam swoje reakcje w zmiennych, nieraz trudnych warunkach i napełnianiem nowymi emocjami, wiedzą o innych kulturach, obyczajach, zachowaniach. Zachwyca mnie różnorodność kultur i obyczajów, podobnie jak wszystkie kolory i odcienie psychiki różniące jednego człowieka od drugiego.

Nawet gdybym jutro wyruszyła w podróż przez nieznane galaktyki, w fascynujący mnie Kosmos – byłaby to kolejna podróż w siebie. Kiedy myślę, że najodleglejsza gwiazda Wszechświata nie jest dalej niż moja myśl o niej, a światło gwiazdy dociera do tej myśli spóźnione o całą wieczność, to wiem, że myślenie o Wszechświecie jest tylko funkcją wyobraźni.

Życie swoje wpisałam w różne drogi świata, od Grecji, Bajkału po Galápagos i saharyjskie piaski, wędrownki w świat Dagonów, Tuaregów, senegalskie wybrzeża i kameruńskie lasy, lecz wszędzie – w petersburskich białych nocach, w zachodach słońca, w Haifie czy w zgiełku Agadiru zawsze przychodzą chwile sentymentalnych powrotów – do kraju dzieciństwa, do pierwszych wzruszeń, pierwszych prób literackich...

Ja to tak czuję – moja ojczyzna jest szersza niż jedno miasto, jeden region, jeden kraj. Oczywiście jest, że korzeniami kulturowymi wyrastam z tradycji i historii Polski. Wychowano mnie w poczuciu więzi



Mira Kuźel

społecznej i emocjonalnej z narodem, kulturą i tradycją, lecz podkreślano przy tym konieczną ciekawość świata i poszanowanie innych kultur, innych narodów, innych obyczajów, mówiąc, że naszą ojczyzną jest Ziemia.

Każdego roku jestem dwa, trzy razy w Polsce i zawsze są to, w najlepszym tego słowa znaczeniu, sentymentalne powroty czasowe.

Janusz Koniusz stwierdził kiedyś, że „nie mieściłaś się” w Zielonej Górze ze swoją energią, wdziękiem. Jak wspominasz to środowisko? Czy prowincja była dla Ciebie miejscem zamknięcia?

Prowincja? Bez względu na to, czy mieszkamy w wielkiej metropolii, czy w Osadzie Puszczańskiej, dotyczyć nas może tylko prowincjonalizm myślenia. Zielona Góra, jaką pamiętam, to bardzo żywe miej-

sce wielu działań artystycznych, miejsce wolne od prowincjonalizmu, a może nawet bardziej ambitne niż metropolie. Miejsce wspańiałych osobowości twórczych otoczonych życzliwą, wspierającą uwagą. Premiera w teatrze – wydarzenie, koncert symfoniczny – wydarzenie, wystawa plastyczna – wydarzenie, wydanie książki – wydarzenie. Wszystkie grupy twórcze wspierały się, świętowały wręcz rodzinne wzajemne osiągnięcia.

W Zielonej Górze, na początku kształtującej mnie drogi, byłam wśród twórczych ludzi, literatów, malarzy, muzyków. To oni – Janusz Koniusz, Zdzisław Soliński, Tadeusz Kajan, Henryka i Tadeusz Doboszowie, Klemens Felchnerowski, Marian Szpakowski – tworzyli środowisko ambitne i wzajemnie się wspierające. Wspominam to serdecznie i nostalgicznie.

W jaki sposób poznanie Andrzeja K. Waśkiewicza wpłynęło na Twoją twórczość? Czy małżeństwo ze znanym krytykiem literackim i poetą utrudniało zaistnienie w środowisku literackim? Czy byłaś postrzegana przez pryzmat Waśkiewicza?

Andrzej był niezwykle człowiekiem, obdarzonym coraz radszym w naszych czasach darem wspańiałości, nieustannie określającym jego działania w kategoriach wielkości ludzi, a nie ich małości.

Nie tworzyliśmy poetyckiej kalki i nie byliśmy w ten sposób postrzegani przez środowisko, choć zapewne nasze poetyki przenikały się, ale podobne przenikanie się można także odnaleźć w poezji Krzysztofa Gąsiorowskiego, Zbyszka Jeżyny czy w początkach poezji Ryszarda Krynickiego i Jerzego Górsańskiego. Uznawaliśmy, nie tylko z Andrzejem, Peiperowskie rozumienie poezji jako „zespołu słów, który budzi w nas zachwyt następstwem i związkiem pojęć”, bo jest zestawianiem i wiązaniem widzeń, którym w świecie realnym nic nie odpowiada, że jest malarstwem poprzez opis w układzie rozkwitania, a metafora przekształca rzeczywistość doznań i przetwarza ją na nową rzeczywistość czysto poetycką.

Andrzej nauczył mnie szacunku do słowa i poszukiwania przystawalności słowa do obrazu emocji czy ich wyobrażenia.

Jak postrzegasz osobę Andrzeja K. Waśkiewicza z perspektywy lat? Co ten kontakt zostawił w Tobie?

Jako bardzo wyjątkowego, prawego człowieka, skupionego na twórczości, otaczającego opieką młodszych poetów, z dobrotliwym poczuciem humoru, z umiejętnością współodczuwania, uczącego dystansu do siebie i rozumienia innych. W naszym domu zawsze było miejsce dla przyjeżdżających i wędrujących poetów, serdeczny i uważny czas na wielogodzinne rozmowy.

Czym jest dla Ciebie sztuka? W jednym z wierszy napisałaś kiedyś: „bo słowo tylko jest pozorem rzeczy/ co w każdym dźwięku od siebie jest dalsza”. Czy dlatego wybrałaś też malarstwo? Aby dookreślić świat? Wiele z Twoich obrazów przedstawia krajobraz kosmiczny. Tęsknota? Pragnienie wolności? Czy obrazy korespondują z poezją, czy raczej stanowią odrębny, rozbieżny sposób wyrażania Twoich myśli?

Poezja, malarstwo, *Listy do Przyjaciela* są pragnieniem wyrażenia siebie najpełniej – to działania uzupełniające się i współtworzące siebie nawzajem. Odczuwając kruchość słów i pewien typ ich bezrad-



M. Kužel, *Początek*, akryl, płótno, 70 x 80 cm

ności, sięgam po kolor, a naładowana jego siłą znowu wracam do słów. Takie są formy mego wyrazu i czuję się obdarowana przez los, mogąc wypowiadać się, mogąc przekazywać siebie wielopłaszczyznowo.

Twoja poezja z pierwszych tomików różni się zdecydowanie od tej, która powstaje aktualnie. Jak postrzegasz tę przemianę? Czy poznajesz siebie w wydanych w 1970 roku utworach?

Te różnice są naturalne – ja także różnię się od siebie młodzieńczej, sprzed lat. Cenię mój pierwszy tomik *Zaklinania*, wydany przez Lubuskie Towarzystwo Kultury, przy tworzeniu którego wielką pomocą były rozmowy z Januszem Koniuszem i Zdzisławem Morawskim, a także z Andrzejem Waśkiewiczem. Rozmowy pełne serdecznej życzliwości, dopingujące mnie, dowartościowujące. Dobrym duchem, opiekunem drugiego tomiku *Z białego drzewa* był Wiesław Myśliwski i za ten tomik otrzymałam nagrodę miesięcznika *Poezja* – Książka Roku oraz roczne stypendium Gabinetu Ministra kultury i Sztuki.

Piszesz *Listy do Przyjaciela*. Zadajesz sobie w nich wiele ważnych pytań: o sens, piękno, dobro itd. Jaka jest Twoja życiowa filozofia?

Coraz mniej lirycznie jest na tym świecie. A to, co pięknym było nazwaniem: „człowiek sentymentalny” – czyli charakteryzujący się wrażliwością i czułością – teraz już coraz częściej oznacza udawanie, oznacza tylko powierzchowny „sentymentalizm stosowany” strojący się w kolejne maski.



Wystawa International Art Day, Marbella 2015

Moja wiara w sens życia to takie przeżywanie jego ulotności, kruchości i marzeń, aby stwarzało poczucie trwałości, odczuwania i rozumienia relacji między nimi. Nieustannie ponawiam próbę odpowiedzi na podstawowe zagadnienia sensu świata, sensu naszego w nim miejsca, sensu cierpienia i prób doznawania szczęścia. To pozyskiwania wiedzy prawdziwej o sobie, o tym, co we mnie i wokół. Może to dążenie do zrozumienia uniwersalnego dobra i fenomenu miłości?

A co to jest uniwersalne dobro, jeżeli istnieje? Czy pojęcia takie jak dobro i piękno są uniwersalne? Czy mamy w sobie zakodowane ogólne zasady, którymi posługując się, potrafimy powiedzieć, co jest piękne lub dobre, co sprawiedliwe? Wierzymy, że prawda, dobro, mądrość i piękno, miłość i przyjaźń – to ponadczasowe wartości, uniwersalne, niezienne historycznie, niezależne od wszelkich przeobrażeń społecznych i kulturowych.

Zapominamy, że nic nie jest nam dane w skończonej formie na zawsze. Młodość, zdrowie, intelekt, uroda, uczucia. Nad wszystkim trzeba się pochylać uważnie, serdecznie, z zachwyceniem. Anthony de Mello powiedział: „istnieją jedynie dwie rzeczy na świecie: Miłość i Strach. Jest tylko jedno zło na świecie – Strach. Jest tylko jedno dobro na świecie – Miłość. Czasami jedynie inaczej są określane. Niekiedy miłość nazywana jest szczęściem, wolnością, pokojem, radością, Bogiem czy zgoła czymś innym”.

Bliskie mi są te słowa.

Jakie Mira Kužel ma najbliższe plany artystyczne?

Wiersze wybrane w języku angielskim, kolejno w języku hiszpańskim, obydwa zbiory w hiszpańskim wydawnictwie. Także nowe wystawy obrazów w Grenadzie i w San Sebastian.

Kiedy przyjeżdżasz na wystawę lub promocję do Zielonej Góry?

Chciałabym w przyszłym roku, już z nowym tomikiem wierszy i z nowymi obrazami.

Zapraszam Cię i dziękuję za rozmowę.

Sonet stepowy

Stepem biegnę naga ogień w dłoniach niosąc
wolna między czasami – wolna istnieniami
porzuciłam w jaskiniach stare pergaminy
zapominaniem tleją – niepotrzebne biegowi.

Ośmioramiennie gwiezdna – pięcioramiennie wolna
– ponad kamieniami, roślinami, znakami –
stepu krwi tętnica – stepem krwi biegnąca
nieskończoność pragnienia.

Stepem biegnę naga drogą głodu ciemną
– słowa wyrze na kamiennych tablicach
z wnętrza wydzieram istnieniom prawdziwym.

Daj mi swoje źrebię w białej grzywie lotu
– ponad kamieniami, roślinami, znakami –
w światło na nim wzlecę – życie zeń uczynię.

Sonety zaklinania

III

Do ciebie moja ziemia należy – to co ją wypełniło
suchym żarem spopieleń, powodzią niespełnień
– to co ją zgłębiło rodząc szczeliny bólu
dochodzenia do środka czerwieni i czerni.

Do ciebie moja woda należy – wracają do źródła
strumienie dotąd dnem wysychające
– napęlniam twoje oczy aż do głębi żrenic
pogańskim zaklinaniem na węzły pamięci.

Do ciebie mój oddech należy – wszystkie drogi powietrza
zbiegają się w jedność śpiewającą biegiem
kropli potu na skórze krwi koloru pełnej.

Do ciebie snu śnienie należy – pulsowanie świtu
rozdiera jedwabie spłoszonych dotyków
– z głodu boli mnie serce – wiecznie głodne ciebie.

Sonet krwi

Gdzieś tam dalej żyję – poza snu twego mrocznymi roślinami,
ponad rozpadlinami – ostrym krzykiem rybitwy kreślę runy na piasku
żłobiąc krwawe bruzdy, płacząc węzły pamięci
– skalne blizny otwieram.

Gdzieś tam dalej żyję przywołując twój zapach białym kropli lśnieniem
– tak do łez podobne – zatapiają porannie gorejące dorzecza
obmywając ciebie w cień snu spowitego
– jakby i one tylko śnieniem były.

Trzepotliwie opadam w czas dolin zdyszanych
– mszalne podniesienie – jeszcze ogniem wabione
ścieśnia się i boli.

Światłu krew wysysam – szelest skóry zachłannie rozgarniam,
a biel kropli urasta w purpurę pejzaży
– bose serce krwawi.

Sonet pamięci

Ani cię zgubić, ani cię ocalić gdzieś za horyzontem
niedotykalnie pięknym – prostym pędem konarów
biegniesz swoją pogonią osobno zdyszany
– a ja ci maluję malinowe chruśniaki.

Dwie łzy się ważą na szalach dwu światów,
jedną krwią ozdobię w świętojańskie kwiaty
studząc skrzydłami ważki rozpalone skronie.
Druga błąka się – niepewna czy zabłysnąć może.

W drugą siebie otulę serce obcierając
– wymoszczę mu jaskinię wymyślonym jedwabiem,
puchem pajęczyny błogosławiąc pamięć.

W pierwszej ułożę ciebie na miłości marach
zwyczajem kobiet Wschodu tkliwie obmywając,
byś złożony w zwojach żył na wieki wieków.

Sonet osamotnienia

Z kielichem smutku krążę po pustkowiach,
ciągnąc za sobą welon od zwątpienia wiotki.
Noc rozwichrzona cykadowym flamenco
zaciska grudę węzła – to nim rośniesz we mnie.

Step umęczony nadzieją kwitnienia barwę rżyska przybiera,
kołysząc go tulę oset dotknięciu łaskawy
– bliższy krwi i skórze.

Rankiem łzy moje obmywają ciebie,
jakbyś istniał tylko w gasnących snu dorzeczach
– umierając w bliznach ścieśnia się i boli.

Pani moja łagodna – miłości bez dna granic
prawie cię niszczy codziennym głodem
i tylko słów splecione gniazdo jest między nami
– to tylko łączy dwa osamotnienia.

Furman ante portas

Wokół twórczości i postaci Kazimierza Furmana narosło sporo obiegowych opinii, które z jego twórczością i jego osobą mają tyleż wspólnego, co dyskusyjnie obcego bądź obojętnego. Ale jednocześnie wszystkie te opinie mogą okazać się przynajmniej prawdopodobne. Więc z pozoru był i jest poetą łatwo się definiującym. Zadbął o to sam zainteresowany, manipulując (twórczo?) swoim życiem i nierzadko „klucząc” w poezji. Efekt takiego życia i takiego pisania jest taki, że z jednej strony czytamy u L. Żulińskiego, jakoby konstytucją tej poezji jest „eskapizm i rezygnacja”. Gdzie indziej znajdziemy jakąś notę redakcyjną, podług której Kazimierza Furmana należy kojarzyć z Nową Falą. Kazimierz Furman „nowofalowiec”? Więc mocno zaangażowany społecznie, poeta agitujący, mówiący językiem gazety, używający pierwszej osoby liczby mnogiej, pastwiący się (między innymi, ale szczególnie) nad Różewiczem? I jednocześnie „eskapista” – uciekający od problematyki społecznej? A pomiędzy tymi „opiniami” wyłuszczone przez A.K. Waśkiewicza „dramatycznie akcentowane poczucie obcości” plus diagnoza socjopatyczna: „wszędzie obcy, i jakby nie na swoim miejscu”. Łatwo też jednocześnie „natknąć się” na wskazywane różewiczowskie powinowactwa tej poezji. Prawda: zdarzało się usłyszeć od Kazimierza Furmana coś o „metaforach łądaczących się po wierszach Różewicza”. Gorzej z tymi „śladami” w samej twórczości gorzowianina. Zresztą całe generacje zaczynające publikować w latach 70. „korzystały” z tzw. zapisu różewiczowskiego, nierzadko nie mając o tym pojęcia. Podobnie wielu nie używało interpunkcji, ale nikt nie podejrzewał ich o czechowiczowskie antenacje. Wprawdzie jest



Kazimierz Furman

taki wiersz Furmana *Zatącznik do autobiografii*, rozpoczynający się od słów „Nazywam się Dowód Osobisty/ Seria AB”, który idealnie „koresponduje” z wierszem K. Karaska *Co ja tu robię* z incipitem „Opisany i policzony, przewidziany i statystyczny, nakłuty lancetem psychologa i strzykawką socjologa”, ale dla Karaska był to wiersz programowy, u Kazimierza Furmana zaś jego *Zatącznik* to zaledwie incydent albo jakiś „postlekturowy” rodzynek.

Jeśli jednak już trzeba kogoś do Furmana przytulić, a mowa będzie o języku, będą to z całą pewnością poprzednicy J. Kornhausera czy A. Zagajewskiego. Bliżej Kazimierzowi Furmanowi do Z. Jerzyny, R. Śliwonika, a nawet K. Gąsiorowskiego. Wsłuchajmy się najpierw w takie oto frazy: „Nie bądźmy pismem/ A słowem z ust naszych/ Które nie powinno błąkać się po językach”, „Z bliźną w oku po płakaniu pierwszym”, „Po bezdrożach uczuć każdego dnia stąpam” – a następnie, nie znając autora tych wyimków poetyckich, a znając na wrywkę twórczość hybrydowców, bez zająknięcia możemy się pomylić,

przypisując te wiersze przywołanym poetom – wszak autorem tych cytacji jest Kazimierz Furman! Czy to znaczy, że był – *nomen omen* – w jakiś sposób wtórny? Niekoniecznie. Bo jeśli w którymś z wierszy pisze „uczyłem się słów prostych”, to jest to o tyle twórcza „kokieteria”, o ile uwierzmy, że Kazimierz Furman tych poetów nie czytał albo w charakterystyczny dla siebie sposób (jak powiadał) wołał się napić piwa niż rozmawiać o poezji – co można było odebrać jako osobliwą ignorancję albo deklarowaną „prostotę”, rozumianą jakoś tak opacznie (niby prostactwo?). Także nie „proste” albo nie prostą mową poetycką jest świadome „anachronizowanie” wiersza inwersjami („z ust naszych, po płakaniu pierwszym, każdego dnia stąpam”) – takie „formalności” obnażały tęsknotę Kazimierza Furmana do poezji „podniosłej”, omszałej, trącejącej o „podręcznikową jakość”. Podobnie zresztą jak „stosowanie” nieco pordzewiałego słownictwa („Rąbkiem spódnicy odkrywasz jędrne łono”, „Bym nie uraził przypadkiem pryncypiów i wiary”, „Kołysaną kibić piersi”, „Ażeby słowom zabrakło języka”, „Bo aby miłować potrzebna jest wiara w człowieka”, „Ogień żądz nie ogrzewa ciała”). Nie bez powodu Kazimierz Furman, jakoś tak pod koniec życia, najchętniej „upubliczniał” się w czarnych marynarkach, z przerzuconym przez ramię białym szalem. Zgoła jedwabnym? Ten niby kloszard zatęsknił nagle za czymś kojarzonym obiegowo z pięknem? Także napisał o Kazimierzu Furmanie L. Żuliński: „był zawsze *poeta natus*, a nie *poeta doctus*, był zawsze za *prawdą rzeczy*, a nie za *pięknem rzeczy*”. Czytając wiersze Kazimierza Furmana, odnoszę zgoła przeciwne wrażenie: Kazimierz Furman od początku do końca, wręcz patologicznie brnął ku pięknu; piękno było naczelną prawdą Kazimierza Furmana; oczywiście piękno rozumiane po furmańsku, w tym również piękno rzeczy. Mało jest jednak wierszy, które wskazywałyby na zainteresowania poety owym „pięknem rzeczy”. A to dziwi, wszak Kazimierz Furman sporo nagadał się ze Z. Morawskim, jako żywo poetą „reistą”, obracającym się wokół „materii rzeczy” jako istoty swojej twórczości poetyckiej. Ale i na taką wrażliwość Kazimierza Furmana są dowody, i znowu nie muszą to być dowody „wtórności”. Oto w wierszu pod znamennym, jakby z krwią porodową wyjętym z twórczości Morawskiego, tytułem *Podług*

mitologii czytamy: „Kobieta na druty czas nawleka”. Takiej frazy mógłby pozazdrościć sam Z. Morawski.

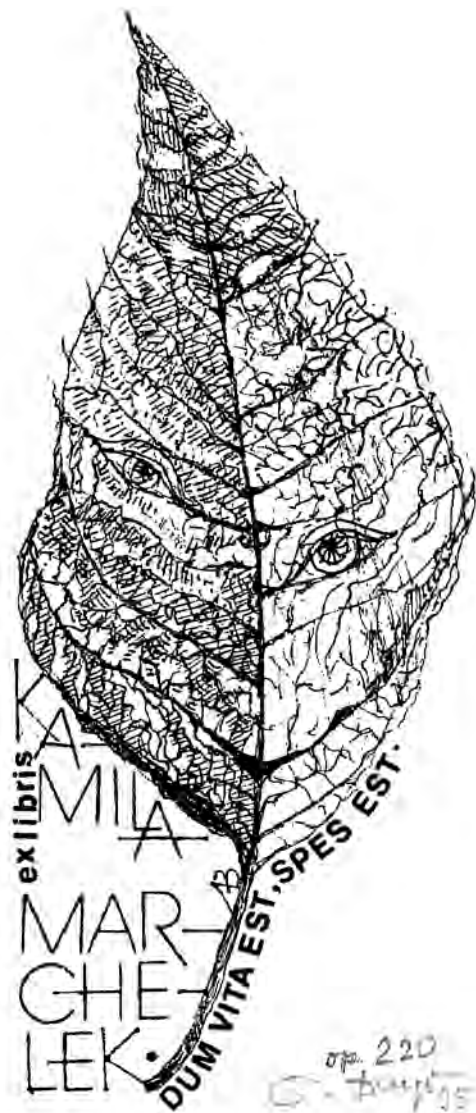
Najprawdopodobniej jednak najbardziej Kazimierzowi Furmanowi udało się „wczytać” w poezję R. Wojaczka. W wielu wierszach gorzowianina pojawia się wręcz idealnie przetworzona albo przedłużona aura wrocławskiego histryka. Przeczytajmy: „I będziemy grzech sławić/ Ja siebie złożę na twoim ołtarzu/ Ty się przytulisz mocno pożądaniem”, „Teraz mógłbym siebie powiesić na gałęzi/ Teraz gdy w oknie kobieta/ Gdy przestrzeń do dymu się tuli/ [...] Mógłbym się sobą teraz aż przestraszyć/ Mógłbym swą myślą rozpalic ognisko/ Mógłbym sobą rozplakać kobietę/ Teraz/ Gdy nad siebie unoszę garść bólu”, „Jej ołtarz kwiatami róży płonął”. Zaiste, wycucie „pulsu” Wojaczka – niemal neurochirurgiczne.

I wydaje się, że z wytyczonych wyżej ścieżek poszukiwania „prawdy” interpretacyjnej w poezji Kazimierza Furmana ten trop jest najwłaściwszy. Zresztą Wojacek mógł być dla Kazimierza Furmana jedną z kluczowych postaci, które go w jakiś niezidentyfikowany sposób inspirowały, choćby w tzw. życiopisanu, aczkolwiek Stachura też mógłby pojawić się na tej orbicie. Niemniej w jednym z wierszy, przywołującym w tytule jakby nieistniejący dyskurs między Wojackiem a Bursą, Kazimierz Furman pointuje, że w odróżnieniu od Bursy, który „miał w dupie małe miasteczka”, jego podmiot liryczny „ma w dupie życie”. Co jest oczywistą prowokacją Kazimierza Furmana. Bo żył na całego i nie „przymulał go jakieś nawet największe deszcze genitalne”.

Chociaż przy okazji rodzi się, i równocześnie umiera, pytanie: na ile ów podmiot liryczny Kazimierza Furmana ma coś wspólnego z samym Kazimierzem Furmanem? To naprawdę najpoważniejsze pytanie, dotyczące całej prawdy o Kazimierzu Furmanie – człowieku i Kazimierzu Furmanie – poecie. Czy cały był prawdziwy, czy tylko w jakiejś połowie. Ponadto chyba trzeba Kazimierza Furmana „czytać” tak, jakby żył. Jakby „stał za drzwiami” i słuchał. Bo zwykle zawsze „reagował”. Wierszem, brzydkim słowem albo rękoczynem.

A teraz, gdy już przestał pisać na bieżąco, na takie „reagowanie interpretacyjne” Kazimierz Furman po prostu sobie zasłużył. Bez owijania w jedwab.

w Pro Libris. Z teki Agaty Buchalik-Drzyzgi



Kamila Marchelek

Wieloletnia pracownica Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, stąd nasza znajomość. Zainteresowała mnie swoim „zielnikiem”. Interpretować przyrodę z prostotą i zgodnie z osobistym uczuciem niewielu potrafi. Kamila wczuwała się w każdą roślinę, próbując pokazać ją indywidualnie na obrazie. Artysta do rozmów z sobą, własną duszą, czy też z aniołami potrzebuje kontaktu z naturą. Kamila ten kontakt uzyskała i nadal posiada.



Izabella Koniusz

Pamięć jest ulotna... Wspomnienia zjawiają się w nieoczekiwanym miejscu i czasie. Pamiętam kameralną wystawę książek – legend i baśni napisanych przez zielonogórskich literatów oraz ilustrowanych przez rodzimych artystów. Pierwotnie miałam zilustrować legendę o Diablu autorstwa Izabelli Koniusz (stąd ekslibris). Stało się inaczej, może z korzyścią dla książki, którą ostatecznie zilustrowała Irena Bierwiazzonek. Mnie przypadła opowieść Jasińskiej o drzewie, którą bardzo się przejęłam. Znalazłam podobne drzewo w chaszczach nad Odrą. Ale to już całkiem inna historia...



Anna Gapińska-Myszkiewicz

Siedem barw prostych (podstawowych) ma swoją tajemnicę, godność i styl. Świat malowany płamą budzi podziw, szczególnie w obrazach Anny. Jej pejzaże wnikliwie analizują przyrodę. Niewiele spotkałam takich malarzy. Anna jest koleżeńska i ciepła. Mam nadzieję, że ekslibris przynależy do świata Anny.

Prezentacje

Jolanda Jeklin



Urodziła się w Lublinie w 1976 roku. Od 15 lat artystycznie związana ze Słowenią i Polską, genezę swej twórczości wyjaśnia następująco: „Inspiracją do powstania moich obrazów jest pytanie: Gdzie jest moje miejsce, mój dom?”.

W latach 2003-2007 związana z nieformalną grupą artystyczną pod kierownictwem Wojtka Pąkowskiego, stworzyła prace malarskie i rzeźby oraz pierwszą mandalę w technice mozaiki. Dyplom licencjacki z malarstwa uzyskała pod kierunkiem Antoniego Fałata na Europejskiej Akademii Sztuk w Warszawie, aneks z grafiki – pod kierownictwem prof. Ryszarda Osadczego (2008-2011). Studia magisterskie podjęta w Polsko-Japońskiej Wyższej Szkole Technik Komputerowych, na kierunku sztuka nowych mediów w Warszawie (2011-2012). Dyplom magisterski z malarstwa uzyskała w roku 2015 w pracowni prof. Stanisława Kortyki i w pracowni uzupełniającej dr. hab. Normana Smużniaka w Instytucie Sztuk Wizualnych Wydziału Artystycznego na Uniwersytecie Zielonogórskim.

Jest członkiem Stowarzyszenia Polskich Artystów Plastyków i Neuer Sächsischer Kunstverein w Dreźnie. Brała udział w wystawach indywidualnych oraz zbiorowych organizowanych i współorganizowanych m.in. przez Instytut Sztuk Wizualnych Uniwersytetu Zielonogórskiego pod opieką kuratorską dr Lidii Głuchowskiej i prof. Magdaleny Gryski, a także prof. Stanisława Kortyki i dr Janiny Wallis.

Wystawy indywidualne: 2007 *Intensywność*, PKiN w Warszawie, pod patronatem Ambasady Słowenii; 2007 *Taniec*, projekcja wideo w DK Kamnik, Kotlovnica, Słowenia; 2008 *Abstrakcja*, Dwór Artusa, Gdańsk, w ramach projektu *Słowenia nad Bałtykiem*; 2010 *Odbicie chwili*, Galeria Polfa, Łódź; 2015 *Mandala City*, Ambasada Republiki Słowenii, Berlin; 2015 *Nasze Spojrzenia*, (razem z Agnieszką Jacyno) Galeria Pro Arte, Zielona Góra; 2015 *Transformacja*, Galeria Artoteki Grafiki, Zielona Góra; 2015 *Sound of Colours*, Galeria 8+, Warszawa. **Wystawy zbiorowe:** 2010 *Nadrzecze*, wystawa poplenerowa Galeria Marek, Warszawa; 2012 *Sense & Simplicity event*, akcja malowania na żywo, Philips, Warszawa; 2014 *Charytatywna Aukcja Sztuki Współczesnej*, Galeria 8+, Warszawa; 2014 *Dzień kobiet*, Galeria PWW, Zielona Góra; 2014 *Białe jest piękne*, Galeria Mrowisko/Animacja Kultury, Zielona Góra; 2014 *Trójkąty i kwadraty*, Muzeum Regionalne w Kutnie; 2015 *Giardino – Ogród sztuki*, Galeria nad Wisłą, Toruń; 2015 *Wybór*, Galeria CKiS Wieża Ciśnień, Konin; 2015 *Heimat. Eine Hommage an Dresden und Sachsen*, Neuer Sächsischer Kunstverein, Drezno; 2015 *Współczesna Sztuka Polska*, Helsinki; 2015 *Młode Pokolenie Twórców*, Galeria 8+ Warszawa; 2015/2016 „...auf den Kopf...” *Kunstspielkarten Spielkartenkunst Kartenkunstspiel*, Galerie Drei, Drezno; 2016 *Art for Peace*, Galeria 8+, Warszawa.





Nasze spojrzenia, (razem z Agnieszką Jacyno) Galeria Pro Arte, Zielona Góra, 2015



Mandale, linoryt na papierze, 2013



Miasta, olej, pólno, 2012

Jolanda Jeklin: Miasta – Monady – Synchronizacja

W dorobku twórczym Jolandy Jeklin z ostatnich lat dominują dwa typy prac, na pozór, pod względem optycznym, niemające ze sobą nic wspólnego, w istocie jednak tworzące wyjątkowo spójny ideowo i konsekwentny estetyczny komunikat.

Nie tylko ze względu na skalę płócien, lecz również na czytelną w nich perspektywę z lotu ptaka, uwagę zwracającą najpierw obrazy z serii *Miasta*, powstałe w latach 2013-2015. Ich temperatura barwna apeluje do widza, nie pozostawiając go obojętnym na skupione w nich i zakłęte w ornament emocje. Charakterystyczny jest tu choćby utrzymany w gamie pulsującego oranżu akryl na płótnie *NY* (New York, 2014) czy wyróżniający się fakturalnym *pastosso* – *Luxemburg* (2013), a także atakujący szkarłatem labiryntowej mozaiki wczesny obraz *Neighbourhood* (2007).

Wśród malarskich płócien Jolandy Jeklin przeważają wyobrażenia na poły abstrakcyjne, spośród których najwcześniejsze, takie jak wspomniany już obraz *NY* czy *LA* (Los Angeles, 2014), przywołują odległe skojarzenia z twórczością Paula Klee. W nieco późniejszych pracach pojawiają się efekty wibracji i pulsowania powierzchni malarskiej czy wręcz utrzymane w fuksjowej i błękitnej tonacji w dolnych partiach i jaśniejące ku górze, pointylistyczne kompozycje z efektem pikselowania w skali makro (*Harmony I*, *Harmony II*, 2015). Są one wyobrażeniem poznanej osoby bądź jedynie wyobrażonej energii zmieniających się miejsc życia artystki. W jej najnowszym obrazie, przypominającym nieco prace Romana Tarasina, w horyzontalny rytm pasm błękitu, turkusów i lazuru wpisane są znaki odsyłające do symboliki religijnej oraz drobny zarys drewnianego

kościółka, reminiscencja z gór Słowenii, gdzie znajduje się dom malarki o zagadkowym tytule (*Faith II*, 2015).

W utrzymanych w podobnej tonacji wcześniejszych obrazach marynistycznych, inspirowanych pejzażem i rytmem fal rzadko tylko pojawiają się ślady anegdoty, by wspomnieć skądinąd znakomity widok statków z udanym studium refleksów światła igrających na wodzie i żaglach (*Horyzont*, 2013).

Inny charakter mają prace graficzne Jolandy Jeklin, choć pod względem technologicznym *de facto* każdy z nich, jak każdy ze wspomnianych obrazów, jest unikatem. Aspekt reprodukcyjności jest tu bowiem względny, a interwencja manualna – niemal dominująca. Silnym akcentem, zaczerpniętych jakby z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*, są wśród nich kobaltowo-żółte i turkusowo-lazurowo-rude addytywne kompozycje złożone z koncentrycznych komponentów. Przywołują one na myśl połyskliwe, ceramiczne posadzki orientalnych łaźni, eskapistyczne marzenia i niejasną tęsknotę. Ich forma koresponduje z chaotycznym charakterem mozaiki, którą na wpoły na prawach zabawy Jeklin zajmuje się od wielu lat. Ich jaskrawość hipnotyzująca feerią barw kontrastuje z inną, formalnie pokrewną grupą prac, w których pojawia się ten sam powtarzalny motyw graficzny. Jednak w tych pracach barwy ulegają całkowitemu wyciszeniu. Skrajną postacią postępującego tu odbarwienia stają się nierzadkie w dorobku Jeklin reliefopodobne przykłady druku ślepego.

Na pozór trudno zrozumieć związek monochromatycznych i na poły graficznych prac w barwie naturalnego lnu i écru rozjaśnionego koronkową warstwą bieli ze wspomnianymi na początku płót-

nami w intensywnych barwach i o horyzontalnej kompozycji. Odmienna jest już technika, w której zostały one wykonane. Trzy grupy jasnych mandal należą do serii *Concentration*, *Winter Journey* i *Eco* (2015), z których ostatnia posiada swą bliźniaczą wersję utrzymaną w barwach ziemi.

Te nad wyraz misternie wycięte linoryty z koronkowym – jak wspomniano – wzorem można bowiem odbijać wielokrotnie. A jednak nie ma tu dwóch prac identycznych. Zarówno sam druk, jak i tło opracowane są z wykorzystaniem efektów nierównomiernego cieniowania i wysycenia farby. Ponadto nad mechanicznym z pozoru sposobem ich tworzenia góruje tu eksperyment. Zwłaszcza w najbardziej bodaj poetyckiej serii *Winter Journey*. Opracowane na sposób malarski tła należących do niej prac powstaje skutek kilkudniowego barwienia lnianych płócien w słoweńskim winie. Nie tylko każdy ze składających się nań zestawów, lecz i każde podobrazie, zależnie od gatunku wina, jest zatem odmienne od pozostałych, a o strukturze powstałych na nim organicznych abstrakcji w znacznym stopniu decyduje przypadek. Tak jak ekspresjoniści i surrealiści, by wspomnieć tylko Edvarda Muncha czy Maxa Ernsta, Jolanda Jeklin autorem części efektów malarskich w swych pracach czyni samą naturę. *Winter Journey* odzwierciedla zarazem materialnie i „organicznie”, tyleż sentymentalny (jeśli nie wręcz patriotyczny), co i (półzartem) „transgenderowy” aspekt dokonania artystki. Koronkowa sieć odbitek składających się na tę serię emanuje bowiem aurą przesłoniętych dzierganą firanką okien w wiejskich domach Słowenii, takich jak jej letnie atelier na wzgórzu pośród rzek. Szydełkowanie, jak i odbijanie linorytów to zaś odmiany rzemiosła. Pierwsze, jako bardziej „sensualne” i kameralne to *pars pro toto* kobiecości, drugie zaś – mechaniczne – pierwiastka męskiego. Jolanda Jeklin z przymrużeniem oka, ale i konsekwencją wskazuje, że to, co ludzkie, nie zna granic i przenika się nawzajem.

Artystka wyjaśnia, iż idealna forma koła w wyobrażeniu mandal, opisywana choćby przez Junga, ze zróżnicowanymi, choć nieodmiennie symetrycznymi, centrycznie opracowanymi motywami, ma oddziaływanie (auto)terapeutyczne. Odsyła ona do

wyobrażenia o człowieku jako monadzie rodem z filozofii Leibniza. Z pozoru niemal identyczne, a przecież różniące się mnóstwem szczegółów, mandale postrzega ona jak oglądane jakby w zbliżeniu jednostki ludzkie, w jej wizerunkach miast przedstawione z oddali i roztopione w zatomizowanej pulsującej płaszczyźnie. Z jednej matrycy powstaje więc wiele nieidentycznych mandal, jak nieidentyczni, choć niejako podobni są przedstawiciele gatunku ludzkiego.

Szczególną pracą w dorobku Jolandy Jeklin jest androgeniczna, nieco dekoracyjna mandala, alternatywnie zwana przez artystkę *Connection* bądź *Contemplation* (2014). Oba tytuły mają zresztą sens komplementarny. Jest to bowiem obraz stanowiący rodzaj klucza do zrozumienia związku między dwoma na pozór całkowicie odmiennymi obszarami jej twórczości. Ten utrzymany w technice mieszanej obraz z elementami kolażu, przedstawia bezgłowy korpus – zwrócone ku ziemi torso. Jakby koronkowa aplikacja nałożona jest tu na cieniowane, pastelowe tło w barwach piasku, nieba i morza, wyobrażające różne żywioły. Praca ta spina w jedność obrazy miast-skupisk ludzkich i mandal-monad, jak w soczewce skupiając ich przesłanie. Ten sam proces tam przedstawiony raz w skali makro, raz mikro – tu ukazany jest jako jedno i to samo zjawisko – symbol synchronizacji tego, co wewnątrz i na zewnątrz. To człowiek, na pozór anonimowa jednostka niknąca w morzu podobnych jej, lecz przecież tak odmiennych istot, w żywiołowym rytmie różniących się energią, choć z pozoru bliźniaczych, metropolii.

W rzeczywistości nomadów globalnej ekonomii człowiek-monada jest już tylko na pozór autonomicznym uniwersum. Kompulsywnie interaktywny, zmuszony do ulotnej symbiozy z tym, co obce, staje się mandalą, oddychającą energią pulsujących na zewnątrz miast i ludzi, oddającą im także własne ciepło czy chłód.

Rozważając kondycję współczesnego człowieka postindustrialnej, informatycznej i wirtualnej ery, Jolanda Jeklin wyznaje: „W postkomunistycznej rzeczywistości staliśmy się ponownie obywatelami świata, zjednoczonej Europy. Czas i odległość stały się względne. Granice znikają. Często się przeprowadzając, nie wiążę się na stałe z żadnym z czasowo zamieszkiva-

nych miejsc, nie znam też swego przeznaczenia. Moim mobilnym domem stał się więc mentalny świat uczuć i medytacji, dających mi stabilność i wolność. Miasta, które utrwalam w obrazach, budzą moją sympatię, szukam w nich odpowiedzi na pytanie o moją przyszłość i powołanie. Ufam, że być może mają w sobie coś, do czego dążę, czego jeszcze nie doznałam, co okaże się moim celem, spełnieniem...”

Jej z pozoru urzekające lekkością i dekoracyjnym wdziękiem malarstwo ma i ukryte, drugie dno. Bliźniaczo do siebie podobne, migotliwe widoki dostępnych w kilka godzin, choć odległych metropolii, tchną rytmem nomadycznej, płynnej nowoczesności – bez wyrazistych arcybutów, punktów odniesienia i granic. Horyzontalny rytm zatrzymanych w czasie morskich fal z refleksem gwiazd czy słonecznego nieba – monotony, powtarzalny, nieustanny – odzwierciedla zaś w jej wizualnym świecie kontrapunkt postindustrialnej urbanistyki i coraz bardziej wirtualnej kultury – degradowaną, lecz ciągle bezkresną i władczą naturę.

Jej niepokojące torsa androgenicznych postaci są metaforą braku stabilnej definicji „ja”, a mandale-monady pulsując dośrodkowym rytmem, dokumentują uporczywe poszukiwanie ukojenia – mentalnego centrum. Z pozoru całkiem odmienne pod względem tematycznym, stylistycznym i technologicznym obszerne cykle prac Jolandy Jeklin – *Mandala* i *Miasta* – są w istocie wizualizacją analogicznego procesu

mentalnego w odmiennej skali. Tak jak mandala, tak i każda z przedstawianych przez nią metropolii ma swe centrum, źródło energii, hektycznego tempa życia. Próbując zobrazować proces lokalizowania siebie w zewnętrznej rzeczywistości, artystka pyta jednocześnie o sens ludzkiej egzystencji, naturę naszej duchowości oraz istnienia w ulotnej i zmiennej czasoprzestrzeni.

Mandalę Jolanda Jeklin uważa za rodzaj medium wymiany energii pomiędzy człowiekiem a wibrującym i przenikającym wokół niego światem. Jest to zarazem odniesienie do procesu medytacji i koncentracji, pozwalającej na autoanalizę i zbliżenie się do własnego wnętrza czy rozpoznanie indywidualnych celów, a także tego, co pomaga w ich realizacji, i co ją utrudnia, oddalając nas jednocześnie od siebie.

Receptę na autorealizację w zgodzie ze światem artystka widzi w koordynacji własnej przestrzeni mentalnej i tego, co wokół nas – na osi „Synchronizacja... – Motywacja... – Szczęście”.

W uniwersum wizualnej i psychicznej synchronizacji Jolandy Jeklin, której skrajne bieguny tworzą serie *Miast* i *Mandal*, uwagę przykuwa obraz polski jakby z definicji. Zapewne nie jest przypadkiem, że na symbol swej drugiej ojczyzny wybrała bowiem *Warsaw* (2014) – najbardziej antropomorficzną ze swych malarskich wizji metropolii. Tylko tu kulisy architektury rozświetlają nie anonimowe neony, lecz blask niezliczonych ludzkich spojrzeń.





Igor Myszkiewicz

Te nowe pomniki

Te nowe pomniki

Te nowe pomniki... Wciąż mówimy o nich „nowe”. Wciąż próbujemy je oswoić, polubić, zaakceptować lub wręcz przeciwnie – dyskutujemy z ich obecnością, protestujemy, okaleczamy. I porównujemy do ich starszych braci – tych, którzy wrosli już w miejski krajobraz, którzy od dekad stanowią trwały element naszych wspomnień.

W ciągu ostatnich lat Zielona Góra podlega widocznym zmianom, ekonomicznym, demograficznym, rozwój jednych aspektów przeplata się z degeneracją innych. Zmiany zachodzą także w przestrzeni miejskiej, pojawiły się nowe gmachy Filharmonii, Palmiarni, wyrósł oczekiwany tyle lat basen, grobowiec Złotego Domu, gruzi Polskiej Wełny przepoczwarzyły się w Focus, deptak zmienił skórę, a samo miasto urosło, przerastając (terytorialnie) Poznań...

W końcu, po niemal dwóch dekadach bez tego typu realizacji, pojawiły się także nowe pomniki i rzeźby. I od razu wywołały zacięte dyskusje.

Ubiegłe dwudziestolecie długo nie przynosiło wielu realizacji artystów w przestrzeni miejskiej. Zlecenia dotyczące kolorystyki ulic, malarstwa ściennego, przejmowane były przez wyspecjalizowane biura projektowe i agencje reklamowe. Bardzo długo nie powstawały nowe realizacje rzeźbiarskie. Do wyjątków należy symboliczny powrót *Robotników* – rzeźb au-

torstwa Henryka Gawanowskiego, zdewastowanych i ukrytych w 1982 roku przez Służbę Bezpieczeństwa, a przypadkowo odnalezionych w 1996 roku.

Znakiem czasu były prace modyfikujące niektóre dzieła powstałe w minionym systemie – orłom dorzeźbiano korony, na pomniku Bohaterów II Wojny Światowej (projektu Anny Krzymańskiej) również dołożono orła w koronie oraz zatarto elementy kojarzące się z Armią Czerwoną na postaciach żołnierzy. W przypadku tego pomnika co jakiś czas pojawiają się nowe koncepcje, mające na celu nadanie mu bardziej „słusznego” wyglądu; tu przykładem może posłużyć choćby dołożenie w ubiegłym roku plastikowej tablicy z godłem państwowym (co zwiększa ilość polskich orłów w ramach jednego monumentu do trzech). O fakcie, że rzeźba stoi na miejscu dawnego radzieckiego cmentarza wojskowego, w towarzystwie się nie wspomina...

Nasi rzeźbiarze okazjonalnie wykonywali tablice pamiątkowe lub statuetki, większe formy realizując dla innych miast. Niekiedy były to prace niezwykle spektakularne, jak choćby *Kwadryga Brunonii* wykonana przez Artura Wochniaka w Brunszwikiu.

Pierwszą jaskółką zwiastującą wysyp nowych obiektów był pomnik Jana Pawła II, autorstwa gdańskiej artystki, Moniki Zadurskiej-Bielak, przy kościele pw. Ducha Świętego w 2006 roku. Brązowy posąg wpisuje się w zjawisko masowego stawiania w całym kraju papieskich pomników, jakie nastąpiło po śmierci wielkiego Polaka.

Jednak na prawdziwą falę nowych realizacji przestrzennych przyszło jeszcze trochę poczekać. Coś drgnęło w roku 2008, kiedy Robert Tomak wyrzeźbił (wygrawszy uprzednio konkurs) pomnik Ignacego Łukasiewicza. Figura stanęła przed siedzibą PGNiG w Zielonej Górze. Pomnik wykonany jest z brązu, początkowo umieszczony został na granitowym cokole wysokości 50 cm, który w 2010 roku wymieniono na nowy, już 140-centymetrowy. Łukasiewicz oddany został w konwencji realistycznej. Wynalazca przedstawiony został w pozycji siedzącej, w prawej dłoni trzyma lampę naftową własnej konstrukcji. Zza jego pleców tryska stylizowany jęzor ropy naftowej. Był to pierwszy od ponad dwóch dekad pomnik dłuta lokalnego twórcy w Zielonej Górze.



Pomnik Jana Pawła II



Pomnik Ignacego Łukasiewicza

A potem był Bachus

Już w 2001 roku pojawił się pomysł ustawienia w mieście pomnika Bachusa. Ogłoszono dwukrotnie konkurs rzeźbiarski, lecz efekty nie były zadowalające. Pomysł wrócił w roku 2008, wywołując szeroki odzew mieszkańców i żywiołową dyskusję na łamach lokalnej prasy. Idea budowy pomnika boga wina zyskała rzesze zwolenników, ale ujawnili się także i przeciwnicy protestujący wobec stawianiu w środku miasta pogańskiego bożka. Oponenti domagali się odbudowy przedwojennej Winiarki, widząc w niej nieobarczony ryzykownymi konotacjami religijnymi symbol tradycji Zielonej Góry. Obie postacie – Winiarka i Bachus zostały w toku przeciągającej się dyskusji niejako przypisane do rywalizujących o władzę w mieście opcji politycznych! Dotyczyć będzie to niestety niemal wszystkich nowych pomników...

Wróćmy jednak do Bachusa. Efekty drugiego konkursu dało się już oglądać bez bólu i rzeźba stała na deptaku we wrześniu 2010 roku. Konkurs wygrali rzeźbiarze krakowscy – Jacek Gruszecki i Robert Dyrz. Pomnik Bachusa był też początkiem

szerszej dyskusji o nowych pomnikach i rzeźbach plenerowych w Zielonej Górze. Od strony logistyczno-formalnej nad tym i kolejnymi konkursami czuwała powołana przez Prezydenta Miasta Zielona Góra komisja do spraw pomników i form przestrzennych pod przewodnictwem dyrektora Muzeum Ziemi Lubuskiej Andrzeja Toczewskiego.

Bóg wina został ukazany w postaci młodego mężczyzny w wieńcu z winorośli siedzącego na beczce; w jednej z dłoni bożek trzyma szarfę z zielonogórskim herbem. Jako mały projekt Bachus budził skojarzenia z barokową rzeźbą parkową, dynamiczną, lekką i nieco swawolną, jednak po powiększeniu, ponaddwumetrowa muskularna postać o proporcjach dziecka zyskała mroczny rys potworności. Czy było to błędem twórców czy zamierzonym efektem? Niezależnie od odpowiedzi ta ujawniająca się w ostatecznym wyglądzie pomnika zmiana nadała mu wyrazu i charakteru; odlany z brązu Bachus jest dzisiaj centralnym punktem zielonogórskiego deptaka i jednym z symboli miasta. Pomnik już w trakcie powstawania wywołał żywe i momentami kuriozalne dyskusje, w których na pierwszy plan wybijały się kwestie bynajmniej nie estetyczne lecz polityczno-religijne. Z uwagi na zbieżność czasową można się zastanawiać, czy niejako uboczną konsekwencją pojawienia się Bachusa na zielonogórskiej starówce nie były sięgające Watykanu zabiegi (zakończone powodzeniem) uczynienia św. Urbana patronem Zielonej Góry.

Również w 2010 roku zrealizowany został pomnik Wydarzeń Zielonogórskich. Realizacja, autorstwa gdańskiego artysty Roberta Kaji powstała (z inicjatywy prof. Konrada Stawiarskiego) w 50. rocznicę mających miejsce 30 maja 1960 roku wypadków. Monument jest nowoczesny w formie, częściowo włączony w bryłę Filharmonii Zielonogórskiej (dawnego Domu Katolickiego będącego osią Wydarzeń). Autor zestawiał surową kamienną bryłę sugerującą więzienne drzwi z opisem wypadków „rzuconym” bezpośrednio na ścianę budynku.

Kolejnym pomnikiem, który powstał w Zielonej Górze, był pomnik Matki Sybiraczki postawiony z inicjatywy Stowarzyszenia Na Rzecz Pomocy Zesłańcom Sybiru. Konkurs wygrał Robert Tomak, a uroczyste odsłonięcie rzeźby odbyło się 17 września 2010 roku.



Pomnik Bachusa



Pomnik Wydarzeń Zielonogórskich

Tu forma jest tradycyjna, nawiązująca do sztuki historycznej XIX wieku, co dodatkowo podkreśla wielowiekowe istnienie kontekstu syberyjskiego w polskich dziejach i losach. Odlana z brązu postać kobiety, matki w łachmanach przygarnia do siebie dwójkę dzieci. Pomnik znajduje się na placu Kolejjarza.

Następną realizacją był monument poświęcony pamięci ofiar katastrofy lotniczej pod Smoleńskiem z 10 kwietnia 2010 roku. Konkurs wygrała Małgorzata Bukowicz, a odsłonięcia pomnika dokonano na zielonogórskiej nekropolii w pierwszą rocznicę tragedii. Forma metalowego monumentu nawiązuje do kształtu skrzydła samolotu i zarazem nagrobnej steli.

Rok 2010 był rokiem prawdziwego wysypu realizacji rzeźbiarskich w przestrzeni Zielonej Góry. Nie zawsze były to klasyczne pomniki. Podczas majówki na deptaku pojawiła się *Zielona Góra* i to w sensie dosłownym. Rzeźba miała formę gipsowego stożka w kolorze ostrej zieleni. Było to dzieło stołecznych artystów młodego pokolenia, Tymka Borowskiego i Pawła Śliwińskiego, zrealizowane w ramach organizowanego przez Biuro Wystaw Artystycznych



Monument poświęcony pamięci ofiar katastrofy lotniczej pod Smoleńskiem



Rzeźba *Zielona Góra*

pleneru IMPREZA DOBRA I RYZYKOWNA. *Zielona Góra* budziła skrajne reakcje, od szczerego entuzjazmu po ostry sprzeciw. Dwukrotnie stała się obiektem krytycznych działań performatywnych innych twórców (autorem pierwszej akcji był Aleksander Olejniczak, drugiej – grupa Małe Miejsce Sztuki). Nie okazała się także odporna na działanie warunków zewnętrznych, zielona farba bladła i obłaziła, gips obkurczał się i kruszył. W końcu obiekt zniknął z deptaka w 2013 roku, dziś stoi za budynkiem BWA.

W 2010 roku powstała jeszcze jedna rzeźba, wokół której zrobiło się naprawdę głośno. Kiedy przed wyczekiwanym Centrum Rekreacyjno-Sportowym pojawiła się para sportowców dłuta Agnieszki Wolskiej wybuchł skandal. Rzeźba przedstawia postacie dwojga sportowców, zwróconych do siebie plecami, których ciała tworzą gimnastyczny łuk. Atleci przedstawieni zostali w konwencji realistycznej, mimo że wczesne projekty tego nie zakładały. Zmiana okazała się być brzemienią w skutki. Prezydent Zielonej Góry jako warunku istnienia posągu zażądał usunięcia genitaliów mężczyzny. Autorka podporządkowała

się temu, ale... w obecności kamer. Rozgłos, który wybuchł wokół okaleczenia dzieła, miał charakter ogólnopolski, przyćmił także otwarcie samego basenu, wyczekiwanego od lat. Po tygodniu medialnych utarczek prezydent zmienił zdanie i brakujący fragment figury wrócił na miejsce.

Podczas prac nad *Bachusem*, niejako na marginesie pojawiła się koncepcja „rzeźb towarzyszących”, niewielkich form rzeźbiarskich rozrzuconych w przestrzeni miejskiej. Idea skrzystalizowała się w formie bachusików – niedużych, około 30-centymetrowych figurek w pewnym stopniu nawiązujących do pomysłu wrocławskich krasnali. Pięć pierwszych sfinansowało miasto, kolejne prywatni sponsorzy. Pierwsza figurka pojawiła się na zielonogórskim deptaku w 2010 roku. Do dziś powstało ich już 38, kolejne są w drodze. W ciągu pięciu lat bachusiki stały się charakterystycznym elementem naszego miasta, wrosły w jego krajobraz i w pejzaż naszych wspomnień. Choć start miały trudny – niektóre figurki od początku były celem chuligańskich ataków, kopane, wyrywane, piłowane, a nawet rozjeżdżane



Rzeźba pary sportowców



Figurka bachusika

samochodem... Element z początku obcy, tradycja stworzona sztucznie, a jednak w końcu się „przyjęły”, zostały zaakceptowane. Dla dzieci, które dziś bawią się przy figurkach, bachusiki będą fragmentem najwcześniejszych wspomnień, jako coś, co było „od zawsze”. Autorzy rzeźb to lubuscy artyści: Małgorzata Bukowicz, Robert Tomak, Andrzej Moskaluk i Artur Wochniak.

A skąd w ogóle pojawił się pomysł wpuszczenia bachusików na deptak? Ojcem koncepcji bezapelacyjnie jest Tomasz Czyżniewski, który widzi w nich niesforne potomstwo Bachusa i sumiennie do każdej powstającej figurki dopisuje barwną anegdotę. Może jednak nie tylko... Pamiętam wcześniejsze luźne rozmowy z władzami miasta, podczas których Artur Wochniak i ja rzuciliśmy niezobowiązująco pomysł, by na dużym pomniku Bachusa (który wtedy powstawał) się nie skończyło, że może powinny za funkcjonować gdzieś jakieś postaci z orszaku, może jakieś satyry, bachantki, syleny... Może więc i my mamy tu jakiś drobny udział i jesteśmy koncepcji, która wykrystalizowała się w formułę bachusików,

dziadkami? Bachusiki wywołują różne emocje, dla jednych są sympatyczną atrakcją turystyczną, dla innych kamieniem estetycznej obrazy. Nie wiadomo, ile z nich ostatecznie przetrwa, bo choć wciąż powstają nowe, to jednak nie wszystkie z pierwszej fali udało się ocalić.

Na kolejną rzeźbę musieliśmy czekać do roku 2013. Był to pomnik Dobosza Powstania Wielkopolskiego, postawiony z inicjatywy Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego. Na granitowym cokole stanęła odlana z brązu figura dziecka-żołnierza; ubrany w mundurowy szynel chłopiec daje werblem sygnał do rozpoczęcia Powstania. Autorem rzeźby jest zielonogórski twórca Romuald Wiśniewski. Pomnik usytuowany jest w rogu placu Wielkopolskiego. Lokalizacja rzeźby wydaje się dość dyskusyjna, załatania ona i dominuje inny pomnik historii – zachowany fragment otaczającego niegdyś miasto muru obronnego.

W tym samym roku powstała pierwsza zielonogórska „ławeczka” – przed gmachem Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida



Figurka bachusika



„ławeczka” przed gmachem WiMBP im. Cypriana Norwida

w 2013 roku zasiadł jej patron. Ławeczka Norwida (autorstwa bydgoszczanina Andrzeja Rittersa) jest realizacją nowatorską (i ryzykowną) z dwóch powodów – po pierwsze, ma charakter multimedialny i interaktywny, widz może, wciskając przycisk na trzymanym przez poetę tablecie, usłyszeć nagranie jego wierszy; drugim istotnym aspektem jest użycie do wykonania rzeźby materiału, tradycyjny brąz ustąpił tu miejsca żywicy, równie efektownej, ale i wielokrotnie mniej trwałej.

Pomysł postawienia kolejnego pomnika początkowo wywołał w Radzie Miasta gwałtowny spór polityczny o interpretację naszej narodowej historii. Chodzi o zrealizowany z inicjatywy senatora Stanisława Iwana pomnik Żołnierzy Wyklętych (poświęcony żołnierzom zrzeczenia Wolność i Niezawisłość). Rzeźba, dłuta Roberta Tomaka, nawiązuje w formie do istniejących już w wielu innych miastach pomników związanych z tematem. Przeważnie mają one formę głazu (lub stosu głazów), szczytu, którego strzeże ukoronowany orzeł. Zielonogórski monument był bardzo wyczekiwany także przez tych mieszkańców,

którzy nie akceptowali uroczystości państwowych i patriotycznych odbywających się pod historycznie problematycznym pomnikiem na placu Bohaterów. Odsłonięcia rzeźby dokonano 28 lutego 2014 roku, stanęła ona na placu im. majora Adama Lazarowicza (dziadka Stanisława Iwana) przy Winnym Wzgórzu. Pierwszy marsz z pochodniami, zorganizowany m.in. przez Młodzież Wszechpolską i kibiców Falubazu, ruszył pod pomnik dwie noce później.

Przed Urzędem Marszałkowskim stanęła ostatnia, jak dotąd, zielonogórska Winiarka, tym razem drewniana. Rzeźba, autorstwa Jana Papiny, nawiązuje stylistyką do twórczości ludowej.

Nieopodal, w Parku Tysiąclecia, 25 września 2014 roku stanęła rzeźba zupełnie inna – czarna, płaska sylweta ogromnego kruka z wygodnym hamakiem zawieszonym w jamie wydrążonego brzucha. *Ptak* Basi Bańdy, zielonogórskiej artystki młodego pokolenia, początkowo budzi lęk i niepokój, by następnie je oswoić i zaprosić widza do chwili relaksu. Inspiracją dla artystki były ponoć kołujące nad pobliskim szpitalem kruki... *Ptak* zaprasza do interakcji, nie jest



Pomnik Żołnierzy Wyklętych



Rzeźba *Ptak*

rzeźbą wyłącznie do oglądania. Można doszukać się tu nowoczesnej i poszerzonej idei „ławeczki”.

W maju 2015 roku Basia Bańda zrealizowała także (przy współpracy Tomasza Relewicza) amorficzne „siedziska” przed zielonogórskim BWA. Praca powstała w ramach wystawy *Tu jesteśmy zorganizowanej* w 50-lecie placówki.

Inna „ławeczka” zakończy (jak na razie) listę nowych obiektów. 6 listopada 2015 roku na skwerze przed Muzeum Ziemi Lubuskiej pojawił się stolik z dwoma krzesłami. Na jednym rozsiadł się Klemens Felchnerowski (1928-1980), legenda lubuskiego środowiska kulturalnego, artysta malarz, wojewódzki konserwator zabytków, dyrektor zielonogórskiego muzeum, drugie krzesło pozostaje wolne, zaprasza, by dosiąść się do stolika artysty. Wykonana z brązu rzeźba, autorstwa Artura Wochniaka, nawiązuje do ulubionego stolika malarza w Ratuszowej, gdzie często przesiadywał. Jest to zarazem pierwszy pomnik poświęcony mieszkańcowi powojennej Zielonej Góry.

Pomysłów na kolejne rzeźby jest sporo; największą grupę stanowią oczywiście propozycje

o charakterze martyrologicznym i historycznym, to tematy wciąż „zaległe” – mówi się o potrzebie uczczenia marszałka Józefa Piłsudskiego czy generała Sikorskiego. Pojawił się pomysł na nowy obelisk smoleński, tym razem usytuowany w centrum miasta (skontrolowano go wnioskiem, by zamiast niego postawić pomnik skręta marihuany, ale to oczywiście polityczne harce i psoty). Na swoją kolej oczekuje św. Urban, patron Zielonej Góry, a także wielu zasłużonych mieszkańców naszego miasta. W przeprowadzanych przez lokalne gazety rankingach pojawiają się propozycje upamiętnienia choćby Władysława Korcza, Tadeusza Kuntze, Mariana Szpakowskiego, Hilarego Gwizdały, ks. Kazimierza Michalskiego, Stanisława Cynarskiego, Andabaty, zielonogórskich czarownic... Lista będzie się tylko wydłużać. Obok tradycyjnych pomników czekają i nowoczesne rzeźby plenerowe – w Parku Tysiąclecia Fundacja Salony proponuje umieścić stalowy płomień – *Catch Fire* Oskara Zięty.

Wciąż powraca też pomysł rekonstrukcji przedwojennej Winiarki. Mimo że zawsze przyjmowany jest życzliwie, jego realizacja, w obliczu innych koncepcji, odkładana jest tradycyjnie na przyszłe lata. Choć w pewien sposób Winiarka jednak wróciła; jej pomniejszoną wersję można oglądać w założonym na terenie Winnicy Julia (Stary Kisielin) w 2012 roku Parku Miniatur Obiektów Winiarskich. Uznajmy to za jakiś początek.

Te nowe pomniki... Bardzo powoli wtapiają się w naszą świadomość, wciąż są „nowe”, trochę obce; jakby ich obecność wciąż była nieostateczna. Porównujemy je do tych wcześniejszych, szukamy ciągłości, ale linia podziału nadal jest wyraźna. Rzeźby powstałe w latach 60.-80. pozostają punktem odniesienia i porównań, raczej dla nowych obiektów niekorzystnych i niekoniecznie sprawiedliwych. Po części wynika to z pewnej mitologizacji zielonogórskiego życia artystycznego sprzed kilku dekad, po części z oczywistego faktu, że wśród nowych obiektów obok realizacji udanych (Wydarzenia Zielonogórskie, Matka Sybiraczka, część bachusików) znalazły się też wpadki (Dobosz, część bachusików). Jednak wydaje się, że główny powód trudnego odbioru naszych współczesnych pomników leży gdzie indziej.



Rzeźba Klemensa Felchnerowskiego

To kwestia czasu oddziałująca na kilku płaszczyznach.

Nowe rzeźby odzwierciedlają już inną (wciąż kształtującą się) epokę. Widać to nie tyle w doborze tematów, co w samej formie. Stylistyka stała się na powrót tradycyjna, realistyczna, wyraźnie historyzująca, ten trend reprezentują niemal wszystkie omówione obiekty (za wyjątkiem pomnika Wydarzeń Zielonogórskich Roberta Kaji i monumentu smoleńskiego Małgorzaty Bukowicz). Odbija się w tym zmiana w relacji sztuki i społeczeństwa, jaka zaszła w ostatnim ćwierćwieczu – podczas prac nad pomnikami w kwestii ich ostatecznego kształtu silniejszy głos mają inicjatorzy i fundatorzy przedsięwzięcia, osłabła natomiast pozycja środowisk twórczych.

W stosunku do poprzedniej epoki, zmieniły się proporcje ilościowe dźwigających poważny temat pomników do „niezaangażowanych” rzeźb plenerowych, tych drugich powstaje dziś (nie licząc oczywiście bachusików) zdecydowanie mniej. Inny niż kiedyś jest materiał – dominuje brąz, wciąż obecny jest granit i sztuczny kamień, pojawił się kształtowany w nowoczesny sposób metal, a zabrakło z kolei popularnych kiedyś realizacji ceramicznych.

W nowych pomnikach odbijają się też dzisiejsze polskie spory – o historię, religię, światopogląd i są to spory zajadłe, niedające już nadziei kompromisu, naczynające także i sztukę przynależnością polityczną. Postawienie pomnika staje się symbolicznym wbić sztandaru w zdobyte terytorium, narzuceniem własnej wersji historyczno-politycznej narracji. To z kolei czyni nowe obiekty wrażliwymi na zmieniające się wiatry historii, potencjalnie nietrwałymi.

Warto zwrócić uwagę też na ilość obiektów artystycznych w przestrzeni miasta po 1989 roku. W ciągu dwóch ostatnich dekad postawiono ich niemal tyle, co przez cały okres PRL-u, gdybyśmy doliczyli bachusiki byłoby dużo więcej. Obfitość rzeźbiarskich realizacji widoczna jest zwłaszcza w centrum Zielonej Góry. Z jednej strony podkreśla to rekreacyjny, „spacerowy” charakter starówki, z drugiej być może warto o kolejnych obiektach myśleć już poza kontekstem deptaka. To zresztą już się dzieje, wystarczy spojrzeć na prace trwające w Parku Tysiąclecia. Obiekty o charakterze artystycznym, raczej rzeźby plenerowe niż pomni-

ki indywidualizowałyby także rosnące przestrzenie blokowisk i osiedli mieszkaniowych.

I jeszcze raz kwestia czasu – rzeźby powstałe w mieście w poprzednim okresie należą już do etapu zamkniętego, mają jednak nad „nowymi” przewagę długiej obecności w naszych wspomnieniach, utrwalanej przez dekady istnienia. Nowe pomniki będą to przez dziesięciolecia nadrabiać. To już się dzieje, wspinające się na kolana Bachusa dzieci zapamiętają go jako stały, odwieczny (dla nich) element mapy dzieciństwa.

Nie wiem, czy wszystkie obiekty przetrwają, ani jak będziemy je przerzeźbiać pod dyktando zmieniających się wiatrów historii. Nie wiem też, jak zostaną zapamiętane – jako obojętne kształty na skraju pola widzenia, czy też któremuś z nich uda się skraść nasze serca na taką skalę, jak robi to od ponad półwiecza należący do jeszcze innego czasu *Chłopiec ze źrebięciem* Hansa Krückeberga stojący na Winnym Wzgórzu.

Nie udało się to jak dotąd żadnej powojennej rzeźbie...



Chłopiec ze źrebięciem

Rzeźba *Chłopiec ze źrebięciem* sprzed Palmiarni – próba interpretacji w kontekście sztuki propagandowej III Rzeszy¹

Pomnik chłopca z konikiem od lat 60. XX wieku znajduje się w Winnym Wzgórzu. Mimo że wrósł w krajobraz kulturowy Zielonej Góry, oderwany jest jednak od historycznego kontekstu. *Chłopiec ze źrebięciem* w latach 30. XX wieku przekazany przez autora dla koszar Wehrmachtu w Krośnie Odrzańskim, gdzie służył jego syn, być może stanowił ukrytą apologię nazizmu.

Miasto w służbie ideologii

Rzeźba *Chłopiec ze źrebięciem* obecnie znajdująca się przed zielonogórską Palmiarnią jest pochodzącym z lat 30. XX wieku dziełem berlińskiego rzeźbiarza

Hansa Krückeberga (1878-1952). Monument pierwotnie eksponowany był na terenie garnizonu żołnierzy piechoty Wehrmachtu w Krośnie Odrzańskim (Crossen an der Oder), należącym do prowincji brandenburskiej. Po dojściu Hitlera do władzy w Niemczech konsekwentnie zaczęto łamać postanowienia traktatu wersalskiego dotyczące ograniczeń armii i zbrojeń. W latach 30. XX wieku na terenie obecnego województwa lubuskiego stacjonowało wiele jednostek armii niemieckiej, koszary Wehrmachtu funkcjonowały m.in. w Gorzowie Wlkp., Międzyrzeczu, Kostrzynie n. Odrą czy Sulechowie.



Chłopiec ze źrebięciem Hansa Krückeberga na terenie koszar piechoty Wehrmachtu w Krośnie Odrzańskim, pocztówka (fragm.), l. 30. XX w. Kolekcja Jarosława Kreciuka



Pomnik przed Palmiarnią w Zielonej Górze, stan współczesny. Fot. autorki

¹ Rozszerzona wersja artykułu została wydana w zbiorowej publikacji pt. *Ziemia Lubuska. Dziedzictwo kulturowe i tożsamość regionu w perspektywie powojennego siedemdziesięciolecia*, red. T. Nodzyński i M. Tureczek, Zielona Góra – Gorzów Wielkopolski 2015, s. 131-144.

Niemcy tego okresu stały się państwem totalitarnym i policyjnym, kontrolującym wszystkie dziedziny życia. Podobnie jak w całym państwie, także w Krośnie Odrzańskim nastąpił wzrost nacjonalizmu i szowinizmu. W 1933 roku Hitler i nazistowska partia NSDAP cieszyła się poparciem 64% mieszkańców powiatu. W trakcie słynnej „nocy kryształowej” (1938) spalono tutaj synagogę. Książki uznane za nieprawomyślne publicznie niszczone. Wojsko w Krośnie Odrzańskim było najprawdopodobniej silnie popierane przez miejscową ludność. Wydaje się, że życie całego miasta podporządkowane było funkcji militarnej. W 1939 roku liczba żołnierzy była większa od cywilnych mieszkańców. Nastroje tego okresu barwnie scharakteryzował Jerzy Piotr Majchrzak:

Stare uroczę nadodrzańskie Krosno rozbrzmiewało marszowym krokiem podkutych żołnierskich butów i trzaskiem werbli zastępów Hitlerjugend, a cudowne secesyjne wille na byłych winnych stokach tonęły w dekoracjach nazistowskiej propagandy, aby, jak to określił jeden z miejscowych partyjnych bonzów, „tym dekadentckim rupieciami nadać nowy, narodowo-socjalistyczny wymiar”².

Krośnieński batalion zmotoryzowany wchodził w skład sił 10. Armii „Południe”, która 1 września 1939 roku uderzyła na Polskę.

W poszukiwaniu autora rzeźby

Wiele wskazuje na to, że *Chłopiec ze żrebięciem* Hansa Krückeberga jest przykładem sztuki narodowosocjalistycznej III Rzeszy i w pierwotnym miejscu ekspozycji pełnił funkcje propagandowe. Teza ta pojawiała się niejednokrotnie na łamach lokalnej prasy. Warto podkreślić, że na terenie obecnego woj. lubuskiego można znaleźć wiele często niepozornych przykładów twórczości tego kręgu (np. wizerunek kosiarza z Kalska, pow. międzyrzecki). Niejasności budzi nie tylko kontekst historyczny rzeźby, ale sprawa jej autora. Dzieło błędnie przypisano Josefowi Thorakowi (1889-1952), jednemu z głównych rzeźbiarzy

III Rzeszy, który wyznaczył kierunek rozwoju sztuki narodowosocjalistycznej. Pomyłka (powielana przez wydawnictwa popularne i strony internetowe) wzięła się m.in. za sprawą podobnego motywu w twórczości – serii przedstawiającej człowieka i konia. Dzieła tego popularnego rzeźbiarza znajdują się także na ziemiach polskich: w Ustce (*Umierający wojownik*, 1922) oraz w Zaskoczynie k. Gdańska (w 2008 zidentyfikowano tam posąg *Macierzyństwo* z 1942). Rzeźby Thoraka, monumentalne i patetyczne, noszące znamiona nowatorskich kierunków, ekspresjonizmu i modernizmu, stylistycznie nieco odbiegają jednak od zrównoważonego i utrzymanego w konwencji klasycznej *Chłopca ze żrebięciem*. Poszukując źródeł z epoki, o pomniku wspomina czasopismo „Crosse-ner Kreiskalender” (1942), według którego twórcą dzieła *Chłopiec ze żrebięciem* („Knabe mit Fohlen”) był berliński rzeźbiarz Krückeberg, który pozostawił również swoją sygnaturę w podstawie pomnika. Hans Krückeberg (1878-1952) urodził się w Treuenbrietzen w prowincji brandenburskiej. Był absolwentem Akademii Sztuki w Berlinie. Krückeberg należał do starszego pokolenia rzeźbiarzy, tworzącego w bardziej tradycyjnym duchu niż czołowi przedstawiciele nurtu sztuki III Rzeszy – wspomniany już Thorak i Arno Breker (1900-1991). Jednak, jak wskazują przykłady, nawet nieco starsi rzeźbiarze zawodowo czynni po 1933 roku, pozostając w dotychczasowej stylistyce, w jakiś sposób starali dostosowywać się do aktualnie panujących tendencji.

Miejsce ekspozycji – koszary Wehrmachtu w Krośnie Odrzańskim

Rzeźba pierwotnie znajdowała się na terenie garnizonu żołnierzy piechoty Wehrmachtu w Krośnie Odrzańskim. Obszerny, nowoczesny kompleks powstał w latach 30. XX wieku (już w okresie nazistowskim) przy ówczesnej ulicy Adolf Hitler-Straße (wcześniej była to ul. Szpitalna – „Krankenhausweg”, nową nazwę nadano dla podkreślenia rangi miejsca po powstaniu koszar; obecnie jest to ul. Piastów). Autor *Chłopca ze żrebięciem* był ojcem jednego z pierw-

2 J. P. Majchrzak, *Brama (Krosno Odrzańskie ongiś)*, Krosno Odrzańskie 1995, s. 65.

szych młodych poruczników piechoty, którzy w 1934 roku znaleźli się w garnizonie. Porucznik ten był adiutantem lub ordynansem oficera ówczesnego dowódcy batalionu i późniejszego generała majora von Geysa, który w 1934 roku objął nowe garnizonowe miasto odrzańskie. Rzeźba stała dokładnie przy wejściu do nowych koszar piechoty (Infanterie Kaserne), pomiędzy bramą główną a obszernym placem.

W kręgu sztuki propagandowej III Rzeszy

Chłopca ze żrebięciem prawdopodobnie można zaliczyć do kręgu sztuki nazistowskiej III Rzeszy. Twórczość artystyczną powiązano z hitlerowskim systemem propagandy i podporządkowano systemowi. Rozpoczęto procedury włączania oraz adaptowania tradycji kulturowych w oficjalny kanon nazizmu. Sztuki plastyczne miały uwzględniać potrzeby państwa, podkreślać odrębność i wyższość narodu, rasy niemieckiej. Wykluczono odchodzące od realizmu nurty artystyczne, które nazwano sztuką zwyrodniałą. Opracowana oficjalna estetyka

III Rzeszy skupiała się wokół wybranych wzorców, czerpanych z klasyki greckiej i niemieckiej tradycji. Całą sztukę niemiecką tego okresu charakteryzowały silne tendencje klasyczne. Sam Hitler uważał kulturę grecką za kulturową kolebkę Aryjczyków, spokrewnionych ze starożytnymi Hellenami. Obowiązujący kanon miał więc łączyć w sobie tendencje antykizujące oraz germańsko-nordyckie ideały nazizmu. W sztuce dominować miały silne, młode i atletycznie zbudowane postacie, których sylwetki odpowiadały normom przynależności do tzw. rasy nordyckiej.

Aryjczyk w konwencji klasycznej

Analizując poszczególne elementy rzeźby, można uznać, że spełniają one wyznaczniki sztuki propagandowej III Rzeszy. Grupa wykonana z brązu wiernie odtwarza rzeczywistość, utrzymana jest w akceptowanej przez oficjalną estetykę konwencji klasycznej. Przedstawia nagiego chłopca próbującego ujarzmić żrebię. Chłopiec chce opanować zwierzę, trzymając je za szyję. Ofensywny gest młodzieńca



Grossen / Oder – Infanterie-Kaserne

Chłopiec ze żrebięciem Hansa Krückeberga na terenie koszar piechoty Wehrmachtu w Krośnie Odrzańskim, pocztówka, l. 30. XX w. Kolekcja Jarosława Kreciuka

próbując przełamać młody konik, co sugeruje jego postawa obronna. Harmonijnie zbudowana sylwetka chłopca odpowiada pożądanym wzorcom budowy fizycznej. Tematyka dzieła wpisuje się w nazistowski kult ciała, zdrowia i sprawności fizycznej, przydatnej na wypadek wojny. Zgodnie z narodowosocjalistyczną estetyką nagość uosabiała abstrakcyjną i wyidealizowaną wizję ciała i rasy.

Przedstawienie młodego chłopca i młodego zwierzęcia dodatkowo można interpretować jako wskazanie na rodzące się dopiero źródło wielkości, która wymaga kształtowania, rozwoju i kontroli państwa. Pełni więc funkcję propagandowo-dydaktyczną, zwłaszcza dla młodego pokolenia. Dość czytelny przekaz ideologiczny rzeźby wzmacnia dodatkowo fakt, że była eksponowana w sąsiedztwie koszar szkolących żołnierzy Wehrmachtu, u progu wybuchu II wojny światowej. Znamienny jest także gest autora, ojca młodego porucznika, przekazującego swoje dzieło na użytek państwa i armii. Rzeźba nie mogła też pełnić funkcji ściśle estetycznej z uwagi na ograniczony dostęp do koszar.

Germańska symbolika

Dzięki przyjętej pozie, otoczeniu lub symbolicznym atrybutom rzeźba III Rzeszy była nośnikiem ukrytych treści. *Chłopca ze źrebięciem* można również interpretować na płaszczyźnie alegorycznej. Nieprzypadkowy wydaje się wybór konia, zwierzęcia będącego częstym motywem w sztuce od czasów antycznych, wykorzystywanego także w twórczości nazistowskiej. Jego przedstawieniu zawsze przypisywano funkcję upamiętniającą, stał się nieodłącznym atrybutem władców, bohaterów i wojowników. Motyw konia posiada bogatą tradycję kulturową jako symbol wojny, triumfu, energii fizycznej, sił żywotnych, wytrwałości, bohaterstwa i wolności. Ponadto przywodzi na myśl mitologię germańską i germańskich wojowników, także popularnych w sztuce niemieckiej tego okresu. Wojownicze i dynamiczne germańskie ideały propagował także przywódca oddziałów SS, Heinrich Himmler. Przedstawiona scena może być interpretowana również jako inicjacja w wiek męski przyszłego wojownika, który próbuje oswoić swojego rumaka. Wybór tego



Koszary piechoty Wehrmachtu w Krośnie Odrzańskim (z widoczną za bramą rzeźbą), pocztówka, l. 30. XX w. Kolekcja Jarosława Kreciuka

atrybutu wydaje się więc nieprzypadkowy, w pełni koresponduje z miejscem wystawienia rzeźby i ówczesnymi tendencjami. Także Hitler traktował służbę wojskową jako etap przekształcenia chłopca w mężczyznę.

Hodowla nadczłowieka?

Przyjętą pozę i gesty prawdopodobnie można odczytać w duchu ideologii III Rzeszy, gdyż przywołuje konteksty kulturowe charakterystyczne dla tego okresu. Już sama zewnętrzna forma rzeźby wykazuje pokrewieństwo z nazistowskim witalizmem. Sięgając głębiej do prawdopodobnych kontekstów kulturowych, tematyka rzeźby przywodzi na myśl twórczość Fryderyka Nietzschego, która została wykorzystana jako jeden z głównych składników ideologii hitlerowskiej, stała się także wyraźnym źródłem inspiracji autora *Mein Kampf*. Nazizm przekształcił w swoje hasła wiele z jego aforyzmów. Motyw siły, ujarzmiania, poskramiania, podporządkowywania, toczenia boju i zapasów bardzo często występuje w piśmiennictwie tego niemieckiego filozofa.

Nietzsche wielokrotnie przywołuje wizję wielkiej jednostki (tzw. nadczłowieka) ujarzmiającej własne słabości. Posługuje się alegorią życia jako boju, wymagającego „panowania nad namiętnościami”, „gimnastyki woli” oraz „przymnażania sił”. Militarystycznym nastrojom ideologów nazizmu odpowiadał Nietzsche, posługujący się hasłem „woli mocy” krytyk bierności i dekadencji.

Wyraz ekspansji III Rzeszy?

Jak już wspomniano, niemieckim filozofem wyraźnie inspirował się sam autor *Mein Kampf*. Niektóre motywy tam zawarte wykazują pewne podobieństwo z tematyką rzeźby. Adolf Hitler w swoim propagandowym dziele wyłożył rasistowskie i szowinistyczne tezy doktryny nazistowskiej. Głosił wyższość tzw. rasy nordyckiej – aryjskiej. Najwyższy procent krwi aryjskiej mieli posiadać Niemcy będący „narodem panów”, stworzeni do rządzenia światem, zdobywania tzw. „przestrzeni życiowej” (*Lebensraum*). Tylko Aryjczycy rzekomo byli zdolni do budowy wyższej kultury, wymagającej



Pocztówka z widokami na koszarzy piechoty Wehrmachtu w Krośnie Odrzańskim, I. 30. XX w. Kolekcja Jarosława Kreciuksa

narzędzi i inwentarza. Ujarmili więc inne narody i podporządkowali swojej woli. Kolejnym etapem było oswojenie zwierząt – dotychczas wykonywanie niewolniczej pracy miało być tylko domeną „niższej rasy” – „najpierw przed pługiem szedł niewolnik, po nim dopiero koń”. Tematyka rzeźby może więc symbolizować kolejny etap podporządkowywania świata przez Niemców – potomków Aryjczyków, zdobywania „przestrzeni życiowej”. Hipoteza wydaje się tym bardziej prawdopodobna z uwagi na miejsce ekspozycji monumentu. Według samego Hitlera armia była najwyższą szkołą narodowego kształcenia, różnymi środkami miała umacniać przekonanie o własnej sile i niezwykłości narodu.

Chłopiec ze żrebięciem ze względu na tematykę, formę, konteksty kulturowe, przeznaczenie, miejsce ekspozycji oraz wymowę prawdopodobnie wpisuje się w krąg sztuki narodowosocjalistycznej III Rzeszy. Nasuwa się zwłaszcza kontekst historyczny dzieła powstałego w atmosferze kultu państwa i armii, propagującego wartości charakterystyczne dla Niemiec pretendujących do hegemonii w Europie. Przekaz ideologiczny odpowiada militarnym tendencjom oraz planowanej ekspansjonistycznej polityce

Rzeszy. Rzeźbę prawdopodobnie można więc uznać za symboliczną apologię nazizmu, ideologii popieranej przez zmilitaryzowaną, skoszarowaną i zindoktrynowaną większość mieszkańców miasta i prowincji brandenburskiej. Jak wskazuje regionalista Zbigniew Czarnuch, obywatele Niemiec tego okresu ulegali propagandzie i byli skłonni zaakceptować politykę III Rzeszy, ponadto istniała długa tradycja angażowania się artystów na rzecz państwa. Dzieło z pewnością jest także zgodne z oficjalną estetyką III Rzeszy, mieszcząc się w obowiązującym kanonie grecko-germańskim. Rzeźba wkomponowała się w krajobraz koszar, stając się ich integralną częścią. Charakter, przekaz, możliwe skojarzenia współbrzmiały z miejscem ekspozycji, odpowiadały ich funkcji.

Pomnik na Wzgórzu Winnym w Zielonej Górze

W latach 60. XX wieku za sprawą przedstawicieli ówczesnych władz nowym miejscem ekspozycji rzeźby *Chłopiec ze żrebięciem* Hansa Krückeberga stało się Wzgórze Winne w Zielonej Górze, stolicy ówczesnego województwa zielonogórskiego. Pomnik chłopca z konikiem zaadaptowano w krajobraz



Palmiarni – usytuowany został on na schodach prowadzących na szczyt Wzgórza Winnego od strony ul. Wrocławskiej. Rzeźba wpisała się w krajobraz kulturowy Parku Winnego, urastając do roli nieformalnego symbolu Zielonej Góry. Funkcjonujące tu założenia pomnikowe korespondują z terenem zieleni miejskiej, podkreślając jej funkcję rekreacyjno-estetyczną. Wszystkie elementy krajobrazu kulturowego Parku Winnego współtworzą specyficzny klimat Zielonej Góry, duch miejsca – *genius loci* winnego grodu.

Rzeźba *Chłopiec ze źrebięciem* Hansa Krückeberga funkcjonowała w dwóch odmiennych krajobrazach kulturowych. Dokonano wpisania tego dzieła sztuki w nową przestrzeń historyczną, o odmiennym charakterze i klimacie. W pewnym sensie doprowadzono do adaptacji poniemieckiego dziedzictwa kulturowego. Zmiana miejsca ekspozycji, odcięcie od historycznego kontekstu w połączeniu ze zmianą składu narodowościowego regionu oraz odmiennymi warunkami historycznymi wpłynęły na inne postrzeganie rzeźby. Nowa koniunktura przyniosła za sobą zmianę funkcji dzieła sztuki – z pierwotnie ideologicznej (propagandowej) na funkcję czysto estetyczną (wzbogacenie krajobrazu, nowy punkt orientacyjny w mieście). W Krośnie Odrzańskim była związana z militarnymi tradycjami miasta, w Zielonej Górze zaś wpisała się w krajobraz Palmiarni i tradycji winiarskich. Większość mieszkańców

Zielonej Góry nie identyfikuje pomnika ze sztuką narodowosocjalistyczną. Nawet poinformowani na łamach lokalnej publicystyki odbiorcy postrzegają dzieło przede wszystkim jako autonomiczne i osadzone w lokalności. Oswojony krajobraz Palmiarni z rzeźbą chłopca z konikiem stał się pożądanym miejscem rodzinnych fotografii, atrakcją turystyczną. Rekreacyjny, służący wypoczynkowi i rozrywce teren narzucił nowe postrzeganie rzeźby, które spowodowało przypisywanie jej ludycznego, wręcz sielankowego charakteru (motyw ujarzmnienia w zbiorowym odbiorze funkcjonuje jako motyw zabawy). Odczucia takie utrwalają ukazujące się wydawnictwa popularne, przewodniki, informatory, artykuły publicystyczne itp. W powszechnym odczuciu wszystkie elementy krajobrazu kulturowego Palmiarni pozostają w logicznym związku i są efektem planowego działania, współtworzą także tożsamość historyczną mieszkańców miasta. Patrząc z perspektywy czasu na dzieło rzeźby *Chłopiec ze źrebięciem* Hansa Krückeberga, można stwierdzić, że jest ona odzwierciedleniem trudnej historii regionu i losów poniemieckiego dziedzictwa, często przekształcanego, adaptowanego i eksponowanego w nowym kontekście.

Źródła ilustracji: pocztówki (l. 30 XX w.) z kolekcji Jarosława Kreciuka oraz współczesne fotografie wykonane przez autorkę.



Widok ogólny na zielonogórską Palmiarnię. Fot. autorki

Barbara Krzeszewska-Zmyślony

Długoletnia tradycja Polsko-Niemieckiej Orkiestry Młodzieżowej

Polsko-Niemiecka Orkiestra Młodzieżowa – Frankfurt/O Zielona Góra – należy bez wątpienia do najstarszych inicjatyw polsko-niemieckiej współpracy w dziedzinie kultury w regionie przygranicznym. Orkiestrę założyli w 1973 roku Rudolf Schumann i Gunther Reinecker z Musikschule z Frankfurtu/O oraz Mieczysław Tomaszewicz i Franciszek Pappelbaum ze Szkoły Muzycznej z Zielonej Góry.

Młodzi muzycy w przedziale wiekowym 11-25 lat pozostają w Orkiestrze od 5 do 8 lat. Orkiestra zawdzięcza swoje sukcesy polskim i niemieckim dyrygentom i... dobrym duchom – członkom rodzin muzy-

Barbara Krzeszewska-Zmyślony

Langjährige Tradition des Deutsch-Polnischen Jugendorchesters

Das Deutsch-Polnische Jugendorchester -Frankfurt/O und Zielona Góra- gehört zweifellos zu den ältesten Initiativen der deutsch-polnischen Zusammenarbeit im Kulturbereich in der Grenzregion.

Das Orchester wurde 1973 von Rudolf Schumann und Gunther Reinecker aus Musikschule Frankfurt/O und von Mieczysław Tomaszewicz und Franciszek Pappelbaum aus Musikschule Zielona Góra gegründet.

Die jungen Musiker im Alter von 11-25 Jahre bleiben von 5-bis 8 Jahre im Orchesterteam. Das Orchester hat seinen Erfolg den deutschen und pol-



ków i sponsorom. Próby i koncerty to nie tylko kwestia transportu i logistyki, ale zaangażowania i ofiarności.

Młoda skrzypaczka Jette Wolschlaeger powiedziała: „Orkiestra to dla mnie radość muzykowania możliwość przekazania tej radości innym”.

Młodzi ludzie znajdują radość w muzykowaniu, przekraczają w ten sposób granice mentalności mówią wspólnie „trzecim” uniwersalnym językiem: językiem muzyki.

Istotny wkład Orkiestry w dobre sąsiedztwo Polaków i Niemców jest nie do podważenia.

Poniżej kilka ważnych faktów i wydarzeń z życia Orkiestry:

- 1980** koncert podczas konferencji UNESCO w Warszawie
- 1990** w Kleve i w **1993** w Neuss koncert podczas uroczystości wręczenia nagrody „Hansa Böcklera”
- 1991** koncert z okazji 100-lecia IG Metall we Frankfurcie nad Menem
- 1992** koncert dla Prezydentów Lecha Wałęsy i Richarda Weizsäckera we Frankfurcie/O
- 1992** koncert na Kanzlerfest w Bonn
- 1995** koncert z okazji 50-lecia Czerwonego Krzyża w Polsce i w Niemczech w obecności Przewodniczącej Bundestagu prof. Ritty Süßmuth we Frankfurcie/O
- 1995** udział w IV Europejskim Młodzieżowym Festiwalu Muzyki na Węgrzech
- 1996** koncert w Domu Historii Niemiec w Bonn
- 1998** koncert z okazji 50. rocznicy podpisania Karty Praw Człowieka w Zielonej Górze
- 1999** i **2005** udział w Konkursach Orkiestr w Cottbus,
- 2002** udział w VII Europejskim Festiwalu Młodych Muzyków w Lozannie
- 2006** udział w koncercie z okazji Powitania Nowego Roku w Filharmonii Berlińskiej
- 2009, 2010, 2011, 2012** koncerty inaugurujące Dni Niemieckie na Uniwersytecie Zielonogórskim
- 2012** dwa koncerty w zamku Bellevue w Berlinie podczas „Burgfest des Bundespräsidenten” na zaproszenie Prezydenta Niemiec Joachima Gaucka
- 2014** i **2015** koncerty w Berlinie z okazji światowego Dnia Wypędzeń na zaproszenie Prezydenta Joachima Gaucka

nischen Dirigenten und... den guten Geistern: den Familienangehörigen und den Sponsoren zu verdanken.

Die Probelager, Konzerte verlangen nicht nur Transportmittel und Logistik, aber auch viel Zuwendung und Opferbereitschaft.

Jette Wollschläger, eine junge Violinistin sagte: „Das Orchester bedeutet für mich, mit meinen Freunden Spaß am Musizieren zu haben und andere damit begeistern zu können”.

Die jungen Musiker finden also Freude am Musizieren, sie überwinden „spielend” die Grenzen der Mentalität um gemeinsam die „dritte” universelle Sprache, Sprache der Musik zu sprechen.

Das Orchester leistet seit Jahren einen wertvollen Beitrag zu der guten Nachbarschaft zwischen Deutschen und Polen.

Hiermit einige Höhepunkte der Orchestergeschichte:

- 1980** Koncert bei der UNESCO- Tagung in Warszawa
- 1990** in Kleve und 1993 Neuss Festveranstaltung zur Verleihung des „Hans-Böckler-Preis”
- 1991** in Frankfurt am Main Festkonzert anlässlich „100 Jahre IG Metall”
- 1992** Koncert für Präsidenten Richard von Weizsäcker und Lech Wałęsa in Frankfurt/O
- 1992** Koncert zum Kanzlerfest in Bonn
- 1995** Koncert zum 50. Jahrestag des Roten Kreuzes in Polen und in Deutschland Frankfurt/O in Anwesenheit der Bundestagsvorsitzenden Prof. Rita Süßmuth
- 1995** Teilnahme am IV. Europäischen Jugendmusikfestival in Ungarn
- 1996** Koncert im Haus der deutschen Geschichte in Bonn
- 1998** in Zielona Góra Koncert zum 50. Jahrestag der Unterzeichnung der UN Charta für Menschenrechte
- 1999** und **2005** Teilnahme am Orchesterwettbewerb in Cottbus
- 2002** Teilnahme am 7-th European Youth Musik Festival in Lousanne
- 2006** Teilnahme am Neujahreskonzert in der Berliner Philharmonie

2015 Koncert jubileuszowy z okazji 20-lecia Sali Koncertowej „Carl Philips Emanuel Bach” we Frankfurcie/O

Orkiestra zagrała 20 koncertów razem z Niemiecką Orkiestrą Policji z Berlina, corocznie koncertuje w kościele zamkowym Schöneiche (Berlin) na zaproszenie tamtejszej wspólnoty ewangelickiej.

Koncerty z udziałem Polsko-Niemieckiej Orkiestry Młodzieżowej były emitowane przez: SAT 1, RTL, WDR, NRD, TV Berlin, TVP Poznań oraz „Deutsche Welle” z Kolonii, NDR z Hamburga, Antene Brandenburg i Radio Zachód z Zielonej Góry.

Orkiestra pracuje obecnie pod kierunkiem trzech dyrygentów: Hannesa Metze z Berlina, prof. Macieja Ogarka oraz prof. Bartłomieja Stankowiaka z Uniwersytetu Zielonogórskiego.

2009–2012 Koncerty zur Eröffnung der Deutschtage an der Universität Zielonogórski

2012 zwei Konzerte im Schloss Bellevue in Berlin zum „Burgfest des Bundespräsidenten” auf Einladung des Bundespräsidenten Joachim Gauck

2014 und **2015** Konzerte am Weltflüchtlingstag in Berlin in Anwesenheit des Bundespräsidenten Joachim Gauck

2015 Jubiläumskonzert der Konzerthalle „Carl Philip Emanuel Bach” in Frankfurt/O

Jährlich werden Konzerte in der ehemaligen Schlosskirche Schöneiche/Berlin auf Einladung der örtlichen Evangelischen Kirchengemeinde gespielt. Inzwischen hat das Orchester auch 20 gemeinsame Frühlingskonzerte mit dem Bundespolizei-Orchester Berlin gespielt.

Die Konzerte des Deutsch-Polnischen Jugendorchesters waren zu sehen bei: SAT 1, RTL, WDR, NRD, TV Berlin, TVP Poznań, und zu hören: in Sendungen der „Deutschen Welle” aus Köln, NDR aus Hamburg, Radio „Antene Brandenburg” und Radio Zachód aus Zielona Góra.

Das Orchester arbeitet zur Zeit unter der Leitung der drei Dirigenten: Herrn Hannes Metze (Berlin) und Prof. Maciej Ogarek und Prof. Bartłomiej Stankowiak (Universität in Zielona Góra).

Übersetzung von
Barbara Krzeszewska-Zmyślony



Jak dobrze mieć sąsiada

W dniach 11-29 października 2013 roku na Uniwersytecie Zielonogórskim miały miejsce I Dni Polsko-Niemieckie, które odbyły się pod hasłem „Jak dobrze mieć sąsiada”. To niewątpliwie ważne wydarzenie było kontynuacją wcześniejszych dzieśięciu edycji Dni Niemieckich na UZ. Od początku ich organizatorką jest Barbara Krzeszewska-Zmyślony, z Centrum Kultury i Języka Niemieckiego UZ. „Jak dobrze mieć sąsiada”, I Dni Polsko-Niemieckie, to jednocześnie tytuł projektu współfinansowanego ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Programu Operacyjnego Współpracy Transgranicznej Polska (Województwo Lubuskie) – Brandenburgia 2007-2013. Fundusz Małych Projektów i Projekty Sieciowe Euroregionu „Sprewa-Nysa-Bóbr” oraz budżetu państwa.



Wie schön ist es, einen Nachbarn zu haben

An der Universität Zielonogórski zu Zielona Góra fanden vom 11. bis 29. Oktober 2013 die I. Deutsch-Polnischen Tage unter dem Motto: „Es ist schön, einen Nachbarn zu haben” statt.

Die Tage wurden so wie die letzten zehn Veranstaltungen der „Deustchtage” (2003-2012) von Barbara Krzeszewska-Zmyślony vom Zentrum für deutsche Sprache und Kultur der Universität Zielonogórski organisiert.

„Es ist schön, einen Nachbarn zu haben”, ist zugleich der Titel des Projektes: Die ersten Deutsch-Polnischen Tage, wurden aus Mitteln des Europäischen Fonds für regionale Entwicklung im Rahmen des Operationellen Programms der grenzübergreifenden Zusammenarbeit Polen Wojewodschaft Lubuskie – Brandenburg 2007-2013. Small Project



Znaczną rangę temu projektowi nadał wykład o stosunkach polsko-niemieckich, wygłoszony 15 października 2013 przez Ambasadora RP w Niemczech dr. Jerzego Margańskiego w auli rektoratu UZ. Salę wypełnili studenci oraz starsze pokolenie, którym tematyka wystąpienia leżała głęboko na sercu. Ambasadrowi towarzyszyli: JM Rektor prof. Tadeusz Kuczyński, Prezes Konwentu Stowarzyszenia Gmin RP Euroregion Sprewa-Nysa-Bóbr Czesław Fiedorowicz oraz wiceprezydent Zielonej Góry Dariusz Lesicki. Bezpośrednio po wykładzie ambasador uczestniczył w wernisażu plakatów promujących I Dni Polsko-Niemieckie, których autorami są studenci Instytutu Sztuk Wizualnych na Wydziale Artystycznym UZ. Ich prace stanęły do konkursu, a autorką najlepszego została Aldona Piotrowska, studentka II roku grafiki.

W bogatym programie obchodów znalazła się oferta dla osób w różnym wieku – poczynając od przedszkolaków, a na seniorach kończąc. To założenie było bardzo przemyślane, ponieważ dobre relacje z sąsiadami warto budować od małego i podtrzymywać przez całe życie. Nieważne, czy mieszkamy z nimi drzwiami w drzwi, nasze posesje „dzieli płot”, czy graniczna rzeka. Istotne natomiast jest to, by wzajemne kontakty były ciepłe, serdeczne i stałe.

Zdaniem B. Krzeszewskiej-Zmyślony:

Języka obcego warto uczyć od najmłodszych lat, gdyż dziecko ma doskonale rozwiniętą pamięć, a ciekawość świata pozwala na szybkie przyswajanie słówek. Co może być dla malucha bardziej interesującego niż pięknie opowiedziana bajka? Nic! A jeśli

Fund und Netzwerk – Projektfonds der Euroregion Spree-Neiße-Bober und aus dem Staatshaushalt zusammen finanziert.

Das Projekt „Die I. Deutsch-Polnischen Tage“ hat dank der Anwesenheit des Botschafters der Republik Polen in Deutschland, Herrn Dr. Jerzy Margański, an Bedeutung gewonnen.

Die Aula des Rektorats, wo der Botschafter Dr. J. Margański am 15. Oktober zu dem Thema der deutsch-polnischen Beziehungen sprach, war von Studenten und Stadteinwohnern voll besetzt.

Unter den Zuhörern waren auch anwesend: Rektor der Universität Prof. Tadeusz Kuczyński, Präses der Euroregion Spree – Neiße – Bober Czesław Fiedorowicz, Vicepräsident von Zielona Góra Dariusz Lesicki. Nach dem Vortrag nahmen die Gäste an der Vernissage des Plakats, das für die I. Deutsch – Polnischen Tage werben sollte, teil. An den Projekten zu dem Plakatwettbewerb arbeiteten die Studenten des Instituts für Visuelle Künste der Kunstfakultät der Universität Zielonogórski. Der erste Platz wurde Aldona Piotrowska, der Studentin des zweiten Graphik-Studiengangs, zuerkannt.

Das reiche Programm der I. Deutsch-Polnischen Tage bot allen Stadteinwohnern unabhängig vom Alter etwas Interessantes an. Gute Beziehungen zwischen den Nachbarn soll man von „Klein“ an pflegen und das ganze Leben lang behalten.

Leben wir mit unseren Nachbarn „Tür an Tür“, oder sehen wir uns „über den Zaun“, oder „über den Grenzfluss“, unsere Kontakte sollen warm und herzlich und rege sein.



ta bajka jest ilustrowana wycinankami przedstawiającymi na przykład Kopciuszka, to pięciolatkowi nie przeszkadza fakt, że historię o dobrej dziewczynce i złej macosze usłyszy równolegle w dwóch wersjach językowych po polski i po niemiecku.

Czemu akurat wycinanki? Ponieważ Centrum Kultury i Języka Niemieckiego UZ wzbogaciło się o 40 wycinanek przedstawiających najpopularniejsze postacie z bajek braci Grimm i Andersena. Podarowała je ich wykonawczynie Erika Schirmer, urodzona w 1926 roku w Nietkowie (gmina Czerwieńsk), kiedyś Nettkow. Pani Schirmer jest obecnie mieszkanką Nordhausen w górach Hartzu. W 2012 roku, podczas X Dni Niemieckich na UZ miała wystawę swoich wycinanek, którymi zajmuje się od kilkadziesiąt lat. Ujęta niezwykle przychylnym ich przyjęciem podarowała je CKiJN UZ. Dlatego podczas I Dni Polsko-Niemieckich wycinanki prezentujące najpopularniejsze bajki stały się leitmotivem wielu spotkań. Było to tym cenniejsze, że grudzień 2012 – grudzień 2013 został przez Unię Europejską ogłoszony rokiem braci Grimm. Opowiadane po niemiecku bajki ilustrowane wycinankami zrobiły furorę, zarówno w trzech zielonogórskich przedszkolach, jak i trzech szkołach podstawowych. Nie inaczej było w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. C. Norwida, gdzie oprócz wernisażu *Wycinanek Pani Eriki* odbyły się warsztaty z wycinanką.

Sztuka posługuje się uniwersalnym językiem i jest doskonałą płaszczyzną do nawiązywania kontaktów. Stąd pomysł, by studenci animacji kultury

Mit dem Unterricht der Nachbarsprache soll man möglichst früh beginnen, meint Barbara Krzeszewska-Zmyślony, da das Kind über ein erstaunlich gutes Gedächtnis und Neugier auf die Welt verfügt. Die neu klingenden Wörter werden bei kleinen Kindern zu einem geheimnisvollen Erlebnis.

Und was kann für ein kleines 5-jähriges Kind interessanter sein, als ein schön erzähltes Märchen (auf deutsch und auf polnisch, parallel – ja!), sagen wir von Aschenputtel?

Nichts!

Die Geschichte von dem lieben Mädchen und der bösen Stiefmutter wird noch mit Scherenschnitten zusätzlich illustriert. Warum ausgerechnet die Scherenschnitte?

Die Scherenschnitte schafft seit Jahren Frau Erika Schirmer aus Nordhausen, eine in Nettkow 1926 / heute Nietków / in der Gemeinde Czerwieńsk geborene Künstlerin.

Da sich ihre Ausstellung mit den Scherenschnitten zu den berühmtesten Märchen von Gebrüder Grimm und Hans Christian Andersen während der X. Deutschtage Zielona Góra 2013 großer Beliebtheit erfreute, schenkte Frau Schirmer ihre 40 Arbeiten dem „Zentrum für deutsche Sprache und Kultur der Universität Zielonogórski“.

Es soll auch nicht vergessen werden, dass das Jahr 2012/2013 durch die EU u. a. als Jahr der Gebrüder Grimm gefeiert wurde. „Die Scherenschnitte von Frau Erika“ so hieß die Ausstellung und die Werkstatt in der Öffentlichen Wojewodschafts- und Stadtbibliothek namens C. Norwid in Zielona Góra während





z Wydziału Pedagogiki, Socjologii i Nauk o Zdrowiu UZ wspólnie ze swymi niemieckimi kolegami studiującymi kierunek: praca socjalna w Brandenburgische Technische Universität Cottbus Senftenberg (BTU CS) uczestniczyli w seminarium „Dialog poprzez sztukę”. W ramach seminarium wysłuchali wykładów o polskiej i niemieckiej sztuce współczesnej, obejrzeli w Lubuskim Teatrze spektakl *Siostrunie*, po którym rozwinęła się dyskusja o roli teatru w społeczeństwie. Wreszcie wzięli razem udział w spotkaniu w „Domu Harcerza” i w zajęciach z animacji kultury, m.in. w warsztatach tanecznych. To były dwa bardzo pracowite, ale i efektywne dni. Skąd taki wniosek? Ponieważ na zakończenie wizyty niemieckich studentów, opiekująca się nimi prof. dr Kirstin Bromberg z BTUCS złożyła deklarację, że II Dni (tym razem Niemiecko-Polskie) zostaną przygotowane po

der I. Deutsch – Polnischen Tage. In drei Vorschulen und drei Grundschulen in Zielona Góra, wo deutsch unterrichtet wird, fanden sehr erfolgreiche Begegnungen mit der deutschen Kunst und Sprache statt.

Die Sprache der Kunst ist universell und kann zu einem guten Ausgangspunkt der gemeinsamen Kontakte führen. Daher auch die Seminaridee: die Studenten der Kulturanimation der Fakultät für Pädagogik, Soziologie und Gesundheitswissenschaften der Universität Zielonogórski haben gemeinsam mit ihren deutschen Kollegen von der Brandenburgischen Technischen Universität Cottbus- Senftenberg (BTU CS) Fachrichtung Sozialarbeit an einem Seminar „Dialog durch die Kunst” teilgenommen. Im Rahmen des Seminars hörten sie sich einen Vortrag über die moderne deutsche und polnische Kunst an, sahen das Theaterstück „Schwesterchen” und nahmen an der Diskussion über die Rolle des Theaters in der Gesellschaft teil. Sie besuchten das Jugendkulturhaus „Dom Harcerza”, nahmen an dem Kulturanimationsworkshop und an der Tanzwerkstatt teil. Es waren zwei erlebnisreiche, aber auch tüchtige Tage. Woher die Schlussfolgerung?

Anschließend an den Besuche bemerkte Frau Prof. Dr. Kirstin Bromberg von BTU CS, dass im 2014 die I. Polnisch-Deutschen Tage auf der deutschen Grenzseite organisiert werden sollen.

Konnte man noch mehr erwarten?

Am 18. Oktober wurden die Gesangsliebhaber in das Museum Ziemi Lubuskiej eingeladen.

Da fand das Richard Wagner Konzert von Bogumiła Tarasiewicz – Ciesielska (Gesang) und Karl



drugiej stronie Nysy. Czy można było spodziewać się większego komplementu?

W ramach I Dni melomani zostali zaproszeni do Muzeum Ziemi Lubuskiej na koncert pieśni Richarda Wagnera w wykonaniu Bogumiły Tarasiewicz-Ciesielskiej (mezzosopran), której na fortepianie towarzyszył Karol Schmidt. Wykład „Jak to z Wagnerem było” wygłosił prof. Andrzej Tuchowski.

Podczas I Dni Polsko-Niemieckich miłośnicy kina również mieli swoje pięć minut. Przygotowano dla nich dwa filmy: *Paczki solidarności* oraz zielonogórską, przedwojenną polsko-niemiecką *Love story*.

W tym bogatym i różnorodnym programie każdy mógł znaleźć coś interesującego. Nie chodzi bowiem o to, by organizować wielkie gale, konferencje i akademie ku czci, lecz by codziennym działaniem budować dobre sąsiedzkie relacje. Granica ma nas łączyć, nie dzielić. Jesteśmy obywatelami jednej Europy i razem mamy inwestować w przyszłość.

Schmidt (Klavier) statt. Ein Vortrag zum Thema: „Wie es mit dem Wagner war” hielt Andrzej Tuchowski.

„Pakete der Solidarität”, ein Dokumentarfilm und ein Kurzfilm über eine deutsch-polnische Liebesgeschichte aus der Vorkriegszeit „Love story”, hatten sich die Jugendlichen während der I. Deutsch-Polnischen Tage noch ansehen können. Aus dem reichen Programmangebot der I. Deutsch-Polnischen Tage konnte jeder sich etwas Interessantes aussuchen.

Gute Kontakte und freundliche Nachbarschaft sollen nicht durch große Galaabende, Konferenzen und Massenveranstaltungen „von oben” aufgebaut werden, sondern durch die alltägliche Zusammenarbeit „von unten”. Die Grenze soll uns verbinden und nicht trennen. Wir sind alle Bürger von Europa und sollen gemeinsam in unsere Zukunft investieren.

Übersetzung von
Barbara Krzeszewska-Zmyślony



Historia jednej muszli, czyli powstanie i upadek zielonogórskiej kuźni rocka

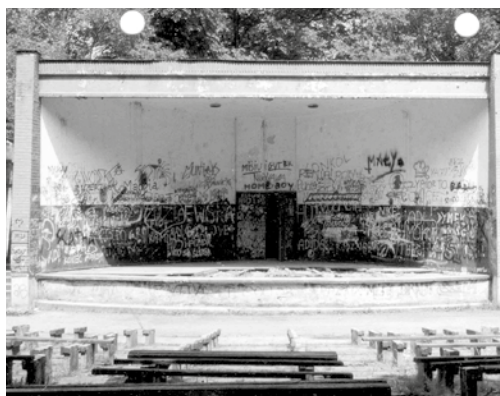
Muszla Koncertowa stała w Zielonej Górze kilkadziesiąt lat. Zlokalizowana w Parku Tysiąclecia, stanowiła jedno z miejsc, do którego mieszkańcy Winnego Grodu szli tłumnie, by oddać się relaksowi i rozrywce. Mimo wspomnianego długiego stażu, w pamięci wielu najbardziej zachowały się ostatnie lata jej istnienia. Wtedy to okupowały ją gromady osobników z irokezami lub długimi włosami, w glanach, czarnych ubraniach i... z instrumentami w dłoniach. To będzie historia o prawdziwej kuźni rockowej muzyki, opowiedziana ustami tych, którzy ją współtworzyli.

Kiedy władze Zielonej Góry zdecydowały o stworzeniu parku w miejscu dawnego cmentarza Zielonego Krzyża, Muszla Koncertowa była jednym z elementów składowych nowego obiektu. Park Tysiąclecia miał być bowiem z założenia miejscem łączącym w sobie sektor wypoczynkowo-spacero-owy, sportowy i rozrywkowy. Jak łatwo się domyślić,

nasza „bohaterka” miała wchodzić w skład ostatniego. Przez wiele lat odbywały się tam koncerty Orkiestry Zastalowskiej i innych artystów albo po prostu było to miejsce odpoczynku dla zielonogórzan. Po latach rozkwitu zainteresowanie Muszlą niestety mocno spadło i budynek zaczął zamieniać się w ruinę. Tak było do końcówki lat 90., kiedy to miejsce zostało przez miasto oddane osobie, która miała na nie kapitalny pomysł. Było nim przystosowanie budowli pod salę prób, w której młodzi muzycy (a tych, w tamtym okresie w Zielonej Górze w żadnym wypadku nie brakowało) mogliby swobodnie rozwijać swoje umiejętności. Osobą tą był Andrzej Żołądziejewski – były gitarzysta nieistniejącej już grupy Light & Dark. To człowiek doskonale znany w zielonogórskim rockowym światku z racji tego, że jako jeden z pierwszych dał mu tak duże możliwości swobodnego rozwoju.

Rockowa geneza

Żołądziejewski jeszcze zanim rozpoczął działalność w Muszli Koncertowej, prowadził salę prób w różnych miejscach w Zielonej Górze. Wtedy także dowiedział się, jak ciężkie jest to zadanie. W żadnej z wcześniejszych lokalizacji nie gościł specjalnie długo. Z reguły był to rok. Tyle czasu spędził, działając w ognisku muzycznym przy ulicy Krasickiego i w V Liceum Ogólnokształcącym, które wówczas mieściło się przy ulicy Chopina. Nieco dłużej, bo dwa lata, Żołądziejewski zagrzebał miejsce w Domu Kolarza przy ul. Bohaterów Westerplatte. Ogólnie cały pomysł na prowadzenie sal prób był bardzo prosty.



Andrzej Żołądziejewski: Sam chciałem trochę pograć ze swoim zespołem. A że miałem sprzęt, to pomyślałem, że inni może by też chcieli pograć, a nie stać ich. W tamtych czasach było tak, że wpadasz do sklepu muzycznego, a tam jedna gitara i jeden komplet strun. Ciężko sobie to teraz wyobrazić, ale tak było.

Pomysł okazał się być bardzo dobry, bo chętnych do grania w salkach prowadzonych przez Andrzeja nie brakowało. Mało tego – z reguły szli za nim w miejsca, w które przenosił swoją działalność. Podobnie było z Muszlą Koncertową, którą, z tego co pamięta nasz rozmówca, udało mu się przejąć w 1998 roku.

Andrzej Żołądziejewski: W tamtym czasie dostałem też ultimatum z Domu Kolejarza. Było tam wtedy jakieś biuro i gdy ktoś zostawał w nim po 15.00, to od razu wpadał do nas z gębą, że hałasujemy i nie można pracować. Jako że oni dysponowali większą kasą niż my, szefowa obiektu kazała nam się wyprowadzić. Zmartwiłem się tym trochę, ale niedługo potem wpadli do mnie kołesie z jednej z kapel i powiedzieli, że przechodzili obok Muszli Koncertowej w parku. Zauważyli wtedy, że na jej zapleczu jest jakieś pomieszczenie. Udałem się więc do Urzędu Miejskiego, bo to była ich własność, i spytałem o wynajem pod zajęcia muzyczne. Zgodzili się, ale pod warunkiem, że zrobię tam remont. Musisz jednak wiedzieć, że w momencie, gdy przejmowałem Muszlę, był to

obiekt zupełnie zdezelowany, z dziurami w dachu... Krótko mówiąc, totalna meta. W miejscu dla publiczności też już niczego nie było.

Początki były zatem bardzo ciężkie. Ostatecznie stanęło na tym, że Żołądziejewski miał jeszcze płacić 900 zł miesięcznie na rok, co i wówczas, i teraz nie jest wygórowaną kwotą. Co do remontu obiektu, okazało się, że jest szansa na jego bardzo sprawne wykonanie. Jak już zostało wspomniane wcześniej, część muzyków, których Andrzej gościł na swoich wcześniejszych salach prób, poszła za nim do nowego miejsca w Parku Tysiąclecia. I to oni bardzo mocno pomogli mu w odrestaurowaniu Muszli. Zespoły nie miały gdzie grać, więc muzycy rzucili się chętnie do pomocy. Zaszło coś na zasadzie pospolitego ruszenia. I to bardzo licznego.

Andrzej Żołądziejewski: Na Muszli było ok. 12 kapel. Licząc, że w każdej z nich było średnio po pięciu chłopca, to razem do pomocy miałem około 60 osób! Nawet jeśli mogła przyjść tylko połowa z nich, to i tak była już silna ekipa. A do zrobienia było sporo. Trzeba było wstawić nowe drzwi, wylać beton na scenę, powstawić nowe szyby, wyremontować kibel, pomalować... Strasznie dużo roboty.

Wspólnymi siłami udaje się jednak osiągnąć wiele. W zasadzie z niczego powstała sala prób, której standardy nie odbiegały dużo od innych pomieszczeń tego typu w Zielonej Górze. Potwierdzają to



również muzycy, którzy mieli okazję szlifować riffy w Muszli Koncertowej. Jednym z nich był Dawid „Gavlish” Kotlarek. Dziś gitarzysta i lider hardcorowej formacji Sophie Scholl, a w czasach Muszli łupiący w metalowym Epitafium.

Gavlish: Tak naprawdę standardem Muszla nie odbiegała jakoś specjalnie od miejsc, w których miałem okazję grać lub gram do dzisiaj. Przestrzeni nie było dużo, ale wszyscy się mieściliśmy. Często wraz z całą masą osób towarzyszących (śmiech). Była toaleta i dach nad głową... Resztą się jakoś nikt nie przejmował. Ważne, że mieliśmy gdzie grać i się spotykać.

Podobnego zdania jest Tomasz „Ślimak” Siniak, który w czasach Muszli liderował działającemu od 1996, a obecnie już od kilku lat nieistniejącemu, black metalowemu Goatlord.

Ślimak: Warunki nie były takie złe. Nie ma co narzekać, bo były i są salki prób w gorszych miejscach. Może nie było za dużo powierzchni do grania, ale w fajnym miejscu, parku z klimatem. Radziliśmy sobie zwyczajnie. Zespoły miały ustalone grafiki, sprzęt Andrzeja był na miejscu... Ci, którzy chcieli grać na swoim sprzęcie, z racji niewielkich możliwości przechowywania go, dowozili swój na próby. Zdecydowanie Muszla w rękach i za czasów Andrzeja była jedną z lepszych salek do niego należących, bo osobiście uważam, że poddasze Kolejarsza było tragiczne. Ale też tam graliśmy i niewielu marudziło.

Jedynym problemem mogły być niskie temperatury zimą. Tak przynajmniej wspomina to sam Żołądziejewski. Ale szybko potem dodaje, że po jakimś czasie udało się zainwestować w ogrzewanie. To jednak dość mocno zawyżało rachunki, ale grunt, że było ciepło.

Rockowe legiony

Skoro padła tu liczba zespołów, warto wymienić kilka z nich. Sam Andrzej przyznaje się, że po tylu latach ciężko mu przypomnieć sobie chociaż parę nazw

grup, które u niego grały, nie mówiąc już o wszystkich. Lepszą pamięcią wykazali się jednak muzycy, których udało mi się na okoliczność tego tekstu przepytac. Padły tu już nazwy metalowych Epitafium i Goatlord. Inne grupy z metalowego worka to: Panteon, Darke-spirium czy Inkarnatus. Nie ma co ukrywać, że frakcja preferująca najcięższe odmiany rockowego grania była dominującą na Muszli Koncertowej. Przez jakiś czas próby grała tam również żywa legenda zielonogórskiej sceny, zespół Supreme Lord. Inne stylistyki rockowych brzmień także miały w tamtym miejscu swoich reprezentantów. Moim rozmówcom udało się jeszcze przypomnieć sobie takie nazwy, jak hardrockowe Afterlong i Werner czy punkowe Dywersja i Jugosławia. Koloryt osobowości i gustów był zatem od zawsze dość spory, ale to wychodziło temu miejscu tylko na korzyść. Tak wspomina tamte czasy Mirosław „Mirus” Rosiński, obecnie bębniący w Warfist i obsługujący klawisze w Mystherium, wówczas perkusista Goatlord.

Mirus: Muszla miała swój klimat, to było miejsce spotkań. Przed Muszlą były ławki, na których spotykali się ludzie słuchający muzyki. Czasami po próbie wychodziliśmy z sali, a przed Muszlą było z 15-20 osób. Prawie jak mały koncert i nie było dla nich wtedy ważne, czy pada deszcz, śnieg, czy jest zimno...

W opinii na temat klimatu panującego w Muszli wtóruje swojemu dawnemu koledze z zespołu Ślimak.

Ślimak: Atmosfera w Muszli za czasów prowadzenia salki przez Andrzeja była bardzo dobra. Zespoły, które miały tam próby, raczej żyły ze sobą w zgodzie, utrzymywały dobre kontakty, pomagały sobie, pożyczając sprzęt... W większości do dziś grono osób pojawiających się wówczas i grających na Muszli trzyma się razem, spotyka w życiu prywatnym.

Zdaniem wielu grających tam muzyków, dobra atmosfera na Muszli była przede wszystkim zasługą prowadzącego ją Andrzeja Żołądziejewskiego. Zawsze mówią o nim bardzo pozytywnie i zauważają,

że chyba nikt, mimo dużej niekiedy różnicy wieku, nie zwracał się do niego per „pan”. Sam zainteresowany również z dużą sympatią wspomina tamtych ludzi i tamto miejsce. Były nawet momenty, kiedy kapele prosiły go, by nieco z nimi „pojammował”. Zapytany o jakieś zabawne sytuacje z jego relacji z muzykami, po chwili przeglądania zasobów swojej pamięci odpowiedział, że było takich całe mnóstwo. Niestety mało z nich jest sobie w stanie sobie przypomnieć. Zdarza się, że ktoś wyśle mu czasem jakieś stare zdjęcia i wtedy coś zaczyna świtać. Żołądziejewski zauważa też, że gdyby Muszla działała w takich czasach jak dzisiejsze, wtedy tych pamiątek byłoby więcej. W końcu niemal każdy ma teraz opcję nagrywania na swoim telefonie komórkowym. Tak czy inaczej potwierdza, że między nim a zespołami układało się bardzo dobrze.

Andrzej Żołądziejewski: Kiedyś chyba nawet tańczyłem na czyjejś próbie. Nie to, że byłem nachlany czy coś (śmiech)! Po prostu podobała mi się muzyka, którą wtedy grał zespół. Oni z kolei skwitowali to słowami „Łe, jak ciociowi się podoba, to chyba nie jest tak źle” (śmiech). Zdarzało się też tak, że gdy ktoś nie przychodził na próbę zespołu, to grałem w jego miejsce. Ale musiały to być słabsze zespoły, bo ciężko by mi było nadążyć za jakimś rzeźnickim kawałkiem.

Oddajmy jeszcze na chwilę głos Ślimakowi, któremu udało się przypomnieć pewną anegdotę wskazującą na duże poczucie humoru Żołądziejewskiego.



Ślimak: Miło wspominać czas Muszli w rękach Andrzeja. Jako anegdotę teraz, a wówczas fakt, można opowiadać to, co zauważył sam Andrzej. Z jego obserwacji wynikało, że bardzo często przed, w trakcie, lub po naszej próbie padał deszcz. Zaczął więc żartować, mówiąc, że jak patrzy na grafik zespołów, to wie, jaka będzie pogoda, bo gdy gramy my, to pada.

Gabriel Myśliński, który w czasach funkcjonowania salki na Muszli Koncertowej grał na perkusji w grupie Afterlong, również z bardzo dużą sympatią wspomina gospodarza tego przybytku. Jak wynika z jego poniższej wypowiedzi, Żołądziejewski był nawet dla niektórych... obiektem kultu.

Gabriel Myśliński: Jeżeli chodzi o Andrzeja, to gość jest nie z tej ziemi! Zawsze przyjazny i pomocny, nie wtrącał się w to, co grasz, ale zawsze potrafił doradzić. A co ty z tym zrobisz, to twoja sprawa. Ludzie tacy jak Andrzej powinni być czczeni i wielbieni, bo on starał się coś zrobić, czymś zająć młodzież i ją zainteresować. Był źródłem pasji dla wielu, między innymi dla mnie. Bezinteresowny to przesada, bo była to jego praca i z tego żył. Ale nie jest to typ kolesia, który zedrze z ciebie, żeby zarobić. Muzyka była jego pasją i starał się nią zarazić, pomóc tę pasję rozwijać.

Rockowa kuźnia talentów

Wspominane wyżej historie są żywymi dowodami na to, że Muszla była miejscem z fantastycznym



klimatem i bardzo inspirującym dla przebywających tam osób. Zainspirowała nawet samego gospodarza tego obiektu do rozpoczęcia nowego rozdziału swojej muzycznej działalności. Dziś Żołądziejewski jest znany głównie z tego, że nauczył gry na instrumentach wielu zielonogórskich rockmanów. Pomimo działalności w trzech innych placówkach przed Muszlą Koncertową, to dopiero w tym miejscu rozpoczął przekazywanie swojej wiedzy na temat gry innym. Ktoś mógłby rzec, że to kolejne świadectwo niesamowitej aury tego obiektu. Powody tej decyzji były jednak o wiele bardziej prozaiczne. Trzeba było skądś brać pieniądze na opłaty, których było niemało. Począwszy od prądu, poprzez gaz, na sprzęcie muzycznym kończąc.

Andrzej Żołądziejewski: Szczególnie szybko szły blachy, ale głośniki ze starych Eltronów również nie ciągnęły zbyt długo. Pomyślałem sobie więc, że aby to wszystko nie popadło zbyt szybko w ruinę, trzeba zacząć jakoś zarabiać. Postanowiłem zatem uczyć innych gry na instrumencie.

Od tego momentu każdy, kto chciał nauczyć się gry na gitarze, basie czy perkusji, miał już gdzie to uczynić. Co prawda sam Andrzej podkreśla, że jego głównym instrumentem zawsze była gitara elektryczna i to tajników gry na niej potrafił przekazać najwięcej. Adepti basów czy bębnow mogli jednak podtapiać od niego trochę podstaw. Żołądziejewski wspomina też, że za czasów uczenia gry wypracował własny system rozpisywania

utworów na tabulatury. Wyglądały one nieco inaczej niż tradycyjne zapisy tego typu, ale ich sedno, czyli oznaczenia poszczególnych progów na strunach i określenie tempa kawałka, zostały zachowane. Ta rzecz spełniała w zupełności swoje zadanie, choć jej twórca sam przyznaje, że proces produkowania takich tabulatyr, był bardzo żmudny. Wspomina, że niekiedy poświęcał na rozpisanie jednej połowy czasu przeznaczonego na zajęcia. Zapytany o efekty swojego nauczania, odpowiada skromnie, że wiele przychodzących do niego osób posiadała już jakieś umiejętności. Ma jednak na koncie ucznia, który studiował po lekcjach u niego na wydziale jazzu Akademii Muzycznej w Katowicach.

Andrzej Żołądziejewski: Koleś jest gitarzystą. Zanim zaczął studia w Katowicach, poszedł do szkoły im. Krzysztofa Komedy we Wrocławiu. Przyjechał do mnie któregoś razu i mówi, że komisja zbaraniała, gdy usłyszała, co miał do zagrania. Stwierdziłem, że to bardzo dobrze, bo nie zmarnowaliśmy czasu. Ale zawsze wychodziłem też z założenia, że takie osiągnięcia to zasługa tych ludzi, a nie moja. Ja tylko dawałem im pewne wskazówki, a to oni przesiadywali masę czasu z gitarą w rękach.

Trochę doświadczenia w nauczaniu innych Andrzej zebrał podczas swojego zagranicznego wyjazdu na międzynarodowe warsztaty muzyczne. Co ciekawe, został tam zaproszony jako jedyny przedstawiciel z Polski. Okazało się, że był on jedną



z pierwszych prywatnych osób w naszym kraju, które miały zarejestrowaną działalność tego typu. To było dla niego bardzo dobre doświadczenie, ale nie ukrywa, że przeżył spory szok, zestawiając opowieści gości z krajów skandynawskich czy Wielkiej Brytanii z jego własną „muszlową” rzeczywistością.

Rockowe misteria

Muszla Koncertowa to oprócz szlifowania materiału na sali prób i nauki gry na instrumentach miejsce tętniące dobrą zabawą i imprezami. Co ciekawe, niemal żadna z przepytywanych przeze mnie osób nie potrafiła sobie przypomnieć jakichś pikantniejszych szczegółów związanych z balangami w tamtym obiekcie lub jego okolicach. Niektórzy mówili coś o zorganizowaniu tam imprezy sylwestrowej, ale na tym wspomnienia się urywają. Nie zatarła się jednak pamięć o koncertach odbywających się na „muszlowej” scenie. W sumie było ich trzy. Występowały na nich oczywiście zespoły grające próby w Muszli. Każdy, kto miał wówczas z tym miejscem coś wspólnego, wspomina te wydarzenia jako klasyczny przykład filozofii „D.I.Y.”, czyli „Do It Yourself”. Aby nagłośnić odpowiednio występy, każdy przyniósł, co tylko mógł. Nie było też problemów z udostępnianiem sprzętów innym. Każdy z moich rozmówców uczestniczył w tych koncertach, zarówno jako widz, jak i muzyk. Jak prezentują się te wydarzenia, widziane ich oczami?

Ślimak: Tak, faktycznie były koncerty. Czy trzy, to nie jestem pewien... Na pewno dwa, bo w jednym brałem udział z zespołem, grając m.in. w towarzystwie Darkespirum, a w drugim jako widz. Wtedy grał m.in. Werner. Atmosfera była spoko, na obu imprezach było sporo ludzi. Nie pamiętam, żeby były jakieś burdy, rozróby itp. A był to jeszcze czas, gdy można było spożywać legalnie alkohol w miejscach publicznych. Z racji muzyki z dominacją rocka i metalu, imprezy te były raczej dla młodych i taka publika wówczas tam przebywała.

Mirus: Pierwszy raz uczestniczyłem w koncercie jako widz. Właśnie przyjechałem wtedy z Pomorza – pamiętam wielki deszcz, kiedy występował

zespół Panteon. Drugi raz graliśmy z Goatlord. Ludzie fajnie bawili się podczas naszego występu. A na trzecim koncercie niestety mnie nie było.

Gabriel Myśliński: Grałem na dwóch pierwszych koncertach. To była zajebista sprawa, bo gromadzili się tam ludzie, których się znało – przyjaciele i przyjaciele przyjaciół. Wszyscy pozytywnie nastawieni na muzykę. Pamiętam, że sprzęt był zbieraniną, ktoś zawsze przyniósł coś, co miał dobrego i nie bał się tego udostępnić. Wiem, że zawsze impreza była przednia. Ja osobiście tak nie za bardzo pamiętam końcówek. To był czas, kiedy królował szlachetny trunko o nazwie „Czarna Perła”.

Gavlish: Brałem udział w dwóch imprezach jako muzyk, wraz z Epitafium. Pamiętam je do dzisiaj. Panowała wspaniała atmosfera, a w każdym koncercie brała udział spora publika. Grało kilka zespołów reprezentujących różne gatunki muzyczne, od punka, przez rocka, po metal. Ale nikomu to nie przeszkadzało w dobrej zabawie.

I chyba szkoda, że tylko tak mało odbyło się koncertów na Muszli. Jak zauważają niektórzy z moich rozmówców, najlepszy w tych imprezach był brak podziałów, jakie da się ich zdaniem zaobserwować na współczesnej scenie muzycznej. Chodzi tu przede wszystkim o wspieranie różnych odmian muzyki rockowej, niezależnie od tego, której z nich słucha się samemu na co dzień. Nawet Andrzej Żołądziejewski, który choć pytany o wspomnienia z Muszlą często z trudem wraca do wielu z nich, koncerty pamięta najlepiej. Dla niego to również były jedne z jaśniejszych momentów prowadzenia tego obiektu, które pokazywały jedność przebywającej tam ekipy.

Andrzej Żołądziejewski: Ogólnie idea koncertów była taka, że jak ktoś ćwiczy materiał na salce, to chce go zaprezentować publice. A że w tamtych czasach wszędzie robiono kapelom jakieś problemy z graniem na żywo, stwierdziliśmy, dlaczego by nie zrobić czegoś takiego u nas na Muszli? Jak się robiło koncerty, to każdy bardzo

chętnie pomagał. Jeden porobił plakaty, drugi załatwił coś ze sprzętu, trzeci transport... Ja sam bym tego w życiu nie załatwił. Świetnie się współpracowało i dodatkowo redukowaliśmy sobie koszty, działając wspólnie. Dzięki temu była możliwość grania na żywo. Ludzi też przychodziło bardzo dużo. Raz tylko miałem lekkiego stracha. Na jeden koncert przyszło dużo punków i dość mocno dali w szyję. Zaczęli wchodzić na scenę, a ja sobie pomyślałem, że jak któryś wpadnie na kolumnę, która nie jest moja, i ją rozwali, to będą niezłe koszty. Ale na szczęście nic się nie stało. Poprosiłem chłopaków, żeby trochę „pokierowali” tym pogo i trzymali ludzi tylko pod sceną (śmiech).

Kiedy Andrzej wspominał o problemach kapel rockowych z graniem koncertów w Zielonej Górze, nasuwa się pewno pytanie. Czy nie było żadnych kłopotów ze strony sąsiadów, w związku z prowadzeniem tak „głośnego” miejsca jak Muszla? Jak wspomina jego gospodarz wraz z przepytywanymi muzykami, trochę narzekań się zdarzało. Nie były to jednak sytuacje mocno nieprzyjemne. Z perspektywy czasu można nawet powiedzieć, że niektóre były wręcz zabawne.

Andrzej Żołądziejewski: Przy okazji koncertów zdarzało się, że dzwonili ze szpitala, skarżąc się na hałasy i mówiąc, że im pacjenci podskakują na łózkach (śmiech). Trochę kłopotów było też ze strony mieszkańców bloku, który był położony

zaraz za barem stojącym przy Muszli. Raz przyszedł jakiś gość i zdenerwowany się pyta: „Co wy tu małpi gaj robicie?”. Na co odpowiedziałem mu ze spokojem: „Nie, heavy metal”. I właśnie tym spokojem go „zabiłem” (śmiech).

Jeśli chodzi o poważniejsze sprawy, jak np. interwencję policji, to były one zdecydowaną rzadkością. Jeśli się zdarzały, to po godzinie 22.00, gdy część muzyków zostawała po próbach na terenie wydzielonym dla publiczności i robili małe imprezy. Ale nawet jeśli przyjazdy stróżów prawa miały miejsce, kończyły się z reguły upomnieniem, gdyż podczas owych zabaw nie miały miejsca żadne burdy czy chuligańskie wybruki. Zapytany o poruszane zagadnienie Ślimak wskazuje jednak na jeszcze jeden problem, którym nie byli ani mieszkańcy sąsiedniego bloku, ani policja, ani też miłujący ciszę pacjenci Szpitala Wojewódzkiego.

Ślimak: Jakiegolwiek problemy występowały zazwyczaj z powodu przebywających w parku meneli oraz klientów baru położonego na tyłach Muszli. To oni w tym miejscu najwięcej się awanturowali, dewastowali i również zaczepiali grających na salce muzyków. Nie powiem, żeby wszyscy z grających tam próby byli bez skazy, jak to w każdym środowisku. Ale z tego, co osobiście pamiętam, najwięcej problemów w tym miejscu było z powodu klientów baru „Pod trupkami”, w którym to można było kupić fajki na sztuki, alkohol na kubki itp.



Rockowy zmierzch

Ogólnie jednak Muszla Koncertowa w Parku Tysiąclecia była raczej synonimem miejsca, w którym powstawała dobra muzyka, a nie siedliska patologii. Niestety, nawet pomimo dobrej opinii, nie udało jej się zagrać miejsca na zielonogórskiej mapie rockowej na długo. Pod koniec 1999 roku zapadła decyzja, że obiekt zostanie zburzony, a w jego miejsce wybuduje się skatepark, który znajduje się w Parku do dziś. Wiele osób, w tym oczywiście wszyscy związani w jakiś sposób z Muszlą, nie ukrywało zdziwienia tym stanem rzeczy. Niektórzy nawet do chwili obecnej snują teorie spiskowe na ten temat. Andrzej Żołądziejewski musiał się przenieść ze swoją działalnością w inne miejsce, którym były pomieszczenia Zielonogórskiego Ośrodka Kultury. Jak przyznaje dziś, było mu smutno z powodu kolejnej przeprowadzki, ale dostrzegał też jej jasne strony.

Andrzej Żołądziejewski: Ogólnie muszę powiedzieć, że urzędnicy umiejętnie mnie wtedy podeszli. Powiedzieli, że remont, który zrobiłem na początku, już nie wystarcza, bo spodziewali się nieco innego efektu. Tłumaczyłem im, że bardziej inwestuję w sprzęt, a nie wygląd budynku. Poza tym nie mam z czego zrobić następnego remontu, bo biorę tylko 8 zł za lekcję. Powiedzieli zatem, że przeniosą mnie w inne miejsce. Miał być nim amfiteatr, co było nawet dobrym pomysłem. Przede wszystkim było tam ciepło zimą, a po drugie, dostałem do dyspozycji dwa pomieszczenia dla zespołów.

Mimo że Muszla odeszła w niebyt, to Andrzej i zaprzyjaźnione z nim zespoły nie zostali bez dachu nad głową. Ale rezydowanie w murach ZOK-u również nie trwało długo. Ówczesnej szefowej Ośrodka po jakimś czasie zaczęło przeszkadzać zbyt częste przebywanie młodych rockmanów na jej terytorium. Głównym argumentem za ich wyrzuceniem miały być zarzuty, że... chłopcy ćpają i piją. Nie pomagały tłumaczenia Żołądziejewskiego, że jeśli istnieją takie przypadki, to jest to margines. Nie powinno to też przekreślać faktu, że ludzie przychodzący na salkę, skupiają się na graniu, szlifowaniu utworów, dysku-

towaniu o nich, czyli krótko mówiąc, poświęcają się swojej pasji. Po około sześciu miesiącach od przejścia z Muszli Koncertowej do ZOK-u Andrzej musiał szukać nowego miejsca do pomagania rockowemu narybkowi Zielonej Góry.

Rockowy epilog

Wiele wymyślonych riffów, zerwanych strun czy naciągów, pękniętych blach i przede wszystkim mnóstwo wspaniałych przeżyć – to wszystko działo się właśnie w Muszli Koncertowej w Parku Tysiąclecia. Miejscu, które dla wielu na zawsze pozostanie synonimem beztrudnego rockowego grania, a może nawet obiektem kultu. Każdy z moich rozmówców bez wyjątku wspomina je z olbrzymim sentymentem. Mówią o poczuciu wolności, oderwaniu się od szarżyny i klimacie nie do znalezienia nigdzie indziej.

Gavlish: Muszla dawała przestrzeń, poczucie wolności i niezależności. Była naszym miejscem, azylem i odskocznią od codziennego życia. Integrowała środowisko muzyczne. Muszla pozostała na zawsze w mojej pamięci. Były to najlepsze czasy mojej młodości.

Gabriel Myśliński: Muszlę darzę wielkim sentymentem. Wydarzyło się tam wiele mega momentów, które pamiętam po dziś dzień. Pamiętam próby jako przywilej, rarytas, czas tylko mój. Cztery godziny jazdy i przygody z muzą. Wyładowanie energii i całego ścierwa, jakie młody człowiek w sobie zbiera.



Mirus: Pamiętam, jak odbyło się pierwsze spotkanie po zamknięciu Muszli, kiedy urzędnicy stwierdzili, że powstanie tam skatepark. Nagle wiele osób z zielonogórskiej sceny muzycznej przyszło w to miejsce, ponieważ darzyli je wielkim sentymentem.

Ślimak: Muszla to kawałek mojego życia prywatnego, wielki sentyment do miejsca, czasu i ludzi... W Zielonej Górze powinno być takie miejsce. Niekoniecznie to, z racji bliskości do bloków mieszkalnych. Jednakże powinno w tym mieście znaleźć się miejsce, w którym ludzie chcący się wyładować, odstresować od problemów życia codziennego poprzez muzykę, mogliby sobie pograć próby, nawet i koncerty, wypić piwko na świeżym powietrzu bez groźby złamania przepisów i oberwania mandatu, pogadać ze znajomymi, poznać nowych.

Od czasu zburzenia naszej „bohaterki” mija w tym roku kilkanaście lat. Andrzej Żołądziejewski kontynuował przez ten czas swą działalność w różnych miejscach. Były to m.in. różne szkoły czy pomieszczenia w budynku biurowca przy ulicy

Kożuchowskiej. Aktualnie uczy gry na instrumentach w sali, której właścicielem jest Szkoła Podstawowa nr 18 w Zielonej Górze. Cały czas nie może narzekać na brak zainteresowania, ale jak sam przyznaje, teraz to wszystko odbywa się w innych zasadach. Twierdzi również, że brakuje drugiego takiego miejsca w Zielonej Górze, bo mimo że on wciąż funkcjonuje, to drugiego takiego obiektu jak Muszla nie było już potem w ogóle. Niech jego wypowiedź będzie najlepszym zakończeniem tego artykułu.

Andrzej Żołądziejewski: Ja teraz pracuję z młodzieżą i z dziećmi, ale z tymi, których na to stać. Ale jest część ludzi, których nie stać, a mają talent. Takie osoby są poszkodowane, a nasze miasto powinno stworzyć właśnie coś na wzór Muszli. Ja sam chodziłem do prezydenta w tej sprawie chyba z sześć razy i znowu coś we mnie kwitnie, żeby pójść do niego po raz kolejny i domagać się czegoś takiego. Inwestowanie np. tylko w ludowe chóry śpiewu jest bez sensu. Nie neguję tego, że ktoś może chcieć pośpiewać. Ale nie powinno się inwestować tylko w coś, co jest tanie. Uważam, że miasto powinno działać szerzej na polu kultury.



RECENZJE I OMÓWIENIA

Pochwała słowa. O poezji Janusza Koniusza

Janusz Koniusz, *Na własne podobieństwo*, Pro Libris, Zielona Góra 2014, 119 s.

To będą pewnie wiersze zanurzone w lubuskość – pomyślałam, sięgając po tomik *Na własne podobieństwo* Janusza Koniusza, autora od drugiej połowy lat 50. związanego z Ziemią Lubuską, przez pewien czas redaktora naczelnego czasopisma „Nadodrze”. Tymczasem oprócz niezasadzonych szczepów winorośli, o których pisze Koniusz w utworze *O sobie*, nic zielonogórskiego w tej twórczości nie znalazłam. Zebrane tu teksty układają się raczej w retrospektywne podsumowanie drogi życiowej i zgodzić się trzeba z autorką postowia, Joanną Wawryk, że jest to swoisty traktat o uniwersaliach, wysnuty na podstawie doświadczeń życiowych autora.

Z pewnością najnowsza książka poetycka Koniusza przynosi wiersze, po które chętnie sięgnie nie tylko mieszkaniowiec regionu. Niektóre ze skondensowanych traktatów filozoficznych, jakimi wydają się być te twory, można by bez obawy umieścić wśród tekstów najbardziej znanych poetów naszych czasów. Nie będę powielala opinii zawartych w recenzjach autorstwa Jerzego Beniamina Zimnego¹, Magdaleny Front² czy wspomnianej już Joanny Wawryk, które mówią o czerpaniu pełną garścią z topiki biblijnej i antycznej, o głębokim związku z sosnowiecką arkadią, zarówno domową, jak i „kopalnią”, na której cieniem położyła się śmierć ojca poety.

Mimo wielości odniesień do świata kultury, mimo bogactwa archetypów i symboli, każdy, kto pochyli się nad ponadczasowym przesłaniem zawartych w tych wierszach, zrozumie bez trudu, jakie tematy są dla poety najważniejsze. I trudno nie dostrzec, że treści omawianego tomiku determinuje rozdarcie światopoglądowe między postawą zakorzenionego w tradycji chrześcijańskiej polskiego poety a sposobem patrzenia na życie poszukiwacza prawdy, który dziedziczy ciekawość Einsteina.

Docenić należy także cyzelatorstwo formalne, o którym zresztą wiele już napisano. Tu zwrócę tylko uwagę na trawestowane idiomy i grę frazeologizmami, jak np. we fragmencie „Rubensa okradli do ostatniej kobiety czy na straty spisie puenty pojedynków / które stoczyła na białą broń słowa”. I choć za często pojawiają się u Koniusza w różnych zestawieniach te same słowa klucze (m.in.: epidemia, chaos, żebro, metafora) – niekiedy można wręcz odnieść wrażenie, że autor testuje wyrazy, jakby nie potrafił zdecydować, gdzie zabrzmią najlepiej – to jednak trudno odmówić tej poezji wysokich walorów artystyczno-formalnych.

Podczas lektury miałam jednak niepokojące odczucie, że czegoś w tym tomiku brakuje. Jest tu dzieciństwo, są rozważania o sensie życia, starość

1 <http://jerzybeniaminzimny.blogspot.com/2015/03/janusz-koniusz.html> [dostęp: 16.03.2015].

2 http://prolibris.net.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=159:o-drozdze-poetyckiej-janusza-koniusza&catid=37:zblizenia&Itemid=53 [dostęp: 16.03.2015].

i śmierć w różnych odsłonach, ale skoro ów zbiór ma być podsumowaniem pracy i drogi życiowej artysty, to gdzie jest... miłość, żona, córka? Bez tej tematyki obraz życia wydaje się niepełny. Autor w wywiadzie udzielonym Mirosławie Szott i Januszowi Łastowickiemu wyraźnie dystansuje się od poezji miłosnej, lekceważąc jej znaczenie. Może dlatego jego poezja jest taka poważna? Może dlatego skłania do refleksji, ale... nie porywa, nie oddziałuje na emocje? Jeden z wierszy, wysoko oceniony przez krytyków *Zamysł opisu*, porusza tematykę katastrofy w kopalni. Opisywana tragedia, choć silnie przemawia do czytelnika, nie wywołuje tego oddźwięku co narracje liryczne, w których autor bawi się słowami. Najciekawszy bowiem wydaje się romans Koniusza z poezją lingwi-

styczną. Najlepsze jego wiersze to utwory utrzymane w duchu poezji Tymoteusza Karpowicza, Mirona Białoszewskiego i Juliana Przybosa, w których spotkać można zaskakujące gry słowne, np. „Jeszcze zapłaci za energię elektryczną metafor gwiazdźście niebo filozofii”. Warte uwagi są także zestawienia słów, takie jak „ugór węgla” czy „grudka słowa”, to w nich najpełniej wyraża się kunszt poetycki autora. Być może gdyby w tomiku więcej było tego typu lingwistycznych zabiegów i gdyby jeszcze towarzyszył im temat miłosny, Koniusz byłby dziś jednym z chętniej czytanych – nie tylko na Ziemi Lubuskiej – poetów?

Elżbieta Gazdecka

Dokumentowanie biografii

Eugeniusz Kurzawa, *Obrazki prowincjonalne prozą, Wilkanowo – Zbąszyń 2014, 239 s.*

Można na własne życie (każde życie) spojrzeć poprzez pryzmat przygody i tak je próbować opisać. Przygodą są bowiem wszystkie etapy, dni i dokonania. Słuszności i błędy. Inności, np. apostazje. W przypadku autora, wywodzącego się ze Zbąszynia, na pewno można tak potraktować kilkanaście wydanych przez niego książek, zwłaszcza opublikowaną w styczniu 2014 roku, sporej objętości (240 stron), sponsorowaną przez Annę Zygułę (tylko chwalić taki gest), autobiograficzną pozycję *Obrazki prowincjonalne prozą*. Jej autorem jest Eugeniusz Kurzawa – poeta, prozaik, dziennikarz (obecnie „Gazety Lubuskiej”, a wcześniej kilku innych pism na wschodnich kresach i w Polsce). Zdążyła już mieć miejsce, w Karczmie Taberskiej w Janowcu, okazała promocja tego tytułu oraz rozeszło się 100 egzemplarzy „na pniu”. I specjalnie się nawet nie dziwię, że osiągając 60-tkę, poczuł Kurzawa przemożną potrzebę spojrzenia na swoją drogę życiową, działaczowską, dziennikarską, na swoje blaski i cienie (choć zdaje się, tych blasków pokazuje więcej niż cieni) i dać temu wyraz. To dobry mo-

ment. Myślę, że to spojrzenie w przeszłość, jej wspomnienie – wszystkich zdarzeń, osób i przypadków bierze się przede wszystkim z chęci ich ocalenia. Podsumowania też siebie (każde wyliczenie, nawet spis, ma taki charakter), oceny, choć niedefinitywnej oceny, gdyż życie ciągle trwa. Mimowolnie więc w centrum uwagi tej swoistej, spisanej, jakby zarazem mówionej na żywo prozy-gawędy, pisarz stawia swoje biograficzne „ja”. Patrzy na świat przez taki narzucający mu się pryzmat. Ważne jest to, że w tych etapach ukształtowała się jego autoświadomość. Po studiach w Zielonej Górze niemal natychmiast, w czerwcu 1980, wyjechał na północno-wschodnie kresy, do Suwałk. I tam na długo osiadł, by wykonać ważną dla tamtejszej społeczności swoistą „orkę na ugorze”. Powiedziałbym, że obecnie ten fakt chyba mocno determinuje (nawet zaciemnia) widzenie szans i perspektyw jego teraźniejszego tu i teraz „na zachodzie”, w Zielonej Górze, po powrocie w styczniu 1991. Na mitologizowanym dawnym (kresowym) tle obecne miejsce i mijające lata wypadają mało pozytywnie, blade (patrz: *Białostockie porównania*,

ale i *Córce do sztambucha*, zwłaszcza *Wywiad...*). Po przeczytaniu tej książki, która oczywiście nie jest pisarskim pamiętnikiem, wyraźnie się narzuca, że autor zмага się z ogromem doznanych fascynacji i doświadczeń, wielce różnorodnej proveniencji, rozległych geograficznie (od Zbąszynia przez Zieloną Górę – tu studiował, po Suwałki, Białystok, Wrocław i wreszcie obecnie Wilkanów), że na nic innego literacko się nie zdecydował, poza dokonaniem prozatorskiego dokumentu. Ważnego dla siebie i poszczególnych kilku osób – przyjaciół, tudzież ku anonimowej potomności. W poszczególnych rozdziałach, przedstawiających ową (przeżyłą) biografię, wykonuje coś w rodzaju właśnie pryncypialnego zapisu faktów. Chwali się faktami. Podkreśla swoją obecność. Jego zdania są rzeczowe, dokładne, wyczerpujące, anegdotyczne, bogate w szczegóły, w wielu miejscach docieklawe, nawet z aluzjami do erotycznych przeżyć-przygód z kobietami, a także obejmują kwestie osobistej apostazji, tudzież przedstawiają drobiazgi i niuansy życiowych zawodowych przejść. Postępuje poniekąd w zgodzie z nabytą mentalnością, charakterystyczną dla Wielkopolanina. I jak typowy dziennikarz. Trzymać się blisko ziemi, twardo po niej stąpać, nie bujać w obłokach. Chyba nawet na myśl Kurzawie nie przychodziła pokusa jakiejś nieracjonalnej konfabulacji, co w tym przypadku można zaliczyć na plus. Po prostu czytelniczo o wielu sprawach się dowiadujemy. Czasami od strony najmniej spodziewanej, prywatnej, intymnej, od zaplecza. Ale niekoniecznie tu ujawnione są jakieś fundamentalne, wielkie niedyskrecje. Nic spod podszewki lub zza kurtyny. A szkoda trochę, że nie ma takich rzeczy. Czy się dowiadujemy w pełni obiektywnie, pewnie nie, ale ta dominanta ma tu znaczące miejsce. Czyli realia. Oczywiście, pisaniu zawsze towarzyszy jakaś doza subiektywnego widzenia. Tutaj też. Tym bardziej że, jak sam autor zaznacza, lata spędzone w Suwałkach i Białymstoku, to są lata pracy w powołanych wtedy „Krajobrazach”, nacechowane swobodą, dające szansę niezłych zarobków, możliwość toczenia różnych bojów pionierskich w celu ożywienia kulturalnego tamtego regionu i miasta. Lata aktywności. Władzy na tym zależało. To, że wiele pionierskich dokonań

się udało – powoływanie związków i stowarzyszeń (zakłada Towarzystwo Ziemiańskie), instytucji, pism (np. „Goniec Kresowy”), ustanawianie nowych tradycji, upominanie się nawet o drobiazgi (jak choćby o antykwariat, którego w Suwałkach wtedy nie było), uczestniczenie w ważnych imprezach, z których czerpie korzyści duchowe („ładowanie akumulatorów”), to był właśnie efekt tego klimatu i potrzeb. Nie dziwię się, że bardzo wysoko doceniane są przez Kurzawę coroczne spotkania „Wigry. Kultura i środowisko”, o których pisze: „mogłem przez kilkanaście dni spotykać się z twórcami, naukowcami, poznałem najwybitniejszych plastyków i intelektualistów polskich”. Zwłaszcza Andrzeja Strumiłłę, z którym się zaprzyjaźnił. Jest z tego dumny, zadowolony, nadal do tych energetycznych źródeł się odwołuje. Uznaje, że zrobił wiele i uczestniczył w pozytywnych działaniach. Rósł intelektualnie dzięki poznawanym ludziom. Niewątpliwie. Toteż przy okazji swoją rolę wysoko notuje. Nieco egotycznie. Akcentując głównie swoje „ja”. To były lata pracy u podstaw, na niwie kultury, prowadzone w odmiennych warunkach społecznych, nacechowanych – jak zauważa – „ślamazarną i zaściankową” mentalnością, zaskorupiałą, i mają te wysiłki, cały ten żywioł biograficzny, zwłaszcza z perspektywy czasu, rys niewątpliwie romantyczno-pozytywistyczny. Samo wznoszenie czegokolwiek od podstaw jest zawsze bardzo wyjątkowe. I na dodatek, w konsekwencji, z perspektywy czasu jest silnie mitologizowane. Bo było się młodym, z prestiżem, świat stał otworem, uczestniczyło się w setkach spotkań, rozmawiało z ludźmi wybitnymi, z działaczami przywoływanymi skrupulatnie z imienia i nazwiska (tylko pozazdrościć Kurzawie tak solidnej pamięci), z uznanymi pisarzami (Sokrat Janowicz, Redliński, Kapuściński), i to minęło. Minęło definitywnie także ze względu na zerwanie ciągłości uczestnictwa w zdarzeniach i z tamtymi środowiskami. Z tamtą przez siebie kreowaną rzeczywistością, w którą jednak, o dziwo, nie zapuścił korzeni. I teraz jakby odmawia sobie sensu – też dziwne, bo konstatuje, że wszystko obejmuje rozpad (*Czas to rozpad*). Jakby nie chcąc przyjąć, że każdy rozpad stanowi warunek i wstęp do nowego tworzenia – podejmo-

wania kolejnej roli, nowych zadań, które można sobie wyznaczyć, bo przecież można. „Rozpacz” tak bym się nie spieszył ogłaszać. Autor nasycił momentami swoją prozę igraszką sentymentalną retoryką, snuje egzystencjalne żale i niedosyty (napomyka o wypaleniu), co już mniej mi się podoba. Tym bardziej, że skłania się też do snucia pewnych, nie wiem czy usprawiedliwionych głębiej, porównań z Zieloną Górą, wyraźnie niekorzystnie wypadających dla tejże, tu cytat: „Jednak, moim zdaniem, to nie ta półka. Brak charyzmy” itp. Wybitnych osobowości według niego tu brak. Tak najogólniej. Ta teza zaburza mu w tej książce ogląd naszej lokalnej rzeczywistości, która wyposażała go w cały bagaż umiejętności (studia, „Faktor”, studenckie obozy, akademickie życie). Dzięki temu rozwinął skrzydła, także dzięki temu miał dokąd wrócić po 1991 roku, bo od razu do „Gazety Nowej”. Kurzawa daje się nieść fali własnych wewnętrznych frustracji, nie wierzy ani zaudanemu, że jego udziałem jest prawdziwy awans społeczny i cywilizacyjny. Mimo że mógł alternatywnie zostać po prostu tokarzem lub kolejarzem, a został dziennikarzem, i – jak sam zauważa – „to nie był horyzont ludzi mieszkających nad Obrą”. Poza tym, myśląc o tej książce, sądzę, że ze szkodą dla niej wdaje się autor w snucie wątków natury politycznej i światopoglądowej. Ważna to sprawa. Jakże uproszczone, nieco anachroniczne to są uogólnienia, akapity i deklaracje. Bezsensowne. Wątpliwe. To nie wypada tu dobrze, zwłaszcza gdy gloryfikuje dokonania Jaruzelskiego. Bo to oznacza, że resentymenty biorą u niego górę. Więcej – ma miejsce niedocenienie i niezrozumienie sensu przemian demokratycznych w Polsce, sensu dialogu, zasady proporcji (nie jedynowładztwa) i zarazem wielkiego skoku cywilizacyjnego w przyszłość, którego jest beneficjentem. Przytacza w jednym z rozdziałów (*Notatki z podróży...*) swoją wycieczkę („w nagrodę”) do Korei Północnej. Bez solidarnościowych przemian tamte realia wcale nie byłyby nam takie obce. Warto o tym pomyśleć. Ale co ja tu będę autora przekonywał. Wie swoje, zresztą o różnych sprawach wie swoje (patrz: *Komunikaty 2*). Łatwość dezawuowania obecnego ustroju może budzić czytelnicze wątpliwości. Niepotrzebny to

w tej książce zgrzyt. Bo dla mnie ta książka to owoc zastosowanej w niej konsekwentnie metody dziennikarskiej relacji, która sprawdza się właśnie w dokumentowaniu własnej biografii, życia, spotkań, pracy *etc.* Wystarczy taki cel? Bez wchodzenia w wiwisekcje. Ale dokumentowanie przyjaźni z Waśkiewiczem, opisanie owego „Projektu Waśkiewicz”, który zaowocował książką (cenną i potrzebną), na poziomie faktów, bo o tym ta książka jest. Tak na marginesie – poglądy Waśkiewicza, jego wybitność, jego poezję, kiedyś zweryfikuje czas. Jednak przyznaję, iż dobrze się śledzi w *Obrazkach...*, ważne dla podmiotowej świadomości, prawdziwe poszukiwania genealogiczne (*Dorastanie do korzeni*). Kurzawa chce wiedzieć, skąd się wywiódł jego ród i wykonuje imponujący wysiłek w tym celu. Podobny wysiłek niepozabawiony poznawczej determinacji (*Zbąszyń – Wilkanowo*) dotyczy rozpoznania historii miejsca, domu, w którym w Wilkanowie mieszka. Chce wiedzieć. Dociera do archiwów i gdzie tylko się da. To budzi mój szacunek. Bo jest autentyczne. Pozbawione autoreklamy, ideologii, egocentryzmu, ani nie daje się posądzić o propagandę lub megalomanię. I oczywiście – za wartościowe można też uznać *Prózkę z pierwszych lat*. Czyli kawałki o dzieciństwie, tchnące autentyzmem. Bardzo rodzinne, chłopiące. Niekiedy wzruszające. Na koniec język. Jest w tej książce żywy i barwny, rubaszny i precyzyjny. Sprawny. To rzeczywiście wartość-umiejętność jego warsztatu. Która nawet nadmiar i pewien istniejący szum informacyjny (zatykający narrację) w tej książce czyni mniej uciążliwym podczas lektury. Wymierne też jest odkrycie i włożenie dużej dozy wysiłku w promocję talentu poetyckiego i prozatorskiego Ireny Misztal z Ełku, w późnym momencie jej życia. Rzecz piękna i wielka, którą można się chlubić (patrz: *Pani Irena*). A tutaj na miejscu? Czy można być zadowolonym np. z pozyskanej dla pisarzy leśniczówki w Liniach, z konkursu w Kargowej, z Klubu Literackiego w Żarach, którego działalność zainicjował (szkoda, że ostatnio tenże słabuje)? To nie tak dużo, ale... nie za dużo się da. Warto spojrzeć na życie społeczne zwyczajnie, gdyż w innym przypadku ta napędzająca jego człowiecze ego „misja” będzie rodziła żal i niedosyt, przyczyniając się do rozdźwięku w obre-

bie poczucia tożsamości. Pomędzy zdaniem zdaje się natarczywie pobrzmiwać pretensja o brak docenienia. Zastanawia się np. Kurzawa, ilu recenzentów z „urzędu” opisze te jego *Obrazki*... Najważniejsza jest książka. A ilu ją opisze, zrecenzuje i czy będzie

to Nobel, to się okaże. Zachęcam Kurzawę, by w następnej książce zawarł to wszystko, czego w tej mu się jeszcze nie udało. To jest potrzebne.

Czesław Sobkowiak

Rzeczywistość rozszerzona

Janusz Życzkowski, *Opowieść pierwsza*, Pro Libris, Zielona Góra 2014, 226 s.

Pewnie słyszałeś o tym, że piękno jest świetnym kryterium do wybrania właściwej teorii?

George

Z dużym dystansem zaczęłam czytać debiut powieściowy Janusza Życzkowskiego. Może powodem był zbyt duży medialny szum (myślę o Facebooku, stronie internetowej, wywiadach) wokół książki, jeszcze zanim pojawiła się w sprzedaży. Chyba wszyscy mają dość reklam i sloganów. Z drugiej strony staram się zrozumieć, że takie właśnie są warunki *publishing business*. Książka to też towar, tak samo jak herbata, bielizna czy alkohol.

Opowieść pierwsza to pozycja interaktywna, wiele rozdziałów zakończonych jest znakiem graficznym, kodem QR, który po zeskanowaniu odsyła do dodatkowych treści (według mnie są to gadżety, które nie wzbogacają odbioru, są zbędne, rozpraszają). Nie jest to też formalne nowatorstwo (Stephen King podobnie wzbogacił swoją najnowszą książkę *Przebudzenie*), a raczej niewiara w książkę jako taką i robienie z niej zabawki. Ot, rzeczywistość rozszerzona.

Klimat powieści przypomina nieco newage-owskie narracje (np. Paula Coelho, Richarda Bacha). Dużo jest mowy o energii, jej wymianie (Absolut jako emanacja kosmicznej energii), pojawiają się elementy psychologii transpersonalnej (stany mistyczne, praktyki medytacyjne, jedność człowieka i świata). Ale w końcu główny bohater, dziennikarz, jest usytuowany na rozdrożu, „w przejściu”, zerwał kontakt z najbliższymi oso-

bami, wyjechał do egzotycznej Malezji, otworzył się na to, co nienazwane, dzięki zerwaniu więzów z poprzednimi doświadczeniami. I ta jego liminalność pozwala mu na głębsze poznanie tajemnic bytu (książka ta mogłaby posłużyć jako zobrazowanie wszystkich faz obrzędu przejścia wyodrębnionych przez Arnolda van Gennepa). Na swojej wędrówce (pielgrzymce) spotyka fizyka, George’a, który jest w pewnym sensie też mistykiem. W podziemiach kościoła, w dawnych korytarzach, którymi chodzili już kilka wieków wcześniej Powiernicy Prawdy, przygotowuje ryzykowny eksperyment. Jego badania nie są jednak legalne, bo odkrycia (na razie niezwyfikowane, ale dochodzące do naukowych kręgów) są niewygodne dla laickich przeciwników naukowca. Główny bohater zostaje nieprzypadkowo wplątany w doświadczenia na strukturze duszy. W jaki sposób z tego wyjdzie? Czy uporządkuje swoje wnętrze na tyle, aby móc wrócić tam, skąd przybył? Wreszcie: kim stanie się po tajemniczych obrzędach? Odpowiedź okazuje się nie taka prosta.

Szkoda, że postać George’a została za mało skomplikowana, niedookreślona, a Hasselberg (nazwisko brzmi żydowsko), przedstawiciel naukowego wywiadu, nie ma zbyt wielu okazji na przedstawienie swoich racji. Autor zapewne miał zamiar zawoalować ich wizerunki, aby nadać powieści więcej ezoteryczności. Fizykowi-archeologowi brakuje tutaj perwersyjności na miarę geniusza. Jest po prostu jednowymiarowy. Bohater z kolei dość łatwo poddaje się wszystkim jego manipulacjom (albo mówiąc neutralnie – teoriom), łatwym aforyzmom.

Rzeczywistość jest za mało rozwarstwiona, podziemne korytarze zbyt łatwe do przejścia. Brakuje mi etycznych labiryntów, niejednoznacznych twierdzeń, a nawet heretyckich hipotez, innymi słowy: czegoś, co wstrząsnęłoby odbiorcą na tyle, że szukałby na drugi dzień w bibliotekach dowodów na swoje w tym świecie istnienie.

Myślę, że książka nie dokonuje na płaszczyźnie fikcji kopernikańskiego przewrotu, zmiany paradygmatu. Teorie wywiedzione na jej kartach balansują raczej na granicy nauki (fizyki, chemii, psychologii) i teologii. Dominuje perspektywa antropocentryczna (nie wiem, ale raczej wątpię, że badania George'a obejmują też swym zasięgiem strukturę duszy roślin, zwierząt czy rzeczy). Analogia między duszą i materią jest dobrze skonstruowana. Przeciętny czytelnik nie jest przytłoczony matematyczno-fizycznymi eksplikacjami (choć brakowało mi kontrowersyjnych hipotez wokół np. długości Plancka lub niezbadanej jeszcze kwantowej teorii grawitacji), humanista przewraca strony bez kom-

pleksów, bo teoria Nielsa Bohra zaczyna wyjaśniać mu niepowodzenia postaci. Bardzo ciekawy jest epilog, formalna zmiana narracji (ostatnio pojawiła się też na końcu kryminału Andrieja Kotina *Człowiek hasło*) pokazuje jakieś nagłe zerwanie, transformację elementarnych części. Zakończenie przenosi też w zupełnie inną (inną?) historię Georga Iserina, stąd interpretacja całości trochę ulega modyfikacji. I to na korzyść książki, która nabiera waloru uniwersalnego.

Myślę, że nie jest łatwo napisać dziś ambitną książkę „wewnętrzną”, traktującą o duszy, psychologii, ezoteryce czy Bogu. Czytelnik nie daje się tak łatwo nabrać na slogany, ogólniki, ładne sformułowania. Każdy z nas na swój sposób szuka czegoś więcej, wielu spotkało już niejednego proroka George'a. Nauka i religia to ciągle dwa bieguny, które inspirują, wpływają na siebie nawzajem i jednocześnie podążają innymi ścieżkami. Okazuje się, że piękno jest właściwością każdej z nich.

Mirosława Szott

Kopernik i struktura jaźni, czyli pierwsza powieść Janusza Życzkowskiego

Janusz Życzkowski, *Opowieść pierwsza*, Pro Libris, Zielona Góra 2014, 226 s.

Jestem właśnie po lekturze debiutanckiej powieści Janusza Życzkowskiego, zielonogórskiego dziennikarza i publicysty, zawodowo związanego z lokalnymi rozgłośniami radiowymi, współpracującego także z Wojewódzką i Miejską Biblioteką Publiczną w Zielonej Górze. Wspomniana książka pt. *Opowieść pierwsza* (tytuł znakomicie pasujący do debiutu, będący jednak tłumaczeniem przywołanego w powieści szesnastowiecznego tekstu *Narratio prima*) wydana została nakładem wydawnictwa Pro Libris, działającego pod auspicjami wspomnianej biblioteki.

Licząca ponad dwieście stron proza przenosi nas w świat egzotycznej Malesji, gdzie główny bohater – dziennikarz pojawia się służbowo, ale także z nadzieją na to, że zmęczony niełatwymi relacjami z ludźmi

poukłada swoje myśli, odzyska kontakt z sobą i odnajdzie utracony spokój. Niestety, niespodziewanie staje się centralnym ogniwem pewnej misji. Jako przedmiot niezwykłego eksperymentu zostanie postawiony w wielu zaskakujących i niebezpiecznych sytuacjach. Lawina sensacyjnych zdarzeń stanowiąca podłoże fabularne służy tu zaprezentowaniu hipotezy o analogii pomiędzy sferą materii a sferą ducha. Uściślając – Życzkowski przeprowadza dowód na to, że teoria kopernikańska znajduje swoje odbicie w strukturze naszej psychiki. Obszernie rozwinięta wizja sprowadza się do przekonania, że każdy z nas ma w sobie słońce – duszę, wokół której obracają się planety związane z naszymi żywotnymi doświadczeniami i priorytetami.

Życzkowski plastycznie przedstawia realia Orientu, a swoją narrację opiera na dobrej znajomości obyczajów wschodnioazjatyckich. Przywołane przez niego teorie z zakresu religii, filozofii, chemii czy fizyki kwantowej na pewno zaciekawia pasjonatów nauki. Zastosowane tu rozwiązania fabularne zbliżają tę powieść do konwencji, którą posłużył się autor serii demaskatorskich bestsellerów, Dan Brown. Tu także mamy do czynienia z uwikłaniem bohatera w intrygującą historię tajnego bractwa i walczących z nim, nie zawsze legalnymi sposobami, sił. Akcja zmierza do kulminacji, którą ma być eksperyment przeprowadzony na głównym bohaterze, nazwany tu wizualizacją ducha. W powieści Życzkowskiego, podobnie jak u mistrza gatunku, podłoże fabularne, obfitujące w szereg sensacyjnych zdarzeń, podporządkowane jest rozwinięciu nieprawdopodobnie brzmiącej teorii. Racjonalści będą się oburzać, ale koncepcja ta, stanowiąca świetny materiał do intelektualnych spekulacji może zaciekawia zwolenników alternatywnych wizji świata i ludzkiej duchowości. Udana połączenie wątku sensacyjnego z podróżniczym (wiele charakterystycznych, dających się zlokalizować miejsc) jest dodatkowym walorem tej dobrze skonstruowanej i sprawnie opowiedzianej historii. Pewnym rozczarowaniem, zwłaszcza dla żeńskiej części odbiorców, może być obiecująco zapowiadający się, niestety brutalnie przerwany, wątek romansowy. Oczywiście wynika to z uwarunkowań fabuły i nie może, rzecz jasna, stanowić zarzutu. Za mankament powieści jednak należałoby uznać

słabą indywidualizację zaangażowanych w misję bohaterów. Mimo że pochodzą oni z różnych środowisk, posługują się identycznym językiem. Są też nie do odróżnienia w sposobie zachowania. Gdyby autor narysował ich portrety odważniejszą kreską, z użyciem bogatszej palety barw, mielibyśmy może szansę polubić ich albo wręcz przeciwnie. Tymczasem jest to zastęp zaangażowanych w tajne przedsięwzięcie klonów, z którymi, przynajmniej ja, rozstawałam się bez żalu. Nieco pogłębiona psychologicznie została postać głównego bohatera, co wynika z zastosowania tu pierwszoosobowej narracji.

Powieść Życzkowskiego nie jest lekturą łatwą, wymaga od odbiorcy intelektualnego zaangażowania i cierpliwości. Jeśli jednak podejmiemy ten wysiłek, ta utrzymana w stylu naukowego wywodu opowieść może dostarczyć ogromu poznawczej satysfakcji.

Jej wartość została doceniona na gali Lubuskich Wawrzynów 2014, podczas której autor odebrał nagrodę specjalną za walory literackie oraz wprowadzenie nowoczesnych form przekazu i promocji książki.

Tytuł powieści sugeruje, że to dopiero początek literackiej przygody autora. Z nadzieją zatem czekamy na jej kontynuację, zwłaszcza że sam autor mówi o kolejnych pasjonujących go analogiach, które „połączą świat nauki z tym, którego zobaczyć się nie da”.

Barbara Anna Dominiak



Z ziarenek piasku świat składam...

Elżbieta Dybalska, *Bruzdy*, Organon – Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, Zielona Góra 2014, 80 s.

W jednym ze swoich szkiców traktujących o kondycji współczesnej liryki Piotr Śliwiński mówi o poezji jednostkowej, poezji intymnego lęku i małego zachwyty, upominając się tym samym o poetów, których ambicją nie jest formułowanie uniwersalnych diagnoz metafizycznych, religijnych czy etycznych. Polemizuje z sądem, jakoby mianem wielkiej można określać tylko poezję tzw. silnych wartości.

Wydany w zielonogórskiej oficynie Organon tomik Elżbiety Dybalskiej zatytułowany *Bruzdy* jest właśnie próbą opowiedzenia osobistych nastrojów, rozterek i przemyśleń. W tych eksponujących podmiotowy punkt widzenia konstrukcjach używa poetka słów powściągliwych, które traktuje z roz wagą i szacunkiem. Poetycka ornamentyka została w tym zbiorze zredukowana, na planie pierwszym jest myśl.

W inicjującym zbiór wierszu poetka mówi o życiu, które jest kroniką doznawanych ran, zapisem bolesnych, nieuniknionych doświadczeń. Przyjmuje je, wyzbyta oczekiwań i złudzeń, „bez buntu”, świadoma daremności walki z losem. Jednak tom zawiera nie tylko refleksje przesyczone goryczą. Prosta, bezpretensjonalna metafora służy tu także do wyrażenia akceptacji tego, co nieuchronne, tak by „na dnie filizanki dostrzec nie tylko lżę, lecz także różę”. Symboliczne konotacje tego drugiego motywu podkreślające nierozzerwalność szczęścia i cierpienia zdają się naznaczać ten zbiór od pierwszej do ostatniej strony. Dojrzała optyka podmiotu lirycznego wyluskuje z chaosu świata najczystsze pierwiastki, wokół których buduje poetka swą przestrzeń. Sporo tu dość wyeksploatowanych w konfesyjnej poezji fraz, które jednak dzięki zastosowaniu ich w nieoczekiwanych kontekstach, wydają się zyskiwać świeży wyraz. Poetka wielokrotnie wraca do obrazów zapisanych w pamięci, wierząc, że szuflada wspomnień mieści w sobie nie tylko nostalgię, ale także promień słońca. Życie, jak zauważa w wierszu *Okruchy*, to i chleb, i słowa, to słodycz zaprawiona dziegiem. Pamięć – depozytariuszka cierpień i radości jest szufladą bez dna. Jednak autorka chce wydobywać z niej

i wkładać między słowa przede wszystkim to, co budujące. Odsłaniając sekrety swojej jednostkowej egzystencji, ukazuje uporczywe poszukiwanie w niej sensu. Stąd częste motywy kolein, bruzd, drózek, którymi podąża, wypatrując iskry w mroku nocy. Poszukiwanie to jest także dążeniem do odnalezienia jakiegoś dającego bezpieczeństwo kresu, granicy, która zamknie niepojętą nieskończoność, pulsu, który ożywi martwy świat. Jednak poetka odżegnuje się od jaskrawego i łatwego piękna: „siana wiatrem/ wyrastam w ogrodach/ na łąkach/ nie – nie jestem różą/ jestem stokrotką”.

Są w tym zbiorze również zapisy epifanijnych olśnień, które dają życiu smak. Ale szlachetne istnienie, co zostało wyraźnie wyartykułowane, zapisane jest w tym, co najcichsze i najwycyżajniejsze: łzie, szumie drzew, kropli potu.

Nieoczywiste wydaje się w tym tomie spojrzenie na uczucie, które jest nie do końca uchwytnie, jak choćby w wierszu o oksymoronicznie brzmiącym tytule *Mroźna miłość*. Możemy odnaleźć tu wiele tekstów będących znakiem zdystansowania się do życia. Poetka, ani na moment nie tracąc indywidualnej perspektywy, wyraża jego chłodną, wyważoną ocenę.

W wielu tekstach widoczny jest także odbiorca wiersza, adresat czułych deklaracji. Jako przeciwwaga nicości wchodzi na scenę miłość – oponentka śmierci, jedyna trwałość wśród przemijalnych form: „dotyk ciepłych dłoni i ramion wtapiał Ciebie we mnie/ do końca/ do śmierci”. Mężczyzna to w wierszach Dybalskiej ten, kto stwarza kobietę, rozpala dla niej ogień i buduje przystań. W innym jednak wierszu poetka zdaje się wyrażać tęsknotę za kimś, kto pozostanie „pełen kolorów” mimo zmagania z „kupowaniem i urządzaniem nowych domów”. Trwanie relacji, jakkolwiek daleka byłaby ona od ideału, sprawia, że „samotność nie dotknie do końca” (*Tam, gdzie jesteś*). Bolesne wspomnienie czyjejs ważnej obecności, konieczność osławiania nieuchronnie nadchodzących niepewnych nocy napawa obezwładniającym poczuciem pustki.

Poetka ta jest nie tylko osobą zanurzoną w świecie własnych doznań, rozważającą swoje miejsce w płynnej substancji trwania. To także podróżniczka, podatna na intensywne doświadczanie i utrwalanie doznanych przeżyć, co można dostrzec w cyklu inspirowanym wyprawą do Grecji.

Zielonogórska poetka zamieszcza w tym zbiorze także wiersze dyktowane wdzięcznością, wzruszeniem, tęsknotą. Te zabarwione często elegijnym tonem liryki dedykuje najbliższym: mężowi, rodzicom, osobom ważnym.

Odnajdujemy tu liryki wyraźnie manifestującą aksjologiczną, bliską poetce przestrzeń. Świat jej wartości ma mocną podstawę w aksjomatach chrześcijańskich, co można zauważyć nie tylko w tekstach typowo deklaracyjnych, lecz także w jej postawie wobec mikro- i makrokosmosu.

Wiersze Elżbiety Dybalskiej to poezja prostych wzruszeń, typowych ludzkich lęków i zachwytów. To twórczość kameralna, osobista, ze skłonnością do zastosowania prostej frazy, z użyciem przejrzystej metafory. Zbiór zamyka kilka utworów autotematycznych, o procesie twórczym, wysiłku towarzyszącym poszukiwaniu słów, gdy: „Zielony Anioł zastawia skrzydłami drogę do biurka [...], a tam w czarnym dnie szuflady biała kartka czeka na słowa”. Zrodzone z samotności wiersze są zaledwie próbą ujęcia świata, dlatego myśl „o włos za późno / o włos za daleko / o włos za wcześniej”. Wiersz pozostaje zapisem bez kropki. Poeta to najmita, który niesie w sobie niewypowiedziane słowa. Gdy nie ma nic w polu widzenia, umieszcza w nim siebie. I to właśnie odnajdujemy w tej poezji.

Barbara Anna Dominiak

Kobieta, Matka i *mundus melancholicus*.

Małgorzata Stachowiak-Schreyner, *Jestem, która Jesteś*, Organon, Zielona Góra 2013, 51 s.

Czytając teksty Małgorzaty Stachowiak-Schreyner, wchodzące w skład jej tomiku *O czymś*, mocno ubolewałem, że poetka wciąż nie wydała nowego zbioru poezji. Od 2005 roku musiało minąć kilka ładnych lat, abym we wrześniu 2013 znów mógł zwiedzać ulice fantasmagoryczno-groteskowego małego miasteczka, przyprószonego melancholijnym spojrzeniem autorki, w którym odbijają się „cienie zmęczonych pokojówek i kasjerek z Netto”¹.

Nowe dziełko to jednak coś więcej. W krótkiej przedmowie do tomu *Jestem, która Jesteś* autorka pisze wprost:

To daleka droga od reporterskiego *O czymś*, które było w 2005 roku moim debiutem. Półtora setki nagród ogólnopolskich konkursów literackich,

między jedną książką a drugą, było właśnie czasem na szukanie zmian i nowych ścieżek. Mam nadzieję, że nadal jest „o Czymś” – o czymś więcej...²

Stachowiak-Schreyner zdaje sobie sprawę, że tak wieloaspektowo eksploatowana w jej poprzedniej książce kategoria prowincji po prostu wyczerpała się. Poetka wie, że *O czymś* balansowało na niewiarygodnie cienkiej granicy pomiędzy *sacrum* a *profanum*, suchym reportażem a dziełem artystycznym. Nie zdecydowała się na powtórzenie tego – skądinąd doskonałego – zabiegu. I słusznie.

Chce nam opowiedzieć „o czymś więcej”. Tym czymś stają się chwile, drobiazgi i (pozornie) niewiele znaczące momenty. Ulotne i kruche, zupełnie jak szamaczący się, dziki ptak wpłątany w ludzki

1 M. Stachowiak-Schreyner, *Ballada o domu*, [w:] tejsze, *Jestem, która Jesteś*, Zielona Góra 2013, s. 47.

2 Tamże, s. 6.

oddech³. *Jestem, która Jesteś* sący się powoli, niemalże w tempie *grave*, ponieważ zbiór wierszy owładnięty zostaje melancholijną atmosferą poczucia straty. Marek Bieńczyk w swoim szkicu pt. *Melancholia. O tych, co nigdy nie odnajdą straty* wielokrotnie powołuje się na Freudowskie ujęcie kategorii melancholii, którą stara się tłumaczyć rzeczowo: „melancholia przeprowadza żałobę po obiekcie nieuświadomionym”⁴. Melancholia to także tęsknota za czymś niewyraźnym, poli- bądź właśnie amorficznym.

Za czym tęskni kobieta-podmiot z tomu *Jestem, która Jesteś*? (To, że mamy do czynienia z podmiotem kobiecym nie ulega wątpliwości!) Postmodernistyczne rozbieżności, Derridowskie pęknięcia, multiplikacja dyskursów o rzeczywistości skłaniają Stachowiak-Schreyner do odnalezienia w świecie prawdziwości, prawdy uczuć, (nie?)podważalnych imponderabiliów, podstaw kultury i społeczeństwa. Poetka wie, że podjęcie takiego wyzwania to szyfrowa praca, dlatego płaszczyzną, na której testować będzie swoje rozważania antropologiczne, staje się właśnie literatura – byt kreowany, sztuczny, artyficyjny. Splot wielości znaczeń i nieoczywistych reinterpretacji.

O czymś rozpięte było na krzyżu empirii i uniwersalistycznego charakteru doświadczenia podmiotu. *Jestem, która Jesteś* to konsekwentna realizacja założeń z debiutanckiego tomu. W centrum swoich refleksji Stachowiak-Schreyner umieszcza kobietę. Otwierając cały zbiór wiersz *Genesis* inicjuje egzystencjalną podróż w nieznanne. Na samym początku dowiadujemy się też, że kobiecość silnie spleciona jest z kategorią

macierzyństwa, która podczas tej trudnej i nierzadko wyboistej drogi – by wciąż trzymać się metafory podróży – silnie zaznaczy swoją obecność. Figura Kobiety-Matki pojawi się kilkakrotnie na zasadzie cyklicznej mantry, której wewnętrzny rytm pulsować będzie melancholijnymi oddaleniami i powrotami.

Z macierzyństwem zespolona zostaje kobieca cielesność. Małgorzata Stachowiak-Schreyner w wierszu *Misterium* pisze:

A kiedy się dokonało
zebrali okrwawione prześcieradła,
zmyli podłogi, wyszorowali ręce
Na korytarzu facet wrzeszczał w komórkę:
o kurwa, mam syna!
a czerwone maki irracjonalnie między mną
a zimą,
co wciąż nie mogła urodzić się z ciężkiej jesieni.
Plastikową rurką kropłówki uparcie, rytmicznie
dwie kobiety sący się w krwiobiegu,
wraszały w mięśnie, przenikały siateczki
napiętych neuronów⁵

Odarcie macierzyństwa z jego mocno zmitologizowanych kontekstów (przy jednoczesnym, mocno ironicznym tytule wiersza) zostaje spotęgowane przez polisensoryczność⁶ cytowanego tekstu. Zauważmy że, poszczególne frazy odwołują się do różnorodnego doświadczenia: wzrokowego, słuchowego, cielesnego. Swoista „krwistość” wiersza jest bowiem nierozzerwalnie związana z somatycznością. Richard Schustermann w zbiorze rozpraw *O sztuce i życiu. Od poetyki hip-hopu do filozofii somatycz-*

3 Tamże, s. 12.

4 M. Bieńczyk, *Melancholia. O tych, co nigdy nie odnajdą straty*, Warszawa 2012, s. 17.

5 M. Stachowiak-Schreyner, *Misterium*, [w:] *też: Jesteś...*, s. 9.

6 W. Welsch pisze: „Tradycja stawiała widzenie na pierwszym miejscu – z uwagi na jego charakterystyczne cechy, takie jak dystans, precyzja i uniwersalność, a także z uwagi na jego zdolność determinacji oraz bliski związek widzenia z poznawaniem. [...] Współcześnie zaczęły skupiać na sobie uwagę inne zmysły. Na przykład znów zaczęto doceniać słuch – dzięki jego bliskiemu związkowi antymetafizycznemu z wydarzeniem (jako przeciwieństwem trwałego bytu), a także za sprawą jego istotnie społecznego charakteru (w odróżnieniu od indywidualistycznego aktu widzenia) oraz jego bezpośrednich relacji z momentami uczuciowymi (w odróżnieniu od pozbawionej emocji rejestrowania fenomenów przez wzrok. Swoich rzeczników znalazł również zmysł dotyku – zarówno na gruncie rozwoju technologii mediów, [...] jak i z uwagi na swój zdecydowanie cielesny charakter – znów w przeciwieństwie do »czystego«, niezaangażowanego widzenia” – zob. W. Welsch, *Estetyka poza estetyką. O nową postać estetyki*, przeł. K. Gućalska, Kraków 2005, s. 127.

nej podejmuje kwestie związane z somatoestetyką i związanym z nią doświadczeniem estetycznym:

Somatoestetyka ma na celu krytyczne, ulepszające badanie doświadczenia człowieka i użycia ciała jako miejsca sensoryczno-estetycznej percepcji (*aisthesis*)⁷.

Właśnie to cielesne doświadczenie (czy doświadczenie⁸) pierwszych chwil macierzyństwa wpływa na kształt całego tomiku, choć niejednokrotnie Stachowiak-Schreyner „cielesną frazę” przełamywać będzie udanym dowcipem czy wątkami melancholijnymi. Polisensoryczna jakość doświadczenia estetycznego wysuwa się na plan pierwszy. Ciało kobiety staje się miejscem rozgrywania tytułowego misterium, które w swoim pierwotnym znaczeniu związane było z tajemnicą jako elementem konstytuującym gatunek misteryjny.

Pozostając przy tajemnicy (to kolejna z istotnych dla tego tomu kategorii interpretacyjnych), warto zwrócić uwagę na topikę biblijną, która w *Jestem, która Jesteś* zapośredniczona zostaje w ludzkim, codziennym doświadczeniu. Motywy o charakterze mityczno-biblijnym stają się nośnikami nowych, nieoczywistych sensów. W utworach odnajdziemy m.in. motyw Matki Boskiej i zwiastowania⁹, góry Tabor¹⁰ czy wieczności¹¹.

Uparcie powracające motywy biblijne – w tym też te najbardziej uwydatnione przez autorkę: figura Matki Boskiej (interpretowana jako figura macie-

ryźństwa) oraz figura kobiety korespondują z cykliczną, kolistą strukturą czasu. Stachowiak-Schreyner daje nam do zrozumienia, że czas rzeczywisty i czas mityczny są ze sobą nierozzerwalnie związane.

Czas jest zresztą dla autorki *Jestem, która Jesteś* elementem konstrukcyjnym całego zbioru. Tom rozpoczyna się narodzinami, kończy zaś śmiercią. W zbiorze *O czymś* Stachowiak niewiele miejsca poświęca elementom przyrody (dzięki Marii Miłek dowiadujemy się zresztą że „w tej poezji nie rosną drzewa”¹²). Tomik z 2013 roku zaś wypełniony jest różnymi bzami, lipami, akacjami, bławatkami etc. Cykl wegetatywny natury wchodzi w mariaż z czasem ludzkim. W tym sensie wyprowadzona z kolistego (czy też cyrkulacyjnego) charakteru czasu właściwość przetransponowana zostaje na ludzką egzystencję.

Jestem, która Jesteś to także zbiór wierszy o tożsamości. O tym, jak i kim staje się kobieta. Nie bez znaczenia jest tutaj słowo ‘stawać się’. Należałoby pewnie wspomnieć także o genialnych puentach, których Stachowiak-Schreyner jest mistrzynią.

Czekałem długo na nowy tom. Za długo. Rekompensatą jest jakość wierszy – śmiało można powiedzieć, że *Jestem, która Jesteś* to równa, bardzo dobra książka, o której powinniśmy przeczytać w ogólnopolskich czasopismach literackich. Z pewnością jednak nie przeczytamy. Przynajmniej z tego powodu mogę ponarzekać.

Daniel J. Stachuła

7 R. Schustermann, *Somatoestetyka a problem ciała/media*, [w:] tegoż, *O sztuce i życiu. Od poetyki hip-hopu do filozofii somatycznej*, przeł. W. Małecki, Wrocław 2007, s. 75.

8 Richard Schustermann zmierza do stwierdzenia, że kategoria doświadczenia (bądź doświadczenia estetycznego) stopniowo wyczerpywała się w II połowie XX wieku, przez co stała się mało atrakcyjna dla teoretyków i filozofów sztuki. Schustermann stara się niejako „wskrzesić” to pojęcie i nadać mu nowe znaczenie. Zob. R. Schustermann, *O końcu i celu doświadczenia estetycznego*, [w:] tegoż, *O sztuce...*, s. 195-219.

9 M. Stachowiak-Schreyner, *Jesteś...*, tu: *Urlop macierzyński*, s. 13; *Ballada o domu*, s. 47; *Zwiastowanie*, s. 8.

10 Tamże, *Z Magdali*, s. 22.

11 Tamże, *Julka*, s. 15.

12 Zob. M. Miłek, *W tej poezji nie rosną drzewa*, [w:] tejże, *W czas marny potrzebni poeci. Szkice o poezji i jej czytaniu*, Zielona Góra 2006, s. 47-67. Autorka szkicu sumiennie przeanalizowała wiersze zawarte w tomie *O czymś* i dostrzegła, że brak w nich rosnących drzew. Pojawiają się jedynie „zarazzone lipy” (*Jak zawsze*) oraz „szum wiatru w gałęziach złamanego drzewa” (*U bram Sodomy*), co zostaje metaforycznie zinterpretowane jako brak możliwości oddechu, a co za tym idzie – brak możliwości przetrwania w przestrzeni nakreślonej przez M. Stachowiak-Schreyner.

Świadomość własnych korzeni

Halina Barań, *Nad doliną*, Agencja Wydawnicza ARG1, Wrocław 2013, 194 s.

Halina Barań jest pisarką zamieszkałą w Bogatyni i ma już na swoim koncie kilka powieści. Wydana niedawno książka pt. *Nad doliną* łączy się tematycznie z dotychczasową twórczością Haliny Barań, ogniskując się wokół miejsca zamieszkania autorki i silnego zakorzenienia w prywatnej ojczyźnie.

Choć miejscem powieściowej akcji są Bogatowice, nie ulega wątpliwości, że jest to „pseudonim literacki” Bogatyni. Inspiracją do napisania tej powieści – jak czytamy – była powódź, która dotknęła to miasto w sierpniu 2010 roku oraz historia Łużyczan. Po wojnie, gdy ustalono granicę na Odrze i Nysie, a region Bogatyni przyłączono do Polski, wysiedlono ich do Niemiec. Dramat Łużyczan był podwójny: utracili nie tylko swoje ojczyste ziemie, ale także stygmatyzowano ich jako Niemców, choć nimi nie byli. Po 1945 roku Polacy świadomie zatarli niemal zupełnie ślady obecności Łużyczan po swojej stronie granicy z Niemcami. Pamięć o tym przywraca Halina Barań w powieści *Nad doliną*.

Wątek łużycki został dość umiejętnie wpleciony do powieści za sprawą głównej bohaterki Elwiry, nauczycielki muzyki, ale i regionalnej dziennikarki, pasjonującej się historią swojego regionu. Łużyczanka jest matka chrzestna Elwiry, obie kobiety są sobie bardzo bliskie. Autorce udało się w powieści pokazać historię regionu Bogatyni i przekonać czytelnika, jak ciekawe są to ziemie po względem kulturowym. Obszar ten nazywany jest Trójstykiem, ze względu na sąsiedztwo Niemiec i Czech, a jego kulturę w niepowtarzalny sposób wzbogacają także Łużycanie, rdzenni mieszkańcy tych ziem.

Prywatne życie Elwiry pozostawia wiele do życzenia. Jej wieloletnie małżeństwo trwa właściwie z przyzwyczajenia. Trudno tu o jakieś pozytywne uczucia, skoro mąż jest uzależniony od alkoholu, na czym cierpi i Elwira, i ich dorosła córka. Gdy powieść się skończy, Elwira podejmie wiele trudnych życiowych decyzji. Jest na rozdrożu, w krytycznym momencie swojego życia, bo jej uczucia zostały wystawione na próbę. Po wielu latach ponownie spotyka się z Markiem, podróżnikiem i naukowcem, miesz-

kańcem Zielonej Góry (miły ukłon autorki w stronę naszego miasta). Kiedyś łączył ich przelotny romans, ale ich związek nie mógł się rozwinąć. Teraz – znów się okazuje, że dla nich obojga nic nie jest łatwe, tym bardziej że są dojrzałymi ludźmi i większą część życia mają za sobą.

Miłość między Elwirą i Markiem rozgrywa się niemal na skraju rzeczywistości, autorka stara się tu zaakcentować efemeryczność i ulotność chwili. To wrażenie spotęgowane jest dodatkowo opisami scen snów, jak gdyby uczucie rozgrywało się na pograniczu jawy i marzenia. Łagodzi to odrobinę ból istnienia Elwiry, choć jej dramat wcale nie jest przez to mniejszy. Do głosu dochodzi podświadomość, jakby chciała ochronić Elwirę przed kolejnym cierpieniem i rozczarowaniem.

Wiele emocji wzbudzają opisy wydarzenia, które w historii Bogatyni zajmuje poczesne miejsce: wielkiej powodzi z 2010 roku. W krótkim czasie życie mieszkańców zmieniło się w piekło i całkowicie się przewartościowało. Najważniejsze stało się fizyczne bezpieczeństwo i przetrwanie. Elwira zaangażowała się w ratowanie swojej uczennicy Nikoli, której dom uległ zniszczeniu. I mocno przeżywa, że zniszczeniu uległy piękne świadectwa historii Bogatowic (Bogatyni): zabytkowe drewniane zbudowane w stylu łużyckim oraz alzackim, świadczące o kulturze poprzednich mieszkańców.

Proza Haliny Barań ma wiele walorów. Na uwagę zasługuje jej silnie akcentowany regionalizm – podkreślanie wartości ojcowizny i świadomość swoistości własnej kultury. Przekazywana nam przez autorkę wiedza o regionie i jego „łużyckości” ma wielkie znaczenie w kształtowaniu lokalnego dziedzictwa jako istotnego elementu tożsamości – tak jednostkowej, jak i zbiorowej, regionalnej. Są w tej powieści właściwie wszystkie atrybuty „małej ojczyzny” z wieloma odniesieniami do łużyckiej przeszłości: opisy krajobrazu, architektury, zabytków kultury materialnej i duchowej. Jest niepowtarzalna obyczajowość, folklor, legendy i odniesienia do sztuki ludowej. Dużą rolę odgrywają kontakty między-

ludzkie i międzypokoleniowe. Nad tym wszystkim władzę ma jednak przyroda, której symbolem jest wielka powódź w Bogatowicach. Natura jest nieujarzmiona, nieprzewidywalna i nieprzebacząca, i to się nie zmienia od samych początków historii ludzkości.

Halina Barań jest wobec swojej „małej ojczyzny” refleksyjna, ale i krytyczna, zwłaszcza wobec tego, co na tych ziemiach rozgrywało się w niedalekiej przeszłości. Krzywda wyrządzona przez Polaków Łużyczanom po wojnie jest bezdyskusyjna. Jednak świadomość, że w historii jest i taka niechlubna karta, pozwala lepiej poznać siebie. Tylko wtedy tożsamość regionalna pozostanie pełna i niezafałszowana. Autorka podkreśla niezaprzeczalny walor umiejętności refleksyjnego wychodzenia poza utarte myślowe schematy.

Zobrazowany w powieści mikroświat pierwotny i prywatna ojczyzna są z jednej strony nadrzędne wobec idei globalnej świadomości, ale z drugiej strony, zarysowana tu lokalność nie pozostaje drugorzędna wobec europejskości. Na terytorium Bogatowic mieszkańców łączą liczne więzi, a do międzykulturowych interakcji dochodzi na różnych płaszczyznach. To region, w którym wyraźnie poszukuje się sposobów współpracy ponad granicami, zwłaszcza tymi pojmowanymi symbolicznie. Granice geograficzne nie stanowią bowiem już żadnej przeszkody, podkreśla autorka, bo przecież jesteśmy

częścią Unii Europejskiej. Halina Barań opowiada się zatem za tożsamością regionalną o charakterze otwartym, kreowaną z silną świadomością ciągłości tradycji, ale i z uwzględnieniem nowych realiów, w których przychodzi nam żyć.

Zakończenie powieści budzi wiele refleksji. W przypadku Elwiry – powróciła do niej przeszłość i zdeterminowała jej teraźniejsze wybory. Ale bohaterka zastanawia się także nad przyszłością swojej miejscowości. Jak będzie tu wyglądało po powodzi, gdy wszystko dojdzie do równowagi? Co będzie za sto lat? „Co stanie się z tą słowiańską krainą, dawniej zwaną Rychnow, a potem Reichenau, gdy przestanie funkcjonować miejscowa kopalnia i elektrownia? [...] Czy w Bogatowicach na miejscu spalonego łużyckiego kościoła wyrośnie [...] meczet?” Wyczuwalna jest tu świadomość, że i tutaj, na Zachodnie Kresy, jak nazywa te ziemie autorka, dotrą globalne trendy, bo takie jest odwieczne uniwersalne prawo: kultura, podobnie jak natura, nie ma w sobie nic stałego, rozwija się, przeżywa swój rozkwit, ulega przeobrażeniom, wreszcie – odchodzi w przeszłość. Od całkowitego zapomnienia można ją uchronić właśnie w taki sposób, jak czyni to Halina Barań: poprzez zaangażowaną emocjonalnie twórczość, która pomaga kształtować świadomość własnych korzeni tak w wymiarze indywidualnym, jak i wspólnotowym.

Joanna Kapica-Curzytek

Historia regionu

Andrzej Toczewski, *Festung Küstrin 1945*, Bellona, Warszawa, 2015, 237 s.

Dr Andrzej Toczewski od wielu lat zajmuje się w swojej pracy naukowej zagadnieniem militarnego znaczenia linii Odry w końcowej fazie II wojny światowej. W książce pt. *Festung Küstrin 1945* opublikowanej przez wydawnictwo Bellona w ramach popularnonaukowej serii pt. *Historyczne bitwy* autor przedstawił przebieg walk o Kostrzyn, którego zdobycie otworzyło Armii Czerwonej drogę do Berlina.

Praca ma układ chronologiczny. W pierwszym rozdziale zatytułowanym *Kierunek Berlin* autor przedstawia szczegółowo sytuację i zamiary Armii Czerwonej oraz wojsk III Rzeszy. Według pierwotnych radzieckich planów Berlin miał zostać zdobyty już połowie lutego 1945. Odpowiedź na pytanie, dlaczego stolica Niemiec została zdobyta ponad dwa miesiące później, można odnaleźć w kolejnych roz-

działach książki. A. Toczewski przybliży czytelnikom także szerszy kontekst wojskowy i dyplomatyczny walk nad Środkową Odrą. Szczególnie interesujący fragment stanowi opis działań polskich grup zwiadowczych na Środkowym Nadodrzu w okresie poprzedzającym wyjście Armii Czerwonej na linię Odry. Autor przybliży także niemieckie plany wzięcia w okrążenie wojsk radzieckich zajmujących pozycje nad Środkową Odrą, poprzez jednoczesne natarcie z Pomorza oraz z południa (z rejonu Krosna Odrzańskie – Zielona Góra). Ostatecznie akcja „Sonnenwende” nie została zrealizowana. 6 Armia pancerna SS, która miała zostać użyta do natarcia z rejonu Cigacic i Krosna Odrzańskiego na północ, została przeniesiona w rejon Balatonu.

W drugim rozdziale zostały opisane walki o przełamanie linii Środkowej Odry, po ustabilizowaniu się linii frontu. Szczegółowo przedstawione zostały walki o przyczółki na zachodnim brzegu Odry oraz o ich poszerzenie. A. Toczewski zapoznaje czytelników także z działaniami oddziałów polskich na Środkowym Nadodrzu w tym okresie.

Rozdział trzeci poświęcony jest walkom o zdobycie Kostrzyna po tym, jak próba zdobycia tego miasta z marszu zakończyła się niepowodzeniem. Autor przedstawił w tym miejscu rolę, jaką odgrywało to miasto w systemie umocnień III Rzeszy. Walory obronne Kostrzyna zostały dostrzeżone już średniowieczu. W późniejszym czasie twierdza, zbudowana przez Jana z Kostrzyna, była systematycznie rozbudowywana i modernizowana. Także w okresie II wojny światowej Kostrzyn stanowił ważną i trudną do pokonania przeszkodę. Mimo że koncepcja obrony okrzężnej miast-twierdz była w tym czasie już nieaktualna, to trzeba przyznać, że zacięta obrona Kostrzyna i Frankfurtu opóźniła o dwa miesiące ostateczną klęskę Niemiec. A. Toczewski przedstawił niemieckie założenia dotyczące funkcjonowania twierdzy i miejsc umocnionych. Szczegółowo opisane zostały umocnienia i uzbrojenie kostrzyńskiej twierdzy oraz innych obiektów pełniących funkcje strategiczne, a także załoga garnizonu. Interesującym wątkiem przewijającym się w wielu miejscach książki są konflikty pomiędzy Wehrmachtem i Waffen SS. Większość z tych sporów Hitler rozstrzygał na korzyść SS. Przykładem może

być nominacja „kata Warszawy” generała Heinricha „Heinza” Reinefartha na stanowisko komendanta twierdzy Kostrzyn (2 lutego 1945), wbrew woli generałów H. Guderiana i T. Bussego.

Jednym z momentów, które umożliwiły dwumiesięczną obronę Kostrzyna, było rozłączenie 8 lutego radzieckich przyczółków na zachodnim brzegu Odry. Dzięki zdobytemu połączeniu Niemcy mogli uzupełnić garnizon, ewakuować rannych oraz ludność cywilną. W dalszej części rozdziału podane zostały siły, jakimi dysponowali Niemcy i Armia Czerwona pod Kostrzynem. Rozpoczęte 6 marca 1945 natarcie, opisane przez autora książki z niezwykłą dokładnością, zakończyło się zdobyciem 12 marca Nowego Miasta, co nie oznaczało jednak zdobycia całego Kostrzyna. Broniące się jeszcze Stare Miasto wraz z twierdzą stanowiły silny punkt oporu. Sukces wojsk radzieckich był jednak na tyle duży, że dowództwo I Frontu Białoruskiego nie przewidywało, że Niemcy mogą się jeszcze dalej bronić. Do Moskwy została przesłana wiadomość o zdobyciu miasta. Stalin wydał rozkaz nr 300, w którym podziękował oddziałom Armii Czerwonej za zdobycie Kostrzyna. W późniejszych publikacjach radzieckich nie mówiono już o walkach o Kostrzyn, lecz np. o niemieckiej obronie „rejonu między wartą a Odrą”. Całkowite zdobycie Kostrzyna nie było możliwe bez zamknięcia pierścienia wokół miasta, co udało się Armii Czerwonej dopiero 22 marca 1945 roku.

Kolejny rozdział poświęcony jest końcowej fazie walk o Kostrzyn, zakończonej zdobyciem tego strategicznego miasta. Podobnie jak we wcześniejszych rozdziałach autor przybliży koncepcje militarne, a później opisuje przebieg działań militarnych. 28 marca 1945 lotnictwo radzieckie, bombardując umocnienia twierdzy, rozpoczęło decydujący atak wojsk radzieckich na Stare Miasto i twierdzę. Grozę bombardowań kostrzyńskiej twierdzy, ilustrują przytaczane przez autora liczby. W dniach od 13 do 29 marca radzieckie rzuciło 876 ton bomb na pozycje niemieckie w rejonie twierdzy. Ostatecznie Kostrzyn został zdobyty przez Armię Czerwoną 30 marca 1945 roku. A. Toczewski przytacza pisane niezwykle plastycznym językiem radzieckie i niemieckie relacje o tym wydarzeniu.

W rozdziale zatytułowanym *Finał walk o Odrę* Andrzej Toczewski opisuje walki o Frankfurt nad Odrą, który został zdobyty 23 kwietnia, a więc już w czasie trwania operacji berlińskiej. Ostatni rozdział zatytułowany *Walki o całkowite zdobycie linii Odry* opisuje głównie działania Armii Czerwonej w ramach operacji berlińskiej, której rozpoczęcie było możliwe dzięki zdobyciu Kostrzyna. Autor szczegółowo przedstawił radzieckie koncepcje taktyczne oraz walki. Dużo miejsca poświęcone zostało udziałowi wojsk polskich w operacji berlińskiej. Mało znanym epizodem walk o Odrę, który przywołuje autor książki, jest użycie Wojennej Floty Dnieprzańskiej w rejonie Kostrzyna i Fürstenbergu. Osobne miejsce zajmuje opis likwidacji frankfurcko-gubińskiego zgrupowania niemieckiego zakończonej dopiero 30 kwietnia 1945 roku. Data ta może być uznana za końcową cezurę walk o linię Odry. Rozdział uzupełniają dwa raporty niemieckie: generała Heinri-

cha „Heinza” Reinefartha oraz burmistrza Kostrzyna i szefa Okręgowego Komitetu NSDAP Hermanna Körnera

Praca A. Toczewskiego mimo popularnonaukowego charakteru jest oparta na źródłach archiwalnych, co niestety nie zawsze jest normą w tego typu publikacjach. Narrację ożywiają wspomnienia osób uczestniczących w walkach o Kostrzyn. Istotnym atutem książki są zamieszczone zdjęcia, zbierane przez A. Toczewskiego w trakcie jego wieloletniej pracy naukowej. Znaczna część z nich ma unikatowy charakter. Zrozumienie założeń taktycznych oraz przebiegu walk ułatwiają zamieszczone na kocu książki mapy. *Festung Küstrin 1945* to książka godna polecenia nie tylko znawcom walk okresu II wojny światowej, lecz także wszystkim zainteresowanym historią regionu lubuskiego.

Arkadiusz Cincio

Jeden dzień z hermeneutyki miasta – performance Wiernowolskiego

Maciej Barden, Andrzej Michałowski, Stefan Wiernowolski, Joanna Ziemińska-Kurek, *Alchemia przestrzeni. Jeden dzień patrzenia na Sulęcín*, PHU Kacper, Sulęcín 2004, 120 s.

Zrywam się z wersalki. – Cholera – myślę sobie
– zasnę. Umówieni byliśmy na 5.30.
Podnoszę słuchawkę i słyszę głos Joanny.
– My już czekamy.

Maciej Barden

Zawsze ciekawiły mnie eksperymenty. Pozwalają one przenieść w sferę *praxis* pewne wyobrażenia lub teoretyczne modele. Wprowadzają twórczy niepokój i ekscytację. Uczą też pokory wobec nieprzewidywalności świata. Myślę, że te odczucia towarzyszyły autorom przy tworzeniu *Alchemii przestrzeni*¹. Dopiero niedawno trafiłam na tę książkę. Została

ona wydana 12 lat temu w Sulęcinie. Przyznam, że nigdy nie byłam w tym niewielkim mieście położonym niedaleko Gorzowa Wielkopolskiego. Pociągi tam nie dojeżdżają, więc sulęciński obszar jest dla mnie przykładem pewnej lubuskiej egzotyki. Egzotyki, przez którą rozumieć by można zwyczajność skondensowaną do tego stopnia, że posiada cechy realizmu magicznego.

Wyprawa – to słowo wydaje się zarezerwowane dla dalekiej i długotrwałej podróży, np. dookoła świata czy na szczyt Himalajów. Wymaga to pracy nad kondycją, przygotowań sprzętu, dokładnej analizy mapy, a w kręgach bardziej snobistycznych – *coa-*

1 M. Barden, A. Michałowski, S. Wiernowolski, J. Ziemińska-Kurek, *Alchemia przestrzeni. Jeden dzień patrzenia na Sulęcín*, Sulęcín 2004.

chingu. Z wyprawy nie wraca się już takim samym człowiekiem. To droga przemienia. I okazuje się, że nie jest konieczne, aby wędrówka wiodła wyznaczonymi szlakami setki kilometrów od własnego domu. Można zorganizować wyprawę do miasta, w którym żyje się od 55 lat. Inicjatorem takiego przedsięwzięcia był Stefan Wiernowski, sulęciński fotografik. Wraz z trzema osobami (Maciejem Bardenem, Andrzejem Michałowskim i Joanną Ziemińską-Kurek) podjął się odczytania miasta, jego formy i treści. Wybrali zwyczajny jesienny dzień: poniedziałek 14 października 2002 roku, przypadały wtedy imieniny Bernarda i Liwii. Dwa lata później powstał album upamiętniający to zdarzenie. *Alchemia przestrzeni* – tak nazwali swoje (nie)zwykłe odkrycia.

Jednym z założeń takiego eksperymentu jest, jak się wydaje, traktowanie przestrzeni nie jako czegoś abstrakcyjnego, jako pustki, w której są umieszczone obiekty, domy, lasy. Przestrzeń to obszar życia, działania, doświadczania, a jej głównym komponentem jest treść duchowa (świat i egzystencja wzajemnie się konstytuują). Bliskie jest to koncepcji Martina Heideggera i jego formule bycia-w-świecie.

W jaki sposób grupa czterech osób podeszła do wspólnego zadania? Każdy z uczestników wyprawy to inny człowiek, różni ich wiek, doświadczenie, temperament i sposób wyrażania świata. Swoje relacje z podróży, której celem było – jak pisze Ziemińska-Kurek – dotrzeć do samego siebie², określają odmiennie. I tak Stefan stworzył „portret”, Maciek – „dokument”, Andrzej – postanowił „wyrazić”, a Joanna – dokonać „próby sensu”. Powstała spójna i uzupełniająca się całość. Refleksje metafizyczne przeplatane zostały obrazami bezpośrednich doznań miejsc. Podróżowali wspólnie. Ciekawa jestem, jaki kształt miałby ów album, gdyby rozdzielili się na samym początku, gdyby każdy z nich miał w ręku aparat (pędzel? ołówek?) i szedł własną ścieżką.

Na pierwszym planie są bardzo dobre zdjęcia. Zbliżenia na wyimki rzeczywistości, na ludzkie twarze w stolarni przy placu Czarnieckiego, na piekarzy,

którzy przed świtem wyjeżdżają z piekarni, na stare schody czy kolejowe tory. Nie jest to typowy album miasta, bo taki, o którym myślę, musiałby uwiecznić tylko najcenniejsze i najokazalsze widoki, a nie marginalne uliczki, odrapane ściany, miejsca tabu. Wiernowski patrzy na stary sklep czy bałagan na podwórku jak na pejzaż. Podziwia go takim, jaki jest, bo absurdem byłoby mieć pretensje do drzew, że są za mało zielone, dlatego od starego roweru nie wymaga się, aby był najnowszym modelem. Sulęciński fotografik widzi w miejscu wartość estetyczną, którą chce zrozumieć. Jest miejskim hermeneutą i autorem niejednego już albumu na temat obszaru sulęcińskiego.

Część *Według Maćka* jest najbardziej rozbudowana narracyjnie. Na jej podstawie można dowiedzieć się najwięcej o tej „pielgrzymce” oraz doświadczyć szybkiego jej tempa. Barden dokumentuje wycieczkę za pomocą prozy poetyckiej. Część *Według Andrzeja* jest introwertyczna i jednocześnie oniryczna. Michałowski dokonuje przekształceń, opowiada kolorami i cieniami – jest to swoista medytacja. Stara się nie zaburzyć ciszy słowami. Z kolei *Według Joanny* jest bardzo poetyckie. Ziemińska-Kurek rozpoczyna swoje filozoficzne rozważania od stwierdzenia:

Jeśli chce się zobaczyć jakieś miejsce, trzeba z niego najpierw wyjechać. [...] Uzyskany w ten sposób dystans jest kluczem. Do czego? Tego nie wie się na początku. I ta Tajemnica staje się bodźcem do odbycia podróży [...] Związani ze sobą złudną nadzieją, jaka odwiecznie towarzyszy podróżnikom, że u kresu podróży odnajdziemy tę zaledwie przeczuwaną, upragnioną prawdę³.

Poetka wychodzi od próby zdefiniowania pojęć najprostszych: czasu, przestrzeni, rzeczy. Stara się pokazać uniwersalny wymiar tych czterech dróg rozumienia Sulęcina. Jako jedyna powraca do przeszłości miejsca; dokonuje w swojej części przekładu intersemiotycznego, opisując niemiecką fotografię

2 Tamże, s. 9.

3 Tamże, s. 100.

miasta. Zamiłowanie do eksplorowania aktu miasta uwidacznia się także w tomiku wydanym w 2007 roku pt. *Miejskie wiersze o przedmiotach* (cykl wierszy zainspirowanych niemiecką fotografią), a także w albumie *Odkrywanie miejsca, odkrywanie siebie* (refleksje nad zdjęciami Sulęcina wykonanymi przez Wiernowolskiego z lotu ptaka). Nazywa miasteczko labiryntem, a jego przejście – odkryciem archetypu całości i doskonałości; stąd pojawia się wymowna figura mandali na ostatniej stronie albumu. Jej poetyckie poszukiwania wpisują się w często dziś podejmowane refleksje spod znaku zwrotu topograficznego, geopoetyki. Ale nie tylko: poetka porusza kwestie przedmiotów jako świadków istnienia i ich relacji z człowiekiem. Rzeczy w tej poezji są – jak stwierdził Przemysław Czapliński w kontekście prozy po 1989 roku – bardziej „gadatliwe”⁴, usemiotycz-

nione. Ziemiańska-Kurek udziela im równoprawnego głosu w dyskursie pogranicza.

Myślę sobie, że ten performance (który nazwałam w tytule „performance’em Wiernowolskiego”) to świetny pomysł, który można realizować w innych miastach. Nie chodzi o stworzenie turystycznych informatorów, broszur czy poprawionych w Photoshopie zdjęć chmur lub katedry. Liczy się indywidualne doświadczenie, żywa epifania miejsca. Zielona Góra, Żary, Kozuchów, Sulechów chyba są gotowe, aby je zrozumieć.

Teraz oszołomieni i zmęczeni stajemy wobec tego wszystkiego, czego doświadczyliśmy. Koniec naszej podróży jest pozorny

Joanna Ziemiańska-Kurek

Mirosława Szott

Ut pictura poesis – o sztuce na wskroś dojrzałej

Adam Wojciech Bagiński, Czesław Sobkowiak, *Pomiędzy*, Oficyna Wydawnicza UZ, Zielona Góra 2015, 123 s.

Oddany do rąk czytelnika tom, a właściwie malarstwo-poetycki album, jest zwieńczeniem artystycznego spotkania dwóch przyjaciół. Od lat związany z Zieloną Górą Adam Bagiński, który, jak czytamy w osobistym wprowadzeniu do publikacji, traktuje swoje malarstwo „jako formę wypowiedzi wynikającą z wewnętrznej potrzeby psychicznej” zestawia swoje prace z poetyckim komentarzem Czesława Sobkowiaka – autora, którego lubuskim odbiorcom nie trzeba przedstawiać.

Album zawiera także m.in. bogaty zbiór akwareli Bagińskiego, fotografie z prywatnego archiwum, omówienia Marianny Bocian i Antoniego Górnicka czy uwagi krytyczne do części poetyckiej Mirosławy Szott.

Mamy do czynienia ze spotkaniem szalenie przemyślanym, pozbawionym młodzieńczej frustracji,

przepełnionym spokojem, harmonią i doświadczeniem. Zarówno delikatne akwarele Bagińskiego, jak i subtelne teksty Sobkowiaka nawiązują do jednej z najbardziej uniwersalnych, a jednocześnie wciąż świeżej, inspiracji artystycznej – natury. Tworzy bowiem malarz w swoich dziełach sielankowe odzwierciedlenia jezior, lasów i nieba, nawiązując do lat swojej młodości i wyidealizowanej w głowie chłopca ławy. Trudno nie zauważyć tu wpływu brytyjskiego malarza, Williama Turnera, którego Bagiński wymienia jako jednego ze swoich mistrzów. Interpretatorzy dzieł artysty, których opinii również nie pominięto w publikacji, zgodnie zauważają subtelność gry światła, przenikanie barw, a przede wszystkim ogromny ładunek emocjonalny zawarty w tych prostych, a jednak wielowymiarowych obrazach.

4 P. Czapliński, *Rzecz w literaturze albo proza lat dziewięćdziesiątych wobec „mimesis”*, [w:] *Człowiek i rzecz. O problemach reifikacji w literaturze, filozofii i sztuce*, red. S. Wystouch, B. Kaniewska, Poznań 1999, s. 209.

Jak zauważyła Irena Filipczuk, „pod rzetelną osnową estetyczną, pod laserunkową warstwą malarską – kryją się głębokie przeżycia, emocje, niekiedy nawet olśnienia”. Rzeczono emocje próbuje przenieść na kanwę poetycką Sobkowiak.

Śladem takich tuzów, jak W.H. Auden, Kaspro-wicz czy Herbert, przekonanych o malarsko-poetyckiej symbiozie, wiersze Sobkowiaka odzwierciedlają jego inspirację obrazem, plastyczną stroną rzeczy-wistości. Pozornie natura gra w tych wierszach rolę pierwszoplanową, dokładnie opisuje bowiem poeta krajobrazy, przygląda się zmieniającym się porom dnia i roku, zachwyca się spokojem nieprzeniknio-nego piękna przyrody i doświadcza go wszystkimi zmysłami. Trudno jednak nie dostrzec w tej poezji wyraźnej obecności podmiotu lirycznego i aktu kon-fesji. Doświadczony bohater Sobkowiaka dywaguje na tematy ostateczne, z rozżaleniem obserwuje, że „życie jest ciężkie, gdziekolwiek jesteśmy” (s. 44). Jego wynurzenia są mroczne, okupione fizycznym cierpieniem, naznaczone starością i nieuchronnie zbliżającym się końcem. W bezmiarze rozgwieź-dzonego nieba i wobec bezlitosnego upływu czas, Sobkowiak umieszcza postać świadomą siebie. Osa-

motnioną, ale i pogodzoną z losem. Cierpiącą z po-wodu ułomności ciała, ale wciąż zdolną do zachwytu nad pięknem codzienności i przyrody.

Na szczególną uwagę zasługują w tym tomie mądre, dojrzałe erotyki. Poeta z czułością opisuje niewymuszoną bliskość; odkrywa przed czytelnikiem zjawisko nieznane młodemu człowiekowi. Więzi, której doświadcza bohater, nie sposób utożsamić z młodzieńczą namiętnością. Prostota formy i języka świadczy o harmonii ciała i ducha oraz wzajemnym zrozumieniu właściwym dojrzałemu uczuciu. Tę-sknota za bezwarunkowym dobrem, całkowitym otwarciem się na drugiego człowieka zajmują w tych tekstach miejsce szczególne. To właśnie dojrzałość i łagodność wysuwają się na pierwszy plan w twór-czość obu artystów. Dzieła malarskie i literackie przeplatają się tu nie tylko dosłownie, ale są kom-plementarne względem siebie na wielu płaszczy-znach – emocjonalnej, duchowej, transcendentnej. Jak pisała Narcyza Żmichowska, „pędzel i pióro to dwa znamiona, / przez które sztuka najsilniej działa”. Album *Pomiędzy* jest tego dobrym przykładem.

Paulina Korzeniewska-Nowakowska

Zapominanie

Kalina Izabela Ziota, *Okno niepamięci*, Związek Literatów Polskich, Warszawa 2013, s. 72.

Życie możliwe jest dzięki zapomnieniu,
a nie pamięci.

Michał Paweł Markowski

Michał Paweł Markowski w książce *Eseje o pisa-niu i czytaniu* zawarł zdanie, które może przyświecać myśli przewodniej tomiku *Okno niepamięci* Kaliny Izabeli Zioty. Poetka koncentruje swoją wypowiedź wokół kategorii pamięci, a ściślej: wokół zapomina-nia, które występuje w postaci nowej perspektywy opartej na metaforze okna. Metafora ta pozwala sądzić, iż zdarzenia z przeszłości uległy przeobra-żeniom. *Okno...* to już czwarta pozycja wydawnicza

poetki zamieszkałej w Poznaniu, tamże tworzącej i działającej. Ziota wydała do tej pory trzy książki poetyckie: *Srebrny motyl*, *Przez chwilę* i *Kwaśne winogrona*, za które przyznano jej w 2012 roku Nagrodę Pracy Organicznej im. Marii Konopnickiej.

Prezentowany tomik został podzielony na dwie części: *Kartki z pamiętnika* (pierwsza) i *Już tylko echo...* (druga), które ściśle ze sobą korespondują. Dominantą tematyczną tej poezji jest czas minio-ny, zdarzenia z przeszłości, które odcisnęły swoje piętno na tyle głębokie, iż wypełniają przestrzeń lirycznych opowieści poetki. Kompozycyjne rozgra-niczenie nawiązujące do formy pamiętnikarskiej

i symboliki echa, które figuruje jako swego rodzaju powtarzalność, można odczytać jako ostatnie temperalne relikty przeżyć podmiotu lirycznego. Te treści odzwierciedlają główny obszar rozważań poetki, jak w wierszu *Okno*:

Zapukaj w okno mojej pamięci
może cię wpuszczać na chwilę
(*Okno*, s. 15)

Zbiór ten przepełniony jest tęsknotą, odczuciem braku, miłosnego niespełnienia, przy czym uczucia te są jednocześnie kwestionowane, poddawane podwójnej refleksji jak w wierszu *** „wcale za tobą nie tęsknię”. Lecz owa tęsknota w tym utworze może być powierzchowna. Wyrażona jest pozornie poprzez zaprzeczenia, który przyjmuje formę tymczasowego remedium odwracającego uwagę, ponieważ:

to tylko chmura
na chwilę przesłoniła słońce

tylko jesień
zasuszyła liście na drzewach
i kwiaty w ogrodzie
[...]
nie tęsknię
(*** „wcale za tobą nie tęsknię”, s. 13)

Doświadczona przez podmiot liryczny melancholia, spowodowana nieobecnością drugiego człowieka, przejawia się we frazie „nie tęsknię” zapisanej na początku i na końcu wiersza. Dariusz Tomasz Lebioda w postawie *Ruchome Piaski* metaforycznie napisał o tym zbiorze, iż: „Poezja kobiet bywa delikatna i subtelna, odtwarzająca w słowach i obszarach fenomenu życia i miłości, precyzyjnie dookreślające sytuacje tak ulotne jak lekki powiew wiatru [...]”. I trudno nie zgodzić się z Lebiodą, po-

nieważ ta poezja rzeczywiście jest bardzo kobieca, „delikatna”, autobiograficzna i prawdopodobnie pełniąca także rolę terapeutyczną.

W tej poezji szczególną rolę odgrywają wspomnienia, jednakże nie kreują one świata na zasadzie negacji, lecz „odgrzebywane” są już z dystansu i z pełną dozą akceptacji nie pozbawionej nadziei:

zamknięta w kryształ
minionego czasu
jeszcze próbuję dopasować
dotyk do ciepła skóry
spojrzenie do zarysu policzka
[...]
kryształ pęka
(*Krucze szkło*, s. 28)

Cytowany wcześniej Lebioda zaznacza, iż „Nikt nie może być pewny tego, że osiągnie od razu wysoki wyraz artystyczny, nawet najwięksi artyści miewają chwile zawahań, ale konsekwencja prowadzi zawsze do nowych realizacji – skończonych i gotowych by przedłożyć je światu” (s. 68). Sięgając do tego tomiku, czytelnik natknie się na różne wiersze, gdyż jest to zbiór nierówny. Trzeba zaznaczyć, iż pojawiają się tu utwory o mniejszych walorach artystycznych.

Cały tom od początku do końca stanowi zamysł artystyczny autorki, gdyż zarówno fotografie znajdujące się w książce, jak i ilustracje są jej autorstwa. Jednakże ogólne wrażenie po lekturze zbioru jest obiecujące, przede wszystkim dlatego, że poetce udaje się zaskoczyć czytelnika nieszablonołą metaforą, jak choćby z wiersza *Z pamiętnika*:

pozostałeś na ławce
zaplątany jak ćma
w ciasnej sieci swych zmarszczek
(*Z pamiętnika*, s. 34)

Marika Sobczak

Wymownie milczeć o sensie tej wędrówki

Janusz Koniusz, *Na własne podobieństwo*, Pro Libris, Zielona Góra 2014, 119 s.

Udawać, że nie lubię poezji Janusza Koniusza, jak i pomijać fakt, że lubię samego autora – nie ma większego sensu. Czasem ta prawda wpływa na omówienie książki, czasem nie. Pryzmat upodobań może być niewygodny – choć w tym wypadku nie czuję takiego obciążenia. Książka *Na własne podobieństwo* Janusza Koniusza jest przecież specyficzna – to wybór najlepszych wierszy spośród długiej poetyckiej kariery autora. Tomik, który ukazał się w 80. rocznicę urodzin Koniusza, zawiera wiersze dawne, często zmienione i poprawione oraz nowsze. Jest swoistą wędrówką, której nie zamierzam oceniać (jakbym śmiała). Wolę razem z autorem wybrać się na ten spacer po poetyckich ogrodach i zaprosić do niego innych czytelników. Ale by podróż ta była udana, zrezygnować warto ze swojego przywiązania do materii i poczuć się wolnym od balastu ciała: „Z każdym krokiem porzuca mnie ciało/ do którego przygnałem wszystkimi zmysłami” (s. 9), „już serce/ które dałaś mi w złotej klatce/ drapie do wrót powietrza” (s. 86).

Cielesność to przecież nasze ograniczenia, a jednocześnie nasz nośnik, obraz, nasz desygnat. Dla autora zmęczone życiem ciało stanowi codzienne wyzwanie: „Bądź mężne moje ciało o trzech wymiarach/ gdy po dziesięciu plagach egipskich/ dopadnie cię zewsząd/ czwarty wymiar/ Odejdź z podniesioną głową/ i równym krokiem/ jak na paradyzie/ Niech z twojej krtani/ nie wyzgonie skarga/ na wieczny żywioł nicości” (s. 103).

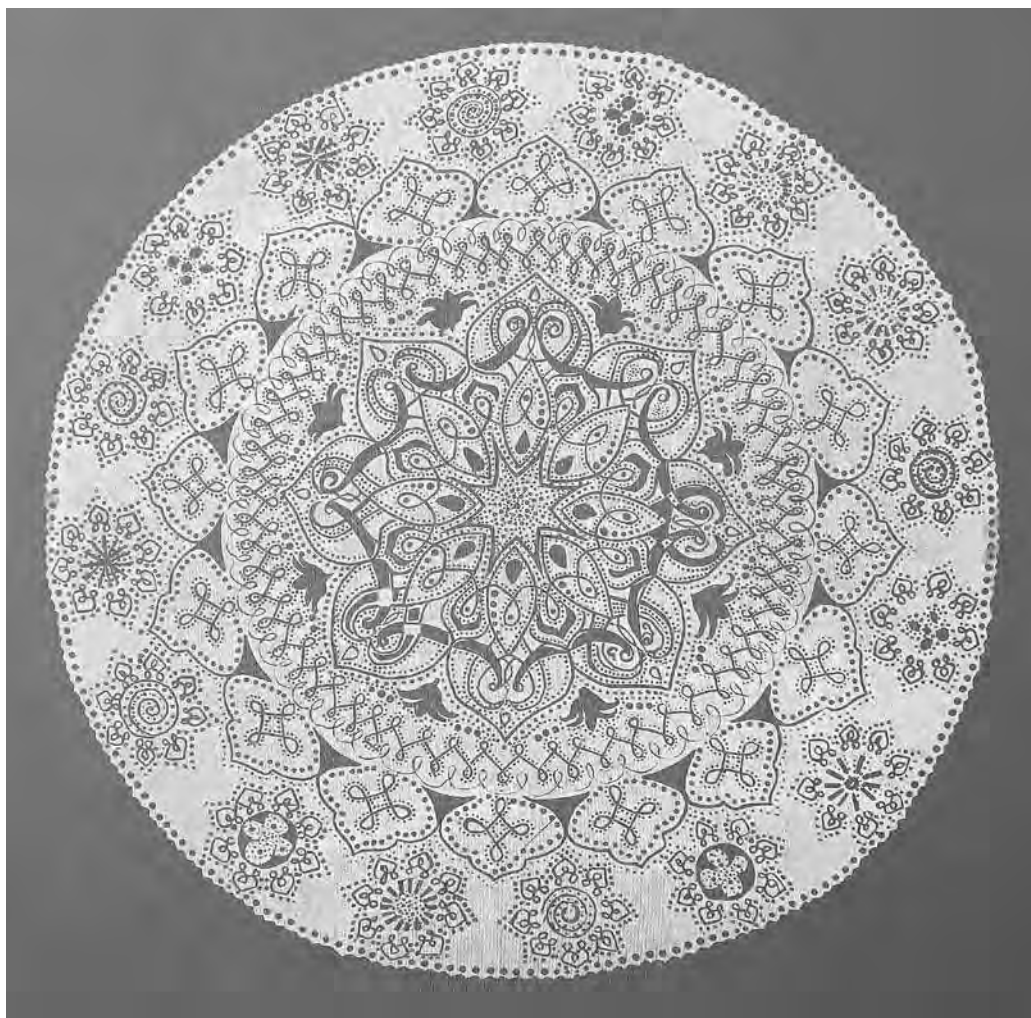
Ciało wymusza myśl o odchodzeniu, stawia człowieka oko w oko z nieuchronnym: „Odcięte od pępówiny krzyku/ w milczeniu dogasa moje ciało/ poza którym nic nie istnieje/ Wzięty w krzyżowy ogień śmieci/ kurczę się/ jak embrión” (s. 105). Starość ciała zamyka w sobie młodość ducha: „Starość stworzył młodociany Bóg/ Bez doświadczenia o erę za wcześniej” (s. 30) – starość, w której nie przewidział demencji, Parkinsona czy Alzheimera. Wędrówka nasza nie będzie zabawna, nie będzie też tragiczna. Owszem – jeszcze zdążymy się potknąć o swoją tęgą i runiemy sobie pod nogi (s. 9), ale także zobaczymy piękno gwiazd i zastanowimy się nad

aktem stworzenia. Wiersz *Nic nie było* wprowadza nas w stan „przed”, gdy „czas jeszcze nie runął/ z obrotowego pieca nieba bo nieba nie było/ nie było kalendarzy zegarów rozkładów jazdy [...] Nic nie było Tylko na Słowo się zbierało/ jak na urodzaj” (s. 19). Słowo wychodzi więc na plan pierwszy. Jeden z ogrodów Koniusza jest właśnie ogrodem słowa – wersu – wiersza. Poeta przemawia kodem liter, z których ułożone słowa tworzą metafory. Jednak wiersz to byt nieokiełznany, „zaledwie pomyślany/ z grzbietu zrzuca metafory/ którymi go objuczyłem/ w stajni wyobraźni” (s. 14); byt żyjący własnym życiem: „poznaje po ziarnach liter/ rozsypanych na postnym klepsku papieru” (s. 15). Poeta przeczuwał w sobie od zawsze skłonność do słowa: „Gdy dostrzegłem słowo/ przez nikogo niezakazane/ zaraz mnie wypchnięto/ na złamanie języka” (s. 11); „Od dzieciństwa się mozołę/ nad tym nienapisanym wierszem” (s. 12). Być niewolnikiem słów, ich łowcą, nawet stwórcą – nie jest łatwo. To niesie za sobą ból, smutek, czasem rozczarowanie, częściej samotność: „Zgarniam ze stołu poranne okruszyny wiersza/ i posypuję nimi śnieg za oknem/ jakbym świat do ręki przynęcał” (s. 15). Myślenie poety skupia się również wokół motywów biblijnych – to kolejny ogród – sacrum milczącego Boga z wiersza pod takim właśnie tytułem. „Od Wielkiego Wybuchu/ Bóg/ nie rzekł Słowa” (s. 20); „W ciszy kosmosu/ słysząc tylko milczenie Boga” (s. 23). Koniusz Boga charakteryzuje po swojemu – to idealna pustka, próżnia o temperaturze absolutnego zera (s. 23); to abstrakt, który trzeba było jakoś zagospodarować: „Na swój obraz stworzyli Boga by nie pozostał abstrakcją” (s. 22). Świat kręci się własnym cyklem, zbrodnię popełnia kolejny Kain, którego przecież można starać się zrozumieć. „Pamiętamy jedynie ten polny kamień/ który się w jego ręku jak róża zakrzwawił” (s. 27), zapominając o życiu Kaina, który miał w nim wiele zasług. Z biblijnych opowieści płynnie przechodzimy do ogrodu filozofii. Poeta podkreśla: „Bez naszej woli nie byłoby pojęć w filozofii/ dogmatów w religii/ igły z nitką” (s. 43). Przywołuje przy tym Heraklita,

Sokratesa, Homera, przechodząc w końcu do postaci literackich. Witamy w ogrodzie literatury – wszystkim nam tak bliskim. „W upale i mrozie na przełaj i oślepię cię co ciebie przez ubojnię dziejów/ gdzie tylko trupi odór” (s. 62) – to droga do Hamleta pełna egzystencjalnego niepokoju zrodzonego na podatnym gruncie wojennych przeżyć pokolenia Koniusza. Nerwowość „pod wysokim napięciem historii powszechnej” splata się z tragizmem ludzkich losów, z ciągłą gonitwą w poszukiwaniu bogactwa i władzy. W literackich światach poszczególnych bohaterów mieszają się ze sobą – uniwersalizm ludzkiego losu ze swoistą obcością bytu jednostki. Koniusz nie ocenia, nie wydaje wyroków. Czuje wspólnotę współplemienną – no-

sząc w sobie cały czas przekonanie, że „Będzie jakby nas nigdy nie było” (s. 69). Cokolwiek spotkamy w ogrodach tego wyjątkowego poety – będzie na chwilę tylko nasze, rozpali płomień, przy którym na chwilę będziemy mogli się ogrzać. Zachęcam do tej wędrówki. Natomiast moją uwagę na dłużej przykuwa wiersz dedykowany Łucji Danielewskiej, którego trawestacja pointy zatrzymuje mnie. Los wszystkich poetów w tej specyficznej wędrówce jest tylko jeden... i ja odczuwam go tak jak autor: „Porzuceni przez własne wiersze/ pozostaniemy samotni/ pod wielką ścianą straceń historii literatury” (s. 81).

Beata Patrycja Klary



Droga do szkoły

Konrad Krakowiak, *Lewa strona bytu*, Pro Libris, Zielona Góra 2015, 86 s.

Czytam parę razy najnowszy tomik Konrada Krakowiaka. Biorę też odruchowo do ręki swoją czapkę i trzy razy wywracam ją raz na lewą, raz na prawą stronę. Oglądam szwy, metkę, skład procentowy. Dosyć szybko przekonuję się, że sporo w niej syntetyków. Parę dyrektyw: prać ręcznie w niskiej temperaturze, nie prasować. I tak się zastanawiam, komu przyszyłoby do głowy prasować czapkę. Wracam do wierszy. Co z nimi? Tych z książki Krakowiaka nie mogę odwrócić na drugą stronę, więc zostaje mi oglądanie tej, która jest dana (zakładając, że gdzieś w świecie błądzi inna). Co przekazać chce Krakowiak? Zobaczymy.

Poeta ma już za sobą debiut książkowy. W 2012 roku został wydany jego tomik wierszy *Warto*. W jednym z tamtych wierszy napisał: „Czasem siada obok mnie / I czyta swoje wiersze / Najchętniej te niezapisane / Ledwo pomyślane” (*W. Szymborska*). Wiele jest noblistki także i w tych wierszach. Ale tak jak to widoczne naśladownictwo można było uznać za walor w pierwszej książce (to normalne, że prawie każdy artysta ma jakichś mistrzów), tak w przypadku *Lewej strony bytu* oczekiwałam więcej własnej ekspresji literackiej, poszukiwań formy, innego sposobu obrazowania, może eksperymentu (nawet gdyby okazał się nieudany). Niestety, znowu mamy bezpieczeństwo enumeracji (np. *Na chwilę*) i metafor dopełniaczowych (np. *Łot*), a do tego odgrzewane zdumienia nad światem. Weźmy dla przykładu wiersz *Śmierć*. Jest to wypowiedź, w której podmiot liryczny personifikuje śmierć, nadaje jej ludzkie odczucia, stany, współczuje nawet z powodu braku czasu dla siebie samej i samotności („Zamiast zabawy do świtu / przyjaźni, / pierwszej miłości, / ciągła praca w pocie czoła”). Nic się nie wydarza, przeszkadzają banalne stwierdzenia („ty, jako jedyna / traktujesz wszystkich sprawiedliwie”), koniec roztrząsa się o pouczające, mało przekonujące słowa („Jeśli tak, / pamiętaj, trudna to sztuka, / trudniejsza od sztuki zabijania. / Odgrywana wiecznie stałaby się piekłem”). Szymborska napisała genialny, pełen ironii, zaklinający wiersz *O śmierci bez przesady*. Może właśnie wystarczyłoby traktować tematykę tanatologiczną „bez przesady”?

Inne kręgi tematyczne skupione są wokół takich zagadnień jak: byt, ziemia, nieskończoność, miłość itd. To duże i ważne słowa. Więc łatwo o potknięcia, nieudane (płaskie) filozofowanie (nie wystarczy przecież wymienić nazwisko Berkeleygo). Dlaczego od razu w górne C? Jakby rozwiązało się wszystkie zagadki świata. Szymborska napisała w wierszu *Perspektywa*: „a kto patrzy z góry, / ten najłatwiej się myli”. Co ciekawe, Krakowiak pisze wiersz o tym samym tytule (podobne kalki zdarzają się częściej), ale wybiera odległość: „Jestem na orbicie. / Pode mną żadnych państw / i rozlanej krwi. / Tylko Ziemia. / Stąd łatwo wybaczyć / ludzkości ludzkość”. Na takiej wysokości nawet blurb Joanny Szczepkowskiej ani Elżbiety Dzikowskiej nie pomoże. Ani powtarzane przez Jakuba Rawskiego frazy (identyczne z recenzji pierwszego tomiku i postowia drugiego), że Krakowiak nie jest efekciarski, tylko efektowny, że nie ulega awangardowym eksperymentom literackim, że jest klasykiem. Mnie to nie przekonuje. Poznawczo – brak odkrywczości. Emocjonalnie – spora dawka infantylności (np. *Na dobranoc*).

Teraz może słów kilka z innego punktu widzenia. Okładka tomiku (zaprojektowana przez Krzysztofa Skrzypka) bardzo dobra, intrygująca. Szukam przez chwilę w internecie innych obrazów tego autora (gratuluje mu w myślach). Wracam jednak do wierszy. *Lewa strona bytu* to być może tomik na wskroś udany? Może tylko nieuważny czytelnik wpadnie w pułapkę wywiniętej czapki? Kto powiedział, że widoczne szwy, metka i chaos kolorów nie są estetyczną stylizacją lub właściwą (jeśli taka jest) stroną bytu. Krakowiakowi zdarzają się też wiersze dobre (np. *Dwa trudne zadania*, *** „nie mogę zapomnieć...”, *Przemiana*), celnie spointowane (np. *Znaki*, *Wieczność*). To są wiersze niewyдуманne, w których zazwyczaj nie koncentruje się na sprawach wielkich, ogólnych, ale na tych, które dotyczą jego bezpośrednio. Wiersze zyskują wtedy coś, co trudno wytłumaczyć, ale uważny czytelnik dostrzeże to w mgnieniu oka. Jakaś prawda, której się doświadczyło i którą jest się gotowym przekazać. To nie są już

równe, urodziwe i wypacykowane teksty, do których nie ma po co zaglądać. To są wtedy wiersze, które otwierają się na dialog, które nie oceniają „ludzkości”, tylko ją opowiadają. Próbuję sobie wyobrazić, co mógłby powiedzieć Andrzej Waśkiewicz. Tego oczywiście nie wiem. Ale pamiętam jedno zdanie, które skierował do młodego chłopaka (obecnie jest on doktorem nauk humanistycznych) w „Nadodrz”: „Może jednak zanim Pan zacznie tworzyć wielką

literaturę, spróbuje najpierw rzeczy prostszych, np. opisać drogę do szkoły”. Uśmiechając się do siebie, powtarzam w myślach tę wypowiedź minimum raz w miesiącu. Polecam ją wszystkim.

„Czas się spakować/ I wyruszyć w głąb siebie” (*Przemiana*). No właśnie. Dobrej wędrówki, Autorze. Może czas zwiedzić kolejną stronę bytu.

Mirosława Szott

Powrót do tradycji, czyli Zielona Góra w poemacie

Marek Jurgoński, *Mniejsza epopeja*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry – Winnica, Zielona Góra 2014, 85 s.

Mniejsza epopeja to utwór, który już w swej formie artystycznej zdecydowanie wyróżnia się na tle innych współcześnie powstających książek poetyckich. Autor nawiązał do tradycji romantycznej i stworzył poemat pisany mową wiązaną, regularnym trzynastozgłoskowcem, a jego treść podzielił na 194 małych, nienumerowanych fragmentów.

Zdarzenia historyczne, jakimi są tzw. wypadki zielonogórskie z 1960 roku, zostały tu ukazane z punktu widzenia dziecka – dziewięcioletniego chłopca. Część z nich nawiązuje do konwencji realistycznej, przy czym pojawiają się także sceny utrzymane w konwencji onirycznej, np. przygody chłopca szukającego redaktora gazety, aby zwrócić mu uwagę na błąd w artykule. Utwór obfituje w dygresje, częste zmiany miejsca, czasu i akcji, co – biorąc pod uwagę formę wersyfikacyjną – przywołuje na myśl poemat *Beniowski* Słowackiego. Jednak ważniejsze są tu pokrewieństwa z Mickiewiczem. Już sam tytuł – *Mniejsza epopeja* przywołuje tę większą, epopeję romantyczną, na której wychowywały się pokolenia Polaków, poznając codzienne życie mieszkańców Soplicowa. W dziele Jurgońskiego realizuje się powojenne marzenie o stworzeniu epopei na miarę tamtej, o czym przypomina Małgorzata Mikołajczak w przedmowie do książki:

Kiedy na przełomie lat 50. i 60. apelowano o epopeję pokazującą proces zasiedlania ziem północno-zachodnich, nikt nie mógł przewidzieć, że ponad pół wieku później powstanie poemat osnuty na faktach, które w tamtym okresie starano się wymazać z oficjalnej narracji i że dopiero jego autorowi uda się odświeżyć tak wówczas pożądany wzorzec *Pana Tadeusza*.

Warto w tym miejscu zauważyć, że talent literacki Mickiewicza rozwijał się wówczas, gdy w Polsce (i Europie) panował głód epopei i chociaż trudno byłoby tu mówić o analogiach (pod względem historycznym zdecydowanie odmienna była sytuacja Polski okresu zaborów i Polski przedstawionej przez współczesnego autora), to w obu wypadkach – stosownie do wymogów epopei – ukazane zostało życie ludzi w czasach przełomu. Mickiewicz ten przełom zaznaczył już w tytule słowem „ostatni”; później wielokrotnie ów epitet powtórzył. Jurgoński natomiast, kreśląc tło historyczne, sugeruje wyjątkowość czasu: „Był rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty trzeci/ w którym marli tyrani, rodziły się dzieci”. Znającym czasy PRL-u dobrze wiadomo, do kogo odnosi się słowo „tyran” i wiadomo też z perspektywy czasu, że jego tyrania nie zakończyła się z chwilą śmierci, gdyż tragiczne skutki totalitarnej ideologii stalinizmu długo jeszcze dawały znać o sobie. Zielona

Góra ukazana w poemacie to właśnie miasto, które ich doświadcza, istniejące w przeszłości już nieodwołalnie zamknięte: „Oto miasto – to samo, lecz zupełnie inne/ niż to, o którym myślę »miasto me rodzinne«”.

Jurgoński, idąc śladem *Pana Tadeusza*, przedstawia się jako poeta o dużym wyczuciu słowa i bogatej wyobraźni plastycznej, który gromadzi rozmaite spostrzeżenia, kreśli wiele szczegółów – także tych, które zarejestrowała pamięć dziecka: detale miejskiej ulicy, wnętrza domów, elementy krajobrazu wsi itd. W tym ostatnim przypadku mamy do czynienia z sakralizacją wsi i pracy rolnika, oto charakterystyczny fragment:

Czas żniw niby miód płynął, gęsty, złoty, wonny,
świadomy swojej wagi, spieszyć się nieskonny,
monstrancję słońca trzymał niestabnącą dłońią,
świecąc i błogostawiąc polom, ludziom, koniom,
dopóki nie skończyli.

Autor często posługuje się także kontrastem oraz rozbudowanymi porównaniami, w których znaczącą rolę odgrywają odniesienia do świata przyrody:

Stał dom taki i stoi, jak tamten w pamięci.
Pierwszy jest nieruchomy, długo i na kształt rtęci
drga światłem i konturem, jak impresja zmienny,
ważka skrzęca się życiem oraz niedźwiedz senny.

Właśnie ta obrazowość, plastyczność i sugestywność opisów, nieraz silnie zmetaforizowanych (autor wykorzystuje animizację oraz personifikację, aby nadać większej ekspresji konstruowanym elementom świata przedstawionego), składa się na mistrzowskie poetyckie ujęcie. Bogactwo obrazotwórczych epitetów i rozbudowanych porównań sprawia, że czytelnik może smakować słowa, które „dziwił się swemu sąsiedztwu”.

Interesujące są tu zwłaszcza opisy ulic, z których każda została opatrzona znaczącą nazwą i charakterystycznym komentarzem. Oto np. ulica Słowików, którą autor nazywa „struną śpiewu rozpiętą pośród krzyku”, ulica Głos Sumienia, „przez nurt omijana”, ulica Głodna – „styczna do Ulicy Sytej”, ulica Nijaka „nie wie gdzie prowadzi, tego, kto jej zaufał, łatwo zwiedzie, zdradzi”. W tej prezentacji ulic, obejmują-

cej dziesięć kolejnych fragmentów poematu, poeta oddaje niekiedy całą gamę ludzkich emocji, postaw, charakterów: „Jest Ulica Rozpaczy, przecznica Szczęśliwej/ równoległa do Smutnej, Szarej i Zdradliwej./ Ulica Pewna Swego kończy się Wątpiącą”. Opisy niektórych ulic stoją w wyraźnej sprzeczności z ich nazwami – tak jak gdyby poeta odsłaniał drugie dno słowa: „na Świętej brak kościołów, na Słonecznej słońca/ przedłużeniem Doczesnej nie jest wcale Wieczna/ przedłużeniem Chwilowej nie jest Ostateczna”. Ta dynamika kontrastu jest także widoczna w przedstawianiu społeczności lokalnej jako wewnętrznie rozbitej, a ponadto istniejącej w relacji do centrum:

Wtedy się urodziłem, w mieście Zieleń zwanym,
w hierarchii miast średniaku, całkiem zapomnianym
przez arystokrację miast, co z wielką dystynkcją
nazwała wszystko co nie jest nią – prowincją

Podział społeczeństwa widoczny jest na kilku płaszczyznach: nie dotyczy tylko „lepszyc”, bo z centrali, oraz „gorszych”, bo z prowincji, lecz także obejmuje skonfliktowanych mieszkańców wsi i miast. Fragmenty wspomnień przenoszą bowiem Jurgońskiego na wieś stryja i od razu następuje pierwsze brutalne zetknięcie z jej rzeczywistością: wieś nie jest „sielska-anielska”, lecz pełna trudu, mieszkańców miast i mieszkańców wsi wbrew wysiłkom władzy nie połączył „sojusz robotniczo-chłopski”. U Jurgońskiego jak w Mickiewiczowskiej epopei odzwierciedla się tajemnica narodu: jego brak jedności, wyraźna polaryzacja stanowisk, podział na swoich i obcych.

Wewnętrzne zróżnicowanie społeczeństwa dochodzi do głosu także w prezentacji bohaterów. Już początkowe wersy utworu pokazują czterech mężczyzn, którzy pozornie zgodni razem grają w karty: „Urzędnik, mądry i stateczny”, „partyjniak, pan Hardy”, „prałat Michański, [co] nie gardził kawą” oraz „Wahadełko, którego jak linę ciągnął ksiądz oraz Hardy”. Prezentacja ich pogodnej gry zostaje zakończona zapowiedzią zdarzeń ukazujących grozę starcia obrońców mienia kościelnego z milicją:

Bitwy karciane często trwały, więc w pokoju
brzmiały okrzyki zwięzłe jak hasła do boju:

szlem! rober! trzy bez atu! karo! kiery! piki! [...]
I każdy z nich by uznał to za bzdury, dziwy,
słyszając, że ich połączy inny bój – prawdziwy

I tak jak u Mickiewicza mamy do czynienia z walką o niepodległość, w której znaczącą jest rola ks. Robaka, tak u Jurgońskiego spotykamy się z tradycją oporu przeciw władzy PRL-u i znaczącą rolą ks. Michańskiego; w obu utworach widoczna jest walka dobra i zła oraz troska o moralne odrodzenie narodu. W tym kontekście warto zauważyć, że ksiądz Michański przedstawiony jest jako człowiek szukający zgody, jedności, co „partyjnych nie potępiał, był im pobłażliwy czekał, aż się nawrócą”

Bohaterowie, którzy pojawiają się częściej, mają imiona znaczące (podobnie jak ks. Robak), niekiedy autor posłużył się tylko określeniem zawodu lub pozycji (Urzędnik, redaktor, kioskarz). Przy tym nawet postaci wspomniane tylko przy okazji są zindywidualizowane: autor zwraca uwagę na odrębność ich postury, zachowań, wyrazu twarzy, psychiki. Bohaterowie jak w soczewce skupiają zasadnicze cechy osadników, którzy zasiedlali ziemie nad Odrą i Nysą. Zdarza się też, że prezentacje postaci nabierają cech groteski, jak w przypadku Redaktora:

Redaktor sztywno w swym fotelu siedział,
ten fotel był ogromny, a on bardzo mały,
krótkie nóżki w powietrzu śmiesznie mu dyndały,
nie sięgając podłogi. W rękę miał słuchawkę,
lecz nic do niej nie mówił, bo właśnie miał czkawkę

W *Mniejszej epopei* nawiązaniom do tradycji romantycznej towarzyszą echa tradycji XX-wiecznych. Wersyfikacyjna stylizacja, sceny zamętu, zamieszek ulicznych i elementy satyry politycznej, a także ironia, żart, humor to cechy, które odnaleźć można w *Kwiatach polskich* Juliana Tuwima. I tak jak Tuwim uznał formę poematu romantycznego za wystarczająco pojemną dla prezentacji Łodzi, tak Jurgoński sięgnął po poemat, aby przedstawić Zieloną Górę i ważny fragment jej powojennej historii. Dzięki temu Winny Gród zyskał liryczną opowieść, w której jego mieszkańcy mogą odnaleźć materiał do refleksji nad przeszłością – zarówno tą wielką, powojenną, jak i lokalną, zielonogórską. Ta opowieść – bogata w nawiązania do tradycji, zapisana wierszem porwie i zauroczy miłośników poetyckiego słowa.

Anastazja Seul

Inne oblicze poety Szmidta

Ireneusz Krzysztof Szmidt, *Czerwone korale*, Związek Literatów Polskich Oddział, Gorzów Wielkopolski 2013, 94 s.

Ireneusz Krzysztof Szmidt jest autorem szeregu interesujących pozycji literackich. Na niwie literatury naszego regionu, a także całego kraju jest obecny od dziesiątek lat. Nie sposób też przecenić jego zasług dla lubuskiego życia literackiego, a w szczególności dla samego Gorzowa Wielkopolskiego. To wszystko zostało powiedziane wielokrotnie w najróżniejszych omówieniach, biogramach, leksykonach i temu podobnych.

Dzisiaj Szmidt objawia nam swoje kolejne literackie oblicze. Otrzymaliśmy od pisarza jego najnowszą

książkę – *Czerwone korale* – wydaną nakładem wydawnictwa WAG Arsenał z Gorzowa Wlkp. w końcu 2013 roku.

Tym razem jest to zbiór opowiadań, rzec by się chciało: szkiców literackich. Jak zostało powiedziane, autor ukazał nam swoje inne oblicze pisarskie. Proza. Ten twórca kojarzony jest raczej jako poeta, dramaturg czy felietonista.

I oto niespodziewanie mamy książkę pisaną prozą. Pochylił się nad tymi opowiadaniem z kilku powodów.

Po pierwsze, to „młody” Szmidt, jakiego właściwie nie znamy. Tytułowe *Czerwone korale*, ale też i *Dziurawe sieci*, wyraźnie wskazują na pomorskie inspiracje pisarza. To czasy szczecińskiej przeszłości, przeszłości naznaczonej szaro sepiowym stygmatem Polski Ludowej lat 60. Dojrzały odnajdą w nich ścieżki i kody młodości, młodość zaś lekcję o tym, co dziś wydaje się niemożliwe.

Po drugie, objętość książki. Szkice są niedługie. Nie ma w nich tasiemcowych czy jakichś nudnych wywodów i dygresji. Została zachowana dyscyplina słowa, a opowiadania są zwarte i świetne w odbiorze. Ich autor wykazał się naprawdę dobrą techniką pisarską. Dla porządku – cała książka ma 94 strony.

Po trzecie, zawiązanie narracji i konstrukcja puenty (tych nie będę cytował) są jedną z mocniejszych stron tych opowiadań, jak choćby w opowiadaniu *Dobry kumpel Feliks* zaczynającym się taką oto frazą: „W tym mieście upijały się nawet dzieci. Nic dziwnego, że zaczął pić także stary mleczarz Antoni”. Jesteśmy zaskakiwani nierzadko humorystycznymi zwrotami akcji. A dokonać zwrotu akcji, który zaskoczy czytelnika w opowiadaniu pomieszczonym na trzech zaledwie stronach książki, to już jest sztuka. W prozie pod tytułem

Agata, czyli zwykła proza można doczytać do zaskakującego *happy endu*, o który w literaturze niekoniecznie jest łatwo.

Podczas lektury *Czerwonych koralii* nasunęła mi się asocjacja z opowiadaniem Marka Hłaski. I chociaż porównania nie są najlepszą miarą oceny dzieła literackiego, nie sposób oprzeć się wrażeniu o pokrewieństwie mentalnym Ireneusza Krzysztofa Szmidta z jego szczecińskiej przeszłości literackiej ze wspomnianym właśnie pisarzem.

Książka zawiera też utwór sceniczny wystawiony w 2000 roku w Teatrze im. J. Osterwy w Gorzowie Wlkp. *Medea czyli kameralna tragedia rodzinna niewiernie przepisana z Eurypidesa* jest to przełamanie zawartości książki, która w założeniu jest zbiorem ciekawej prozy z dramatem jako kontrapunktem.

Reasumując, zbiór opowiadań Ireneusza Krzysztofa Szmidta *Czerwone korale* jest pozycją godną polecenia czytelnikowi. A jeśli na dodatek czytelnik jest zainteresowany literaturą lubuską i zna oblicza twórcze jej animatorów, to odkrycie innego oblicza Szmidta, postrzeganego dotąd głównie jako poetę, jest tym bardziej godne polecenia, że tę prozę czyta się wdzięcznie.

Marek Grewling

Zielonogórskie fantazjowanie

Fantazje Zielonogórskie liczą już trzy tomy. Trzy tomy wypełnione opowiadaniem reprezentującymi chyba każdą konwencję literackiej fantastyki – znajdziemy tu i twardą sf, fantasy, horror, realizm magiczny i historie alternatywne, a wszystko to splecione z wątkami zielonogórskiej przeszłości, teraźniejszości i wyobrażonej przyszłości.

Pomysł *Fantazji* narodził się w Zielonogórskim Klubie Fantastyki Ad Astra jako odpowiedź na głód literatury fantastycznej dziejącej się tu, opowiadającej o miejscu, w którym żyjemy i które kochamy. Historia Zielonej Góry jest kopalnią potencjalnych tematów,

wystarczy wspomnieć procesy czarownic, zarazy, przemarsze wojsk, trawiące całe miasto pożary... Pochodzili stąd ludzie, którzy odcisnęli swój ślad w historii świata (nazwiskiem jednego z dawnych zielonogórczan – Bartłomieja Pitiscusa – ochrzczono nawet księżycowy krater). Popularyzacja wiedzy o naszym mieście jest ważnym aspektem tworzenia *Fantazji Zielonogórskich*. Równie ważnym jak chęć stworzenia książki, którą będziemy po prostu czytać z przyjemnością.

Teksty trafiają do antologii drogą ogólnopolskiego konkursu literackiego, który w ciągu trzech lat stał się już rozpoznawalnym wydarzeniem na fantastycz-

nej mapie kraju. Piszą dla nas zarówno debiutanci, jak i autorzy z dorobkiem literackim. Mam zaszczyt i przyjemność ilustrować każdy tom antologii.

Trzy lata, trzy edycje konkursu literackiego, trzy tomy *Fantazji Zielonogórskich*, ponad 150 nadesłanych tekstów – można już dokonać pewnych podsumowań. Jaki ze zgromadzonego materiału wyłania się metafizyczny obraz naszego miasta? Zaskakujący.

Zdecydowana większość opowiadań, jakie otrzymaliśmy, inspirowana jest zielonogórskimi procesami czarownic, przy czym rzadko są to horrory czy teksty *stricte* historyczne. Dominują romanse paranormalne (znak czasów!) i opowieści o odkrywaniu rodzinnego dziedzictwa. Co ciekawe, temat czarownic, choć nośny i fabularnie atrakcyjny, praktycznie nie istnieje w dzisiejszej oficjalnej narracji dotyczącej promocji i wizerunku Zielonej Góry...

Drugą widoczną grupę stanowią teksty eksplorujące tradycję winiarską, winobrania, postać Bachusa i inne motywy dionizyjskie. Czasem jest to ornament, czasem oś opowieści. Tu dominuje konwencja lżejsza, nawet humorystyczna.

Sporo opowiadań dotyczyło także przedwojennej, niemieckiej historii miasta; część autorów protagonistami opowiadań uczyniło znanych z zielonogórskich annałów winiarzy, przemysłowców, artystów. W ogóle teksty nawiązujące do historii

stanowią zdecydowaną większość konkursowego pokłosia, mimo że przecież większe jest tu ryzyko faktograficznego blamażu niż w opowiadaniach osadzonych w teraźniejszości bądź przyszłości.

Spora grupa fabuł rozgrywających się współcześnie bazuje na charakterystycznych motywach – żużel, Winobrania lub Festiwal Piosenki Rosyjskiej, niedawne sukcesy, kompromitacje lub zbrodnie.

Stosunkowo mało jest opowiadań futurystycznych, a jeżeli już się pojawiają, opisują przyszłość mroczną, miasto osuwające się w otchłań. Myślę, że nad przyczynami tego rodzaju przewidywań warto się poważnie zastanowić...

Tematy opowiadań będą się zmieniać, podobnie jak nazwiska autorów, w tekstach odbijają się nagłówki jutrzejszych gazet, wpłyną na nie także literackie mody i rosnący stan wiedzy o zielonogórskiej historii. Być może na łamach naszej antologii zabłyśnie przyszła pisarska gwiazda? Być może droga, którą rozpoczynamy, wprowadzi i Zieloną Górę w poczet miast magicznych, istniejących również na mapach masowej wyobraźni, gdzieś obok Wrocławia, Krakowa, Macondo...

To dopiero początek podróży. Biblioteczka zielonogórskich fantazji, marzeń i koszmarów rośnie.

Igor Myszkiewicz

Monografia LTK

Izabela Korniluk, *Lubuskie Towarzystwo Kultury 1957–1992, Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze oraz Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, Zielona Góra 2015, 426 s.*

Magazyn Działu Historycznego Muzeum Ziemi Lubuskiej to kopalnia skarbów związanych z dawnymi, jak i z niedoległymi dziejami Ziemi Lubuskiej. Po 35-letniej działalności Lubuskiego Towarzystwa Kultury zachowały się tam protokoły, sprawozdania, notatki, przemówienia, duża baza wycinków prasowych, zdjęcia, albumy, dyplomy czy zaproszenia – cały ten dotychczas nieopublikowany bogaty

zbiór posłużył Izabeli Korniluk do stworzenia wieloaspektowej monografii LTK. Szczególnie cennym źródłem okazał się *Pamiętnik* wieloletniego prezesa Towarzystwa – Wiesława Sautera – człowieka, który przez wiele lat znajdował się w samym centrum omawianych wydarzeń. Autorka sięgnęła też do zasobów zielonogórskiego Archiwum Państwowego oraz IPN.

Pracę podzieliła na siedem rozdziałów obejmujących: genezę Towarzystwa; opis funkcjonowania jego licznych sekcji; aktywność LTK w dziedzinach: badań naukowych i wydawniczej; Sejmiki Kultury oraz towarzystwa sfederowane. Uzupełnieniem jest obszerny aneks zawierający 22 pozycje, m.in. Deklarację Ideową LTK, regulamin Lubuskiego Klubu Filmowego (LKF), sprawozdanie z pleneru Sekcji Plastyki Amatorskiej (SPA) czy uchwały Sejmików Kultury. Niewątpliwie interesujący dla wielu będzie rozdział poświęcony „Nadodrzu” – sztandarowemu czasopismu LTK.

Duża ilość cytatów, język typowy dla okresu PRL używany przez autorkę celowo w niektórych akapitach książki, pozwalają wprowadzić czytelnika w klimat tamtej epoki. Całość uatrakcyjnają też starannie dobrane zdjęcia, na których uwiecznieni zostali np. członkowie

LKF na planie filmowym, Irena Solińska ubrana zgodnie z modą z lat 50. czy fotografia promująca „Nadodrze”, na której przed kioskiem RUCH-u stoi kilka osób, a każda z nich jest wręcz zaczytana w tym piśmie.

W zakończeniu swojej pracy I. Korniluk 35 lat istnienia i prężnego funkcjonowania Lubuskiego Towarzystwa Kultury podsumowała słowami: „Wiele instytucji, cyklicznych wydarzeń i imprez kulturalnych swoje powstanie zawdzięcza LTK, a liczne grono ludzi nauki i kultury, do dziś aktywnych w Zielonej Górze i regionie, swoje pierwsze kroki stawiało w szeregach LTK. Wieloletnia praca społeczników zaangażowanych w LTK przyczyniła się do sukcesu wielu ludzi i wyniesienia regionu w hierarchii kulturalnej kraju”.

Alina Polak



KSIĄŻKI NADESŁANE

Łucja Fornalczyk-Fice, *Opiekunka*, ZLP Oddział w Gorzowie Wielkopolskim, Wydawnictwo Sonar Literacki, Gorzów Wielkopolski 2012, 60 s.

Forty – jeńcy – monety. Pasjonaci o twierdzy Kostrzyn/ Festungen – Kriegsgefangene – Münzen. Stadthistoriker über die Festung Küstrin, red. W.D. Brylla, B. Mykietów, M. Tureczek, Kostrzyn nad Odrą – Zielona Góra 2011

Barbara Gruszka-Zych, *Koszula przed kolana*, WKM „Gość Niedzielny”, Katowice 2014, 128 s.

Leszek Jazownik, *W kręgu historii i teorii edukacji polonistycznej. Studia i szkice*, Księgarnia Akademicka, Zielona Góra – Warszawa 2011, 358 s.

Maria Jazownik, Leszek Jazownik, Krzysztof Wołczyński, *Z Gniłowód do Łężyce*, Księgarnia Akademicka, Zielona Góra 2013, 266 s.

Jacek Katos [Katarzyński], *Boskie zapętlenie*, Stowarzyszenie Forum Art, Zielona Góra 2014, 232 s.

Władysław Kłępka, *Zielonym do góry. Setnik limeryków lubuskich*, Zielonogórski Ośrodek Kultury, Zielona Góra 2014, 40 s.

Beata Patrycja Klary, *Misterium Solitera*, Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2014, 86 s.

Bartosz Konstrat, *Dzika kość. Encyklopedia utraconych szans*, Starostwo Powiatowe w Olkuszu, Olkusz 2013, 58 s.

Poezja w krakowskim „Życiu” (1897-1900). Antologia, wyb., wstęp i oprac. M. Jazownik, Księgarnia Akademicka, Zielona Góra 2014, 288 s.

Zbigniew Rajche, *Kamienie milowe*, Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, Zielona Góra 2014, 90 s.

Czesław Sobkowiak, *Światło przed nocą*, Oficyna Wydawnicza UZ, Zielona Góra 2014, 214 s.

Jerzy Szewczyk, *Pamięć nie wystarczy*, Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, Zielona Góra 2014, 60 s.

Kazimierz Wysocki, *Pod czerwonym liściem melancholii*, Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, Zielona Góra 2014, 86 s.

Ziemia Międzyrzecka w przeszłości, t. 12, red. B. Mykietów, M. Tureczek, Stowarzyszenie Regionalistów Środkowe Nadodrze, Starostwo Powiatowe w Międzyrzeczu, Międzyrzecz – Zielona Góra 2014, 170 s.

Jacek Żeromski, *Dusza zaślubiona Światłu*, Organon, Zielona Góra 2013, 62 s.

Jacek Żeromski, *Szary kamyk*, Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, Zielona Góra 2012, 32 s.

AUTORIZY NUMERU

Agata Buchalik-Drzyzga

Absolwentka wrocławskiej PWSSP/ASP (dyplom w Pracowni Grafiki u prof. S. Dawskiego). Jej twórczość obejmuje: grafikę warsztatową i użytkową, tkaninę artystyczną, malarstwo sztalugowe, sztukę papieru oraz ekslibris. Autorka kilkudziesięciu wystaw indywidualnych i zbiorowych. Laureatka szeregu prestiżowych nagród, wyróżnień, odznaczeń i medali. Także pedagog, w latach 90. dyrektor zielonogórskiego BWA. Całe życie zawodowe związana z Zieloną Górą.

Andrzej Chodacki

Zawodowo związany z medycyną (kardiolog w Parczewie, woj. lubelskie), także prozaik, poeta, fotograf. Laureat konkursów literackich, publikuje w czasopismach w kraju i za granicą.

Michał Cierniak

Absolwent socjologii UZ. Były redaktor muzyczny Akademickiego Radia INDEX i szef działu kulturalnego miesięcznika studenckiego „UŻetka”. Rzecznik prasowy zielonogórskiego Stowarzyszenia Forum Art. Aktywny członek sceny muzycznej, występujący w grupach Warfist i Supreme Lord. Autor audycji muzycznej *Metalizacja*, nadawanej w Akademickim Radiu INDEX.

Arkadiusz Cincio

Urodził się w 1978 roku w Krośnie Odrzańskim. Ukończył studia historyczne na Uniwersytecie Zielonogórskim. Od 2004 roku jest pracownikiem merytorycznym Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze. W 2014 roku uzyskał stopień doktora nauk humanistycznych w zakresie historii na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Zielonogórskiego na podstawie pracy *Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze w latach 1945-2012*.

Barbara Anna Dominiak

Absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, nauczycielka języka polskiego w LO w Świebodzinie. Poetka.

Elżbieta Gazdecka

Absolwentka Uniwersytetu Wrocławskiego, nauczyciel, specjalista ds. reklamy, bankowiec. Przygotowuje pracę doktorską na Uniwersytecie Zielonogórskim.

Lidia Głuchowska

Historyk sztuki i literatury, animator kultury. Adiunkt w Pracowni Historii i Teorii Sztuki Uniwersytetu Zielonogórskiego. Obecnie przygotowuje habilitację na Uniwersytecie w Bambergu.

Karol Graczyk

Urodził się w 1984 roku w Gorzowie Wlkp. Uprawia poezję, prozę, zajmuje się dziennikarstwem. Recenzent w dziedzinie literatury, filmu oraz muzyki. Laureat i zwycięzca kilkudziesięciu konkursów literackich, redaktor stworzonego przez siebie internetowego miesięcznika – Polskie Kulturalne Podziemie (www.pkpzin.pl). Dwukrotny stypendysta Prezydenta Gorzowa Wlkp.

Marek Grewling

Urodził się w 1963 roku w Gorzowie Wlkp. Z zawodu nauczyciel historii, absolwent teologii biblijnej. Autor sześciu książek poetyckich, inicjator wydania antologii, autor aforyzmów, wierszy, esejów, recenzji, artykułów publicystycznych, współpracownik „Pegaza Lubuskiego”. Od 2003 roku jest członkiem ZLP.

Joanna Kapica-Curzytek

Filolog angielski i glottodydaktyk, adiunkt w Instytucie Neofilologii na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka recenzji książek („Twój Styl” i „Twoja Muza”), recenzji teatralnych i wywiadów (wortal teatralny www.e-teatr.pl). Współautorka i tłumaczka reportażu radiowego, który otrzymał Nagrodę Specjalną Studia Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia na krajowym konkursie reportażu radiowego „Polska i Świat 2000”. Obecnie jest stałą recenzentką magazynu kultury popularnej www.esensja.pl. Oprócz literatury jej pasją są języki obce i muzyka klasyczna.

Beata Patrycja Klary

Rocznik 1976. Poetka i eseistka, filolog. Swoje prace krytycznoliterackie publikowała w „Edukacji i Dialogu”, „Akancie”, „Kwartalniku Opolskim”, „Edukacji Czytelniczo-Medialnej” i „Pegazie Lubuskim”. Jako poetka debiutowała w antologii Klubu Literackiego GDK *Niedzielni poeci*, jej wiersze weszły także do antologii *Poeci Okrągłego Stołu* i *Zapisani w wierszach*. Za pierwszy tom wierszy *Witraże* dostała dyplom honorowy Lubuskiego Wawrzynu Literackiego za najciekawszy debiut 2004 roku. W serii Biblioteka Literacka „Pegaza Lubuskiego” wydała dwujęzyczny tomik wierszy *Imaginacje – Imagination* (Gorzów Wlkp. 2006). W 2006 roku była stypendystką Prezydenta Miasta Gorzowa. Należy do Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury oraz do Stowarzyszenia Twórczego „Wena”. Jest kandydatką Związku Literatów Polskich. Laureatka Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2011.

Paulina Korzeniewska-Nowakowska

Urodziła się w 1989 roku. Poetka, tłumaczka, filolog angielski, doktorantka w Instytucie Neofilologii UZ. Za tom poetycki *Usta Vivien Leigh* (2011) otrzymała nominację do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej „Silesius” oraz wyróżnienie Lubuskiego Wawrzynu Literackiego za debiut. Obecnie przygotowuje pracę doktorską na temat intertekstualności i adaptacji w poezji Anne Sexton.

Andrzej Kotin

Urodził się w 1985 roku w Moskwie. W latach szkolnych mieszkał na zmianę w Moskwie i Berlinie. W wieku 15 lat wraz z rodzicami przeprowadził się do Polski, gdzie w roku 2008 ukończył studia magisterskie na filologii germańskiej UZ. Został laureatem I edycji Konkursu PAN Oddz. w Poznaniu na najlepszą oryginalną pracę twórczą doktoranta opublikowaną w roku 2012. Znany jest ze swojej działalności artystycznej. Poeta, prozaik, wokalista, kojarzony z piosenką literacką, poetycką, folk-rockową. Laureat konkursu „Debiut Poetycki Pro Libris” w 2011 roku. Twórczość A. Kotina do wglądu na stronie autorskiej, jak i na myspace: www.andrzejkotin.webd.pl, www.myspace.com/kotine.

Barbara Krzeszewska-Zmyślony

Pracownik Centrum Kultury i Języka Niemieckiego UZ, animator polsko-niemieckich przedsięwzięć kulturalnych, tłumacz.

Maciej Kubiak

Urodził się w 1993 roku w Szprotawie. Absolwent i student filologii germańskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego. Poeta niezrzeszony, laureat ogólnopolskich konkursów poetyckich, tworzy w języku polskim oraz niemieckim.

Magdalena Kulczyk

Absolwentka historii na UZ, pod kierunkiem prof. T. Nodzyńskiego przygotowuje rozprawę doktorską poświęconą Poznaniowi jako ośrodkowi kulturalnemu na przełomie XIX i XX wieku.

Eugeniusz Kurzawa

Urodził się w 1954 roku, absolwent WSP w Zielonej Górze. Poeta, dziennikarz, redaktor książek i wydawnictw, animator kultury, prasoznawca. Wieloletni pracownik „Gazety Lubuskiej”, członek Związku Literatów Polskich (prezes oddziału zielonogórskiego). Uprawia głównie publicystykę, felietonistykę, wywiad, pisze eseje, szkice i recenzje literackie. Mieszka w Wilkanowie pod Zieloną Górą.

Mira Kužel

Poetka, malarka, felietonistka, urodzona w Drezdenku, przez wiele lat związana ze środowiskiem kulturalnym Zielonej Góry. Od 15 lat mieszka w Hiszpanii, w Andaluzji. Autorka czterech tomików wierszy: *Zaklinania* (1970), *Z białego drzewa* (1970), *Gorączka ogrodu* (2007), *Stepem biegnąca* (2014), felietonów *Listy do Przyjaciela* oraz *Zapomniane znaczenia słów*. Jej prace malarskie były prezentowane na wielu wystawach indywidualnych (Bruksela, Calahonda, Malaga, Tel Aviv).

Janusz Łastowiecki

Absolwent polonistyki Uniwersytetu Zielonogórskiego, obecnie doktorant prof. Małgorzaty Mikołajczak w Zakładzie Teorii Literatury i Krytyki Literackiej UZ. Przygotowuje rozprawę doktorską dotyczącą psychologii odbioru teatru radiowego jako zjawiska nieprzekładalnego na żaden inny system znaków. Współpracuje z „Dziennikiem Teatralnym”. Interesuje się m.in. radiem, teatrem współczesnym, reżyserią dźwięku i muzyką eksperymentalną.

Władysław Łazuka

Urodził się w 1946 roku. Poeta, prozaik, muzyk. W 1966 roku wyróżniony w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim *O Zielony Kwadrat* w Katowicach. W 1969 roku debiutował na antenie Radia Szczecin opowiadaniem *Dzień Starego* oraz wierszami w „Tygodniku Kulturalnym” oraz kwartalniku „Vineta” (STK). Autor 16 tomików poetyckich, laureat wielu nagród i wyróżnień literackich. Jego wiersze były przekładane na język niemiecki, węgierski, bułgarski, macedoński, słoweński, serbski, litewski, indonezyjski, chorwacki i angielski. Członek ZLP i Stowarzyszenia Autorów ZAiKS. Mieszka w Choszcznie.

Klaudia Małagocka

Urodziła się w 1995 roku w Lublinie. Poetka, laureatka konkursów poetyckich. Sukcesy literackie odnosi od czasów gimnazjalnych (Gimnazjum nr 1 im. M. Kopernika w Świebodzinie).

Czesław Markiewicz

Urodził się w 1954 roku w Zielonej Górze. Poeta, prozaik, krytyk literacki, eseista, dziennikarz Radia Zachód. Laureat wielu nagród literackich. Mieszka i pracuje w Zielonej Górze.

Igor Myszkiewicz

Urodził się w 1974 roku w Zielonej Górze; artysta plastyk, zajmuje się malarstwem, rysunkiem, ilustracją książkową, ikonografią i komiksem. Uczestniczył w wielu wystawach zbiorowych i indywidualnych. Absolwent Instytutu Sztuki i Kultury Plastycznej przy WSP w Zielonej Górze. Aktualnie pracuje jako plastyk oraz kustosz w Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze. Współzałożyciel działającej od 1997 roku Galerii Twórców Galera, promującej młodych artystów. Redaktor zinów „Tartak”, „Ave Galera!”, „Anarion”, „Przestrój”; współtwórca grupy artystycznej Korporacja Trylobit (jako Trylobit Wschodu). Członek grupy twórczej Wątpliwi Krewni Orsona Wellesa. Od 2006 roku wiceprezes Zielonogórskiego Okręgu ZPAP.

Alina Polak

Doktor nauk humanistycznych, specjalizuje się w odczytywaniu starych dokumentów, rękopisów i pamiętników. Do jej zainteresowań naukowych należą historia i archeologia słowiańszczyzny oraz średnio-wieczna, a także kultura materialna dwudziestolecia międzywojennego w Polsce i Europie. Jej hobby to nauki kryminalistyczne, detektywistyka, a w wolnym czasie uczy się języka japońskiego.

Jolanta Pytel

Poetka, animatorka życia kulturalnego, nauczycielka, bibliotekarka, dziennikarka. Absolwentka filologii polskiej z historią w Wyższej Szkole Nauczycielskiej w Zielonej Górze. Debiutowała w 1970 roku w „Nadodrzcu”. Publikuje w pismach literackich (m.in. „Pro Libris”, „Pegaz lubuski”), zbiorach poetyckich i almanachach. W roku 2003 laureatka Lubuskiego Wawrzyna Literackiego. Założycielka i prezes Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów, twórczyni Uniwersytetu Poezji.

Marcin Radwański

Urodził się w 1978 roku w Zielonej Górze. Wielbiciel kryminałów i literatury obyczajowej. Stypendysta Prezydenta Zielonej Góry w dziedzinie literatury za rok 2013. Prozaik, poeta; publikuje opowiadania na łamach „Parnasika” i „Akantu”, współpracuje ze studencką gazetą „UZetka” i portalem „wZielonej.pl”.

Aldona Reich

Absolwentka filologii polskiej (WSP Zielona Góra), współpracuje jako redaktor techniczny z Lubuskim Towarzystwem Naukowym. Autorka blogu „Moje narracje”.

Robert Rudiak

Poeta, prozaik, publicysta, krytyk i historyk literatury, doktor nauk humanistycznych, autor kilku książek poetyckich, współautor antologii i szkiców literackich. Członek Zarządu Oddziału Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze i Lubuskiego Stowarzyszenia Miłośników Działań Kulturalnych „Debiut”. Otrzymał Nagrodę Kulturalną Prezydenta Miasta Zielona Góra i Lubuską Nagrodę Literacką ZLP. Pracuje w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. C. Norwida.

Anastazja Seul

Dr hab., adiunkt, pracownik Zakładu Teorii Literatury i Krytyki Literackiej UZ. Blisko 10 lat prowadziła Koło Literaturoznawców oraz sprawowała pieczę nad miesięcznikiem „LiteraT”. Prowadzi zajęcia z poetyki, analizy dzieła literackiego, teorii literatury, krytyki literackiej, z problemów kultury współczesnej oraz wiedzy o kulturze, a także konwersatorium na temat obecności Biblii w literaturze polskiej, zajęcia fakultatywne dotyczące kulturowego wymiaru wypowiedzi Jana Pawła II do młodzieży oraz antropologii filozoficznej Karola Wojtyły.

Marika Sobczak

Ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Zielonogórskim. Jej badania koncentrują się wokół zagadnień związanych z literaturą mniejszości narodowych, etnicznych i religijnych oraz z kategorią inności i obcości. Publikowała m.in. w czasopiśmie „Pro Libris” i „Odra”. Doktorantka w Zakładzie Teorii Literatury i Krytyki Literackiej UZ. Prowadzi badania w ramach Pracowni Badań nad Literaturą Regionalną.

Czesław Sobkowiak

Urodził się w 1950 roku w Jaromierzu; absolwent polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim, poeta, autor 16 tomików poetyckich, krytyk literacki, współpracownik regionalnych i ogólnopolskich pism literackich. Mieszka w Zawadzie koło Zielonej Góry.

Daniel J. Stachuła

Student filologii polskiej oraz wiedzy o teatrze na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu. Pracę licencjacką poświęcił poezji Małgorzaty Stachowiak-Schreyner (głównie tomu *O czymś* z 2005 roku). Współpracuje z poznańskim czasopiśmie „Pro Arte Online”, gdzie najczęściej publikuje szkice i recenzje teatralne.

Jerzy Szewczyk

Długoletni szef lubuskiej inspekcji pracy, miłośnik kultury śródziemnomorskiej, autor publikacji prasowych poświęconych Andorze i Malcie oraz książek, prezes ZG Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Greckiej, działacz TKKF i NOT, podróżnik, fotograf.

Mirosława Szott

Doktorantka w Zakładzie Teorii Literatury i Krytyki Literackiej UZ. Prowadzi badania w ramach Pracowni Badań nad Literaturą Regionalną. Jej zainteresowania badawcze koncentrują się wokół geopoetyki i zwrotu topograficznego w badaniach literackich. Zajmuje się poezją lubuską oraz najnowszą poezją polską. Przygotowuje rozprawę doktorską na temat motywu domu w literaturze Ziemi Lubuskiej. Poetka, autorka dwóch książek poetyckich. Działa w Stowarzyszeniu Jeszcze Żywych Poetów.

Ewa Tworowska-Chwalibóg

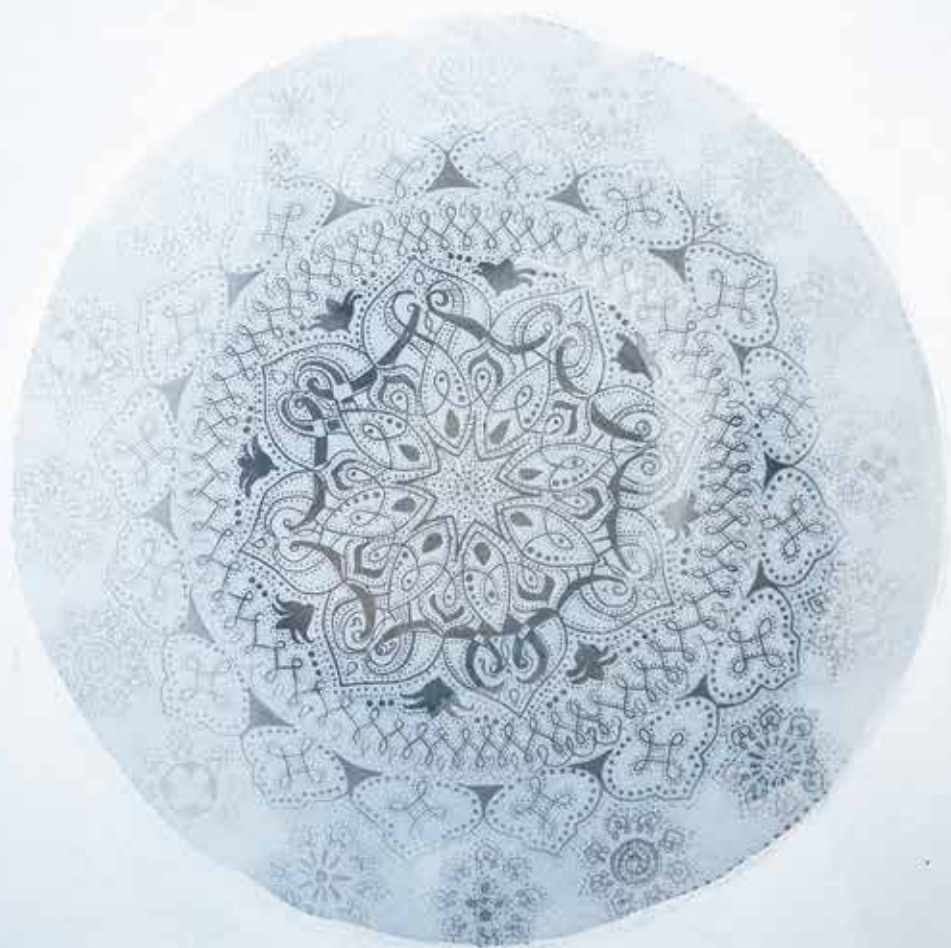
Z wykształcenia mgr inż. budownictwa, choć nigdy nie pracowała w wyuczonym zawodzie. Dziennikarka w „Gazecie Lubuskiej” i „Gazecie Nowej” (1980-1996); rzecznik prasowy wojewodów zielonogórskich (1997-1998); pracownik samorządowy (1999-2012), odpowiedzialna za promocję i kontakty zagraniczne Powiatu Zielonogórskiego, m.in. pomysłodawczyni i realizatorka polsko-niemieckich plenerów dla malarzy profesjonalistów pn. *Kolory Europy*. Od listopada 2012 roku jest głównym specjalistą w Biurze Promocji Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Adam Bolesław Wierzbicki

Urodził się w 1972 roku w Krośnie Odr., autor trzech zbiorów poetyckich, nagradzany i wyróżniany w kilkudziesięciu ogólnopolskich konkursach literackich. Mieszka w Dłużku (powiat żarski).

Weronika Wojtanowska

Ukończyła studia magisterskie na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz dwuletnie studia w Katedrze Europeistyki UJ, obecnie przygotowuje się do podjęcia studiów doktoranckich. Interesuje się filozofią kultury i pracuje nad publikacjami głównie z tej dziedziny.



Cena 10,50 zł (w tym 5% VAT)

ISSN 1642-5995

03



9 771642 599108

PRO
LIBRIS

